

październik '89

kultura

NIEZALEŻNA

54

październik '89

kultura

NIEZALEŻNA

MIESIĘCZNIK

Komitetu Kultury Niezależnej

Warszawa

54

SZKICE

Marek Rostworowski - "COUTE"	- 3
Michał Głowiński - Wielka przebieranka	- 10
Tadeusz Chrzanowski /KUL/ - Kościół polski a problematyka konserwatorska /1945 - 1988/	- 17

SWIADECTWA

Beznadziejność w koszarach Ceausescu /wywiad z poetą Mircea Dinescu/	- 31
John Reed - Rumunia: "terytorialna systematyzacja" czy systematyczny terror?	- 35
Michael Meyer - Ostatni stalinista	- 40

PROZA

Jan Pelc - Dzieci raju	- 47
------------------------	------

WIERSZE

Tymoteusz Karpowicz - Z przedsionka polskiego piekła i inne	- 60
--	------

RECENZJE

A.H. - "Ciemnia"	- 66
Stanisław Krzysztofowicz - Anna Andriejewna	- 68
H.B. - Od Kominternu do łagrów	- 71
Wojciech Giełżyński - Wiwisekcja koszmaru	- 76
Wojciech Czuchnowski - "Pola śmierci"	- 81
Andrzej Osęka - Obecność Żydów w Polsce	- 88

FELIETONY

Leopolda - Moim zdaniem...	- 92
Jan Prokop - Jesienne zapiski o letnich wydarzeniach	- 93

LISTY

Jan Prokop - Czego i z czego uczyć się w wolnej szkole?	- 98
Joanna Lerska - Sprostowanie	- 99

ARCHIWALIA

Wiktor Gomułicki - Dusza Rosji	- 100
--------------------------------	-------

SZKICE

MAREK ROSTWOROWSKI

"COUTE"

/ze zbioru zatytułowanego "sprawozdania"/

Benek Birn był u nas tylko jeden rok; przeniesiony do "gorszego" oddziału C nie dlatego, że był Żydem - kolegów Żydów mieliśmy pięciu - ale... czytał różne książki i pisma, wyrażał się lekceważąco o katechecie, miał poglądy lewicowe, nie objawiał polskiego patriotyzmu itp. To zostało zauważone, i na konferencji uznano go za element niepożądany w "lepszem" oddziale B. Przyjaźniłem się z nim, bo pociągał mnie jego wdzięk osobisty, żywość umysłu, horyzont intelektualno-literacki - jego inność.

W zimie 1941-42 jeden z kolegów zauważył go w grupie Żydów odśnieżających ulicę Prądnicką. Wyczekawszy moment oddalenia się Niemca podszedł do niego i zagadnął obiecując, że przyniesie coś do jedzenia. Benek, bardzo wychudzony - był z natury szczupły - powiedział, że to się na nic nie zda, bo przenoszą ich w coraz to inne miejsca, że on zresztą nie żyje długo.

Kraków, 1935-1942

x x x

Dawno już nie widzieliśmy Działoszyckiego. Kiedy zabronili im handlu, on, żeby czuć że żyje, zdobywał jakimś sposobem i przynosił po parę pudełek Egipskich, paczkę 26tego tytoniu Pursiczan, cienko krajanego, albo niemieckie papierosy Juno z napisem: "Warum ist Juno rund?" - następowało długie uzasadnienie zakończone wierszykiem: "Auf gutem Grund ist Juno rund". Miał uśmiechnięte niebieskie oczy, rzadką siwą bródkę, i okrągłe plecy obciążone brudną czarną satyną. Mówił zapalczywie, gwałtownie gestykulował, i obsypywał wilgotnymi pocałunkami.

Wzdłuż szosy do Szczucina leżą skrwawione zwłoki. Podobno strzelają do zostających w tyle, albo wybierają według upodobania i każą uciekać, i dopiero wtedy. A to jest podniecający sport, bo Żyd w swoim długim czarnym chałacie biegnie w sposób groteskowy, i każdy inaczej pada. Chwilę się rzuca lub tylko rusza, a potem leży rozpostarty bekształtnie w przyprószonym śniegim błocie jak wielki gawron. Podobno Niemcy i Ukraińcy kwaterujący w Słupi wieczorem wracają z pieniędzmi i złotem w kieszeniach, przez noc piją, i o świcie znowu ruszają na akcję. Kierunek i cel transportów

z razu nie znany, wkrótce stał się wiadomy - Treblinka. To dzieje się na drodze do stacji. We wsi oddalonej od drogi niby nic się nie dzieje, ale w powietrzu zawisi swąd mordu i trwa dzień za dniem, aż do końca akcji - mordu, który w tej sytuacji nam Polakom nie grozi.

Wójcza 1942

x x x

Wtedy w wielu przypadkach wódka stanowiła "modus vivendi". W migotliwej pijackiej mgie, przez którą czasem widzi się wyraźniej, pamiętam:

Rosły, przystojny, odważny chłopak demonstrował swoją matowo połyskującą szmelcowaną "Lamę" /duży angielski pistolet ze zrztu, wtedy marzenie każdego/, i opowiadał kogo i jak nią "załatwił": żandarmów, folksdojczę, miejscowego konfidenta i... Żydów przechowywanych w piwnicy przez wujka. Podobno ktoś słyszał jak Niemcy gadali, że we wsi są "Juden" i spodziewano się rewizji. Więc on rozwiązał sytuację - napił się wódki, zastrzelił, zapchał w worki, wywłókł i zakopał. Później zginął w jednej z akcji.

Jak uporać się z takim wspomnieniem? - Należało ostrzec Żydów! Musieliby wyjść, szukać innej kryjówki... - z jednej strony ryzyko, że Niemcy ich zobaczą i wystrzelają całą rodzinę przechowującego, z drugiej własna zbrodnia. Ale to nie dotyczy nas, słuchaczy opowiadania. Są sprawy przyczajone w zaułku świadomości, zarazem jaskrawe i ciemne.

Czarkowy 1943

x x x

Przyjaźnił się z miasteczkowymi Żydami. Uważany za dziwaka, brał udział w ich życiu - świętach, ślubach itp. To nawet wyjątkowe, że oni go zapraszali, bo nie mieli zwyczaju dopuszczać nie-Żydów do domowych ceremonii, zawsze religijnych.

Pewnego dnia, chyba jesienią 1941, zjawił się u nas na "Salwatorze" z walizeczką w ręce. Po obiedzie wyciągnął z niej wspaniałą kapę haftowaną kolorowymi jedwabiami i złotem, i kryształową, głęboko rżniętą czarę, zapewniając, że to jest święty Graal /legendarny kielich użyty przez Chrystusa podczas Ostatniej Wieczerzy, do którego Józef z Arymatei zebrał krew Ukrzyżowanego/. Narzucił kapę na ramiona, a był ubrany w biały golf, pepitowe bryczesy i eleganckie buty z błyszczącej brązowej skóry, których cholewy ozdobił pod kolanem złoty mankiet. Stary pierścień z gema i ostrogi uzupełniały ten trochę dżokejski strój rycerza-kapłana. Nie pasowały grube okulary - był krótkowzroczny. Z zagadkowym uśmiechem oświadczył, że w tym właśnie stroju udaje się na Wawel, z ważną i tajemną misją do gubernatora Franka. Moja matka, która słyszała o dziwactwach Stasia, tym razem się przeraziła, pewna, że go zaaresztują. Powiedziała, że się nie zgadza na taki wymarsz z jej domu. Wtedy poszedł na pobliski cmentarz, tam przebrał się w cieniu drzew i grobów, i przez cmentarną bramę, kapiący złotem, z rzucającym tęczywe ognie kryształem w rękę, wyruszył na Wawel. Wrócił wieczorem, podniecony, i zaczął opowiadać.

Z Salvatora na Wawel jest blisko, i nikt mnie nie zaczepił. Oczywiście ludzie trochę się gapili, ale z dystansu. Zgłosiłem na wartowni, że mam ważną wiadomość dla gubernatora, którą mogą przekazać tylko osobiście. Frank był poza Krakowem, i zastępował go Wechter. Wolałbym rozmawiać z Frankiem, ale zgodziłem się na Wechtera, bo drugi raz wejście może się nie udać. Nie wiem czy dobra niemczyzna, czy raczej wygląd sprawił, że zameldowali mnie telefonicznie. Słyszałem jak szczegółowo opisywali mój kostium. Po dłuższym czekaniu i rewizji zostałem wpuszczony. Strażnik wprowadził mnie na górę. W sieni zdjąłem kapę i chciałem ją powiesić. O nie, powiedział strażnik, właśnie o to chodzi, pan wicegubernator życzy sobie widzieć pana właśnie w tym stroju. Wechter przywitał mnie w miarę uprzejmie, ale rozmawiał stojąc. Boże odpuść, zwracałem się do tego mordercy jak do gentlemana. Pokazałem mu Graala, i oświadczyłem, że tę bezcenną relikwię oddam bez zastrzeżeń w zamian za pozwolenie wyrowadzenia Żydów z terenów okupowanych, co jestem w stanie zorganizować. - Dokąd? - może do Palestyny przez Szwajcarię i Morze Śródziemne, a może przez Bałtyk, to jest do omówienia. Żydzi, rabini, z którymi jestem w kontakcie, przyjmą każdą realną propozycję. Zorientowałem się szybko, że Wechter rozmawia ze mną tylko przez ciekawość; z zainteresowaniem oglądał Graala. Wreszcie oświadczył krótko, że to nie wchodzi w rachubę. Próbowałem perswadować, że w ten sposób pozbędą się bez kłopotu Żydów, których nie lubią, a takie rozwiązanie mogłoby mieć wpływ na opinię narodu niemieckiego w świecie, i nawet na dalsze losy wojny. W odpowiedzi dowiedziałem się, że Führer wie jak rozwiązać kwestię żydowską, że dalsze losy wojny zależą tylko od niego, i że zwycięzców nie interesuje opinia zwyciężonych. Na pożegnanie postanowiłem się trochę odegrać i powiedziałem żartobliwie: rozumiem, że pan odrzuca tę szansę, ale przyzna pan, że sprawa nie jest błaża. I jak wy Niemcy wyglądacie z waszą kulturą, jeżeli człowiek mający tego rodzaju powiernictwo musi, ażeby je przedstawić, zrobić ze siebie cudaka, którego wpuszcza się dla zabawy. Widocznie był rozbawiony i nie chciał się nade mną srożyć, bo powiedział tylko: odprowadzić i wypuścić. Nie wiem za kogo mnie wziął, ale ja jednak przeceniłem hitlerowskie szaleństwo. Próbując je przechytrzyć liczyłem na żdźbło romantycznej wyobraźni, która bywa przecież cechą Niemców, a miałem do czynienia tylko ze ślepym posłuszeństwem i wiarą we wszechmoc przemocy, tym razem przy zachowaniu poprawnych manier.

Staś był u nas raz jeszcze. Opowiadał o swoich wędrówkach po żydowskich gettach. Stał się jakby jednym z nich. Podchodził do konwojów i żegnał słowami "leszana haba be Jeruszalaim" /na przyszły rok w Jeruzalem - życzenia w wigilię paschy/. Posłyszawszy to starzec otoczony tłumem odwrócił się do niego, podniósł ręce i zawołał: "Eliachu"! W obliczu ostatecznej katastrofy zabłysła w jego umyśle era mesjańska poprzedzona powtórным przyjściem proroka Elisza, który znika natychmiast gdy został rozpoznany. On także zniknął, choć nie od razu. Kiedy nocą wracał z miasteczka, zatrzymał go patrol. Na wezwanie "stój, bo strzelam!" odpowiedział:

"Strzelaj, moje ciało upadnie przed tobą, ale mój duch będzie stał dalej tak, jak mnie teraz widzisz stojącego". Esemman wtedy nie strzelił, może się przestraszył, ale w roku 1945 Stasia już nie widziano, ani już nigdy potem nie słyszano o nim. Zostawił żonę i troje dzieci, dla których jego odejście było bolesnym zdumieniem, ale nikt nie słyszał od nich słowa wyrzutu pod adresem tego "szalonego" człowieka, który dobrowolnie wybrał Szoah.

x x x

Kraków, 1941-1945

Dom był zajęty przez oddział żandarmerii. Nie spałem całą noc, bo napodwórze pracowali oprawcy. Słychać było tępe, miękkie ciosy i jęki coraz innych ludzi. Rozróżniało się ich po tonie głosu i odmiennych reakcjach na uderzenia - zdławionych, stękających, płaczliwych, krzykliwych, natychmiastowych lub następujących tylko co jakiś czas w paroksyzmach bólu i strachu przed śmiercią. Co jakiś czas odzywały się także zapite głosy bijących: "Ja, du bist ein Bandit, Krucifix Sakrament. Będziesz odpowiadał?"

W dzień widziałem tych samych żandarmów krzających się po podwórzu, noszących wodę ze studni, kucharzających, gwarzących dobroduszenie, pokazujących sobie fotografie rodziny z westchnieniem "schrecklicher Krieg".

x x x

Czarkowy, 1943

Przekonanie, że Polak, który nie ulega Niemcowi jest bandytą, że Żyd jest szkodnikiem po prostu jako Żyd, konsekwentne likwidowanie "bandyty" i tępienie "szkodnika" w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, to objawy pewnej formacji psychicznej. Nie wystarczy moralnie obojętne wyjaśnienie, że esesmani to byli zwyrodnialcy i psychopaci. A reszta? - członkowie Narodowej Socjalistycznej Pracy i Walki? - Oni sami posiadali wprawdzie cechy maniackalne w stopniu chyba patologicznym, ale to był margines osobowości wodza, nieistotny choć z pewnością sugestywny. Ślepe posłuszeństwo jego wezwaniom u tak wielu Niemców o różnym, nieraz wysokim poziomie umysłowym, wynikało z przyjęcia nauki i programu który przedstawił. Doktryna Hitlera głosiła, że słusznosc jest atrybutem siły, że hasło "Bóg i Historia" jest własnością silnych, bo "Bóg jest z nami" /nie my z Bogiem/, a historię tworzyć będziemy my. Program przewidywał skupienie energii narodu przez totalną mobilizację sił i przez oczyszczenie go rasowo, a potem wyzwolenie tej energii - naturalne zawiązanie niższymi lub chorymi narodami Europy, dobroczynne pokierowanie nimi, i chirurgiczne uleczenie od żydowskiego pasożyta. Ażeby tego dopiąć potrzebne są cnoty: "Angriffsgeist" /duch ataku czy agresji/, oraz "die Treue" - wierność Führerowi, który wie. Pamiętam pouczenie Treuhändera: "der Führer hat so gesagt, es ist ja so".

Wielka fala, którą podniosła doktryna Hitlera załamała się, i tak zwana wiara w człowieka każe się spodziewać, że

ta perwersja etyczna była zamroczeniem przejściowym. Jednakże wielu nie miało czasu się obudzić. I czy to koniec? Czy "wiara w człowieka" zabezpiecza przed zwyrodnieniem, czy też może mu sprzyja? - Miliony żydowskich męczenników podnoszą ostrzegawczy palec.

X X X

Na symbolicznej steli grobowej Benedykta /przed kłatwą Baruch/ Spinozy przy Nieuwe Kerk w Hadze widnieje jedno łacińskie słowo: "CAUTE" /uwaga, ostrożnie/ - uważaj, upewnij się, abyś nie pobłądził. Jest to dewiza, którą autor "Etyki" "Ethica ordine geometrico demonstrata/ wyklęty przez amsterdamski rabinat w roku 1656 gdy miał 24 lata, wyrył na swojej pieczęci. Kłatwa zawierała zakaz czytania pism Spinozy uznanych za bezbożne, i była wyrokiem na człowieka, który odmówił ich odwołania. Wyrok nie oznaczał już kamienienia jak w starożytności - oznaczał więcej, bo domaganie się od Boga śmierci duchowej. W społeczności ortodoksów musiałby jednak doprowadzić także do pasywnie poniesionej śmierci fizycznej, bo z wyklętym nie wolno było rozmawiać, przebywać pod jednym dachem, niczego mu użyczyć, zbliżyć się do niego na odległość 4 łokci. W konsekwencji karą stawało się wygnanie poza społeczność żydowską - w swoim wymiarze doczesnym kara nieporównywalna ze spalaniem na stosie Giordana Bruna w roku 1600 z wyroku Inkwizycji.

Spinozańskie "caute" przypomina zdanie z Talmudu: "Bądź ostrożny w nauce, bo błąd w nauce to więcej niż grzech". Chodzi tu oczywiście o błąd w nauczaniu prawa boskiego prowadzący do jego przekroczenia. Skąd /inąd to właśnie zdanie godzi w naukę Spinozy, jeżeli ona rzeczywiście odprowadza od Boga. Ale Spinoza nie był bezbożny. On jedynie wyprowadził myślenie o Bogu poza horyzont Synagogi, i w ogóle poza pojmowanie Go jako osoby, i nie szanował autorytetu władzy duchownej. I to był grzech Jana Husa, Barucha Spinozy i Giordana Bruno, chyba nie tyle przeciwko Bogu, ile przeciwko tej władzy, która, zadufana w swoją znajomość prawa boskiego przywłaszczyła je i sekularyzowała; jego nieodgadnione wyroki zastąpiła ludzkim prawem karnym.

Każda kara doczesna wymierzona nie według ludzkiego, naturalnego prawa, ale w imię "siły wyższej", czy to wskazując na Torę, czy z krzyżem w ręku, czy w interesie postępu, czy zgodnie z imperatywem rasy - każde powołanie się na Boga i Historię przy represjonowaniu ludzi jest nadużyciem - głębszym niż sama represja. Bo zbrodnie sądzą ludzie /Norymberga/, a nadużycie tych imion - sam Bóg i Historia? - Jednakże wyrokami Historii nie mogą być zmienne werdykty historyków, a tylko bezwarunkowe świadectwa faktów - owoców nadużyć bezpośrednich, dalszych i najdalszych; świadectwa, które stają przed ludźmi, ale za sprawą Boga. A więc: "Deus sive Historia"? - To byłoby podobne do Spinozańskiej identyfikacji Boga z Naturą, która swoją abstrakcyjnością wprowadziła w błąd rabinów. A więc "Omnipotens, aeternus Deus, per quem omnia facta sunt".

Raul Hilberg, amerykański badacz zagłady Żydów, wygło-

sił w filmie "Shoah" oskarżycielską tezę, że najpierw chrześcijaństwo odmówił Żydom prawa do życia wśród nich, a w końcu odmówił im w ogóle prawa do życia. Ta efektowna konstrukcja retoryczna wymaga sprostowania. Prawdą jest, że masowa hitlerowska zbrodnia każe przypomnieć i potępić prześladowania Żydów, jakich dopuszczali się chrześcijaństwo. Ale teza Hilberga sugeruje, że hitlerowcy mordowali Żydów jako chrześcijanie, podczas gdy hitlerowcy odrzucili wynaturzoną ich zdaniem chrześcijańską sprawiedliwość i miłość bliźniego. Hitler mówił o "zarazie chrześcijaństwa", i członkowie N.S.D.A.P. mieli obowiązek wyrzec się Kościoła. Gdy zaś mowa o wyrokach katolickiego kleru na heretyków, czarownice i Żydów, o pogromach dokonywanych z krzyżem w ręku, to^o polegały one na "większym niż grzech" nadużyciu potępiającej przemocy nauki Chrystusa.

Doktryna Hitlera była dziwnym połączeniem dwu ateistycznych teorii: socjalizmu i rasizmu, i dekoracyjnego raczej dodatku neopogaństwa. Natomiast w swojej propagandzie politycznej Hitler nawiązywał do historii Europy nie tyle chrześcijańskiej, co politycznie związanej z hierarchią kościelną - do "Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego". To oczywiście nie miało nic wspólnego z chrześcijaństwem. "Święta Rzecz" - "morgen die ganze Welt" - miała uratować świat przed imperializmem "Światowego Żydostwa" wyłożonym w "Protokołach mędrców Syjonu", które Hitler zdawał się brać na serio. Walka z wrogiem wewnętrznym przedstawionym jako źródło wszelkiego zła jest sprężyną każdego totalitaryzmu, a drugą fanatyzm - pozbycie się naturalnego u człowieka zawahania pomiędzy hasłem a działaniem, tego psychicznego buforu, który czasem wyhamowuje ekstremalne czyny. Jego usunięcie pomogło Hitlerowi wyzwoić energię i znieść granicę pomiędzy bohaterstwem i zbrodnią u animowanych przez niego wyznawców narodowego socjalizmu. W świadomości tak ustawionych ludzi jedynie decydujący sukces lub katastrofa weryfikują program. A więc ostrożnie!

/.../ mądrość nie jest umiejętność;

Ta pragnie z teorii praktykę wyciągnąć,

A tamta teorię praktyką osiągnąć.

/Adam Mickiewicz, Zdania i uwagi, Mądrość i umiejętność/

Wyprowadzenie praktyki politycznej z teorii, to główna zasada dwudziestowiecznego totalitaryzmu - ujęcie społeczności ludzkiej w organizacyjny schemat. Jego najbardziej konsekwentną wersją jest marksowski "naukowy socjalizm", którego marginalną odmianę stanowił niemiecki "narodowy socjalizm". Każdy socjalizm powołuje się na historiozofię, w której jest zakodowany "ostateczny" ład. Tu jednak pojawia się antynomia: zaistnienie tego ładu, choć zakodowane, nie jest zdeterminowane i wymaga walki politycznej. Jej strategię opracowali komuniści. Polega ona na wskazaniu "jasnej siły" postępu /proletariat/, i siły wstecznej, "ciemnej" /burżuazja/ - siły, na której należy się oprzeć, i tej, którą należy zwalczyć, ażeby "bój to był ostatni", "rozwiązanie ostateczne", ażeby "ukoronowanie rozwoju historycznego" stało się faktem. Wtedy znikną antagonizmy i zapanuje harmonia. Ta historiozoficzna koncepcja powołuje się na sprawiedliwość

tylko jako na hasło do walki, bo kiedy już zapanuje totalny ład - ustrój - zwyczajestwo - sprawiedliwość automatycznie zrealizuje się w harmonii. Dlatego wypada określić tę koncepcję jako w istocie swojej estetyczną, a nie moralną. Bo moralność jest nauką życia, a nie idealną strukturą. Praktyczna, niedoskonała, lecz moralna jest demokracja. Natomiast doskonałość, wieczna szczęśliwość, to atrybut boski, którego podobieństwo tylko tkwi w człowieku. Jego przeblyskiem jest miłość, religia, sztuka, myśl, heroiczny czyn, natomiast jako trwała zdobycz podpowiada to szatan; podpowiada począwszy od Genetis zamysł uszczęśliwienia ludzi - zamysł nadrzędny, w którego realizacji nie wolno oglądać się na żadne względy. Wynik jest tematem tego sprawozdania.

W Mickiewiczowskiej wielkiej improwizacji szatan podpowiada Konradowi słowa, które powtórzy Hitler: "Chcę go zdziwnąć, uszczęśliwić, chcę nim cały świat zadziwić". Dla Norwida przeblysk doskonałości w ułomnym człowieku jest osią jego myślenia.

/.../

O! Ty - D o s k o n a ł e - W y p e ł n i e n i e,
Jakikolwiek jest Twój, i gdzie?... znak...
Czy w F i d i a s u? D a w i d z i e? czy w S z o p e n i e?
Czy w E s c h y l e s o w e j s c e n i e?...
Zawsze - zemści się na tobie: BRAK!...
- Piętnem globu tego - niedostatek:

/.../

/Fortepian Szopena/

/.../

Jeszcze tylko kilka stromych gór,
A potem - już słońce i harmonia!...

/.../

I wciąż tylko jeden jeszcze trud -
Wysilenie jedno - jeden cud -

A potem - już nie!...

/Święty-pokój/

Konrad szuka "sposobu". W zacytowanych fragmentach Norwida zawarta jest tęsknota i ironia.

Ogólne uporządkowanie nie jest chyba aspiracją Polaków, ale w piękność własnego narodu łatwo uwierzyć. Mickiewicz myśląc o Polakach i Żydach ułożył piękną metaforę: "Izrael starszy brat" polskich pielgrzymów. Kiedy jednak chciał to wytłumaczyć rabinowi w paryskiej synagodze /11.VIII.1845/, przytrzymał go siłą, bo ten nie chciał go słuchać. Nie zobaczył młodszego brata w polskim poecie mówiącym doń o polskich Żydach. "Braterstwo" to piękne słowo, ale naturalny stosunek pomiędzy starszym a młodszym, to wcale nie konieczność "uszanowanie i pomoc" /Mickiewicz, Skład zasad/. To jest możliwe w wieku dojrzałym, ale wcześniej bywa posługiwanie się młodszym przez starszego, zawiść, odwety i bójki. Toteż metafora Mickiewicza dotyczy podobieństwa złego losu dwu narodów, zniewolonych i wygnanych, i jest wyrazem pragnienia poprawy. Jednakże tę metaforę stosować trzeba głębiej - do stosunku mozaizmu i chrześcijaństwa. Tu sprawa starszeństwa

i młodości wygląda już inaczej - "ani z krwi, ani z żądz ciała, ani z woli męża, ale z Boga" /wstęp do Ewangelii św. Jana/. Oczywiście stary testament starszy jest od nowego, ale jest także dziedzictwem chrześcijan, tych "Żydów nowego testamentu" jak ich nazwał Miłosz; jest więc dziedzictwem obojga braci - religijnie, choć nie genealogicznie, równych wiekiem - którzy poróżnili się w kontynuacji hebrajskiej biblii. Dalszą drogą Żydów stał się Talmud, dla chrześcijan stała się nią Ewangelia. W tym zapewne znaczeniu Jan Paweł II zwrócił się do Żydów jako do braci.

W myślowym zamęcie naszego wieku liczą się sprawy najbardziej zasadnicze. Wglądnijmy w nasze braterstwo - UWAŻNIE.

x x x

Kraków, 1935-1941; Wójcza, Czarkowy, 1941-1943; Haga, 1961.

Kraków, kwiecień 1986

Marek Rostworowski

^xWyklęty opuścił Amsterdam i, nie przyjmując chrztu, zbliżył się do chrześcijańskiej sekty rijnsburskich kolegiantów. Pochowano go w kościele, a kiedy upłynął okres koncesji grób został opróżniony. W miejscu przypuszczalnego przeniesienia zwłok, na przykościelnym cmentarzu, staraniem międzynarodowego Towarzystwa Spinozańskiego stanął w roku 1927 symboliczny nagrobek z łacińskim napisem oraz płaskorzeźbionym portretem i różą /jakby obrazowy zapis nazwiska: spinosus znaczy ciernisty, także dowcipny/. Dwadzieścia dziewięć lat później, w trzechsetną rocznicę klątwy, przy nagrobku leży czarny kamień z galilejskiej skały, na którym wyryte hebrajski napis "AMSZA" - przy tobie. Ta deklaracja pojednania mogła jednak zostać złożona tylko w imieniu narodu. Dla Synagogi, wyrokiem z roku 1656 Spinoza pozostaje odrzucony.

•

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

WIELKA PRZEBIERANKA

1.

Ta propaganda stała się przedmiotem komentarzy już w czasie działań przedwyborczych, niemal od początku towarzyszyła jej refleksja metapropagandowa. "Gazeta Wyborcza" nie tyle polemizowała z tym, co głosiła agitacja partyjna /przepraszam, koalicyjna/, ile wskazywała na jej mechanizmy, ujawniała reguły działania /by wspomnieć cenne artykuły Jana Łityńskiego i Teresy Boguckiej/. Powstała sytuacja godna zastanowienia, propaganda owa wyjść miała poza wypraktykowane

komunistyczne wzory, okazywała się jednak ich niewolnicą. Miała być czymś noym, i w jakimś sensie była, ale równocześnie ciążenie tradycji okazywało się tak silne, że owa nowość nie mogła się wykrystalizować, a w konsekwencji techniki propagandowe nie były w stanie sprostać nowo powstałemu układowi rzeczy. Chodzi tu wszakże o coś więcej niż tylko o nie, propaganda ta jest przede wszystkim dokumentem pewnego stanu umysłów, jest wyrazem pewnej mentalności. Stanowi świadectwo położenia, w jakim znalazła się ideologia komunistyczna - w Polsce, ale chyba nie tylko w Polsce.

Zasadniczym motorem tej propagandy było - zgodnie z tradycją - nastawienie na manipulację. Jak się zdaje, przedstawianie własnych kandydatów i - przede wszystkim - własnego programu miało grać /i rzeczywiście grało/ mniejszą rolę; nie wiem, w jakiej mierze działało się tak na skutek świadomości przyjętych decyzji, na ile zaś z racji faktu, że z różnych powodów partia do formułowania idei pozytywnych okazała się niezdolna, a oddziaływanie praktyk propagandowych lat ostatnich było tak wielkie, że nie można się było od nich wyzwolić. Niezależnie od przyczyn, jakie o tym zdecydowały, manipulacja była siłą napędową tej propagandy. Przybierała różne postacie i występowała w różnym nasileniu.

I zaczęła się wcześniej niż właściwa kampania wyborcza, naprawdę była więc na początku. Niczym innym przecież jak manipulacją było wylansowanie problemu ustawy o przerywaniu ciąży właśnie w momencie takim, w jakim on się pojawił. I w postaci tak prowokacyjnie nieprzemysłanej, rażąco ostrej i mającej po temu szanse, by antagonizować społeczeństwo. Projekt ustawy, gdyby stał się - a takie niewątpliwie były intencje - składnikiem wyborczej rozgrywki, rozbiłby elektorat opozycji i jej kandydatów stawiał w sytuacji bez wyjścia. Opowiedzenie się za ustawą w jej nowej wersji zyskiwałoby poklask pewnych grup, ale budziłoby zdecydowanie negatywną reakcję grup innych, a na tym skorzystałby ktoś trzeci. Rzecz pomyślana została chytrze, ale też krótkowzrocznie, nie liczone się - jak wielokroć w trakcie tej kampanii - z mądrością społeczną, która zgodnie uzna, że ta trudna i poważna sprawa nie nadaje się na przedmiot przedwyborczych dyskusji.

Skoro ta akcja się nie powiodła, trzeba było uciec się do wątków i gierek bardziej wypróbowanych, mających za sobą starą tradycję. A więc zaczęto wprowadzać coś w rodzaju szumu w kampanię Solidarnościową. Chodziło nie o przeciwstawienie rzeczowych, czy choćby tylko retorycznych argumentów, sprawą pierwszoplanową stało się zakłócanie komunikacji. A temu służyło przede wszystkim werbalne zacieranie różnic między kampanią jednej i drugiej strony. Zjawisko to miało głębszy i rozleglejszy charakter, wpływało na pewne porządki i opcje. Wielu kandydatów Komitetu Obywatelskiego odwoływało się do wartości religijnych. Ale robiła to także część zabiegających o fotele poselskie i senatorskie przedstawicieli partii i jej sojuszników, różnice bowiem miały się zatrzeć. Jeszcze nie tu miejsce, by analizować ten fenomen tak daleko posuniętej niepryncypialności ideologicznej, zacieranie granic było jednak manipulacją ważną i łatwo zauważalną. /1/

Następnym jej przejawem było swoiste rzutowanie na "Solidarność" tego negatywnego obrazu partii, jaki funkcjonuje w społeczeństwie. Partia była autokratyczna, ale teraz już nie jest, taka zaś się stała "Solidarność", która z góry wyznacza swoich kahydatów i poucza, by głosować tylko na nich. Czasem rzecz formułowano jeszcze wyrażściej, dodawano bowiem: partia taka była przedwczo- /a więc kiedy, może aż za Stalina?/, "Solidarność" zaś taka jest dzisiaj. Stąd w pseudo-ankietach przedwyborczych, emitowanych wielokrotnie w programie telewizyjnym, stawiano rzekomo przypadkowym osobom pytanie: skreślisz kogo ci każą, czy też będziesz głosować mądrze? Każdy, oczywiście, odpowiadał, że mądrze, a więc - w domyśle - nie tak, jak swym zwolennikom zaleca Komitet Obywatelski. Niekiedy stawiano kropkę nad i. Bodaj Urban oświadczył, że takiej partii w duchu bolszewickim jak "Solidarność" nie było już w Polsce od dawna. Przedstawiano ją po prostu jako karykaturę PZPR z jej gorszych i jakże już odległych czasów. I odnoszono do niej terminy, które stosują się wyłącznie do komunistów /np. szeroko lansowany koncept z "nomenklaturą Wałęsy"/.

Ale i na tym nie koniec. Ostatnie dni przed 4-ym czerwca ubarwił nowy /choć w istocie stary jak PRL/ wątek: "Solidarność" jest na zachodnim żołądź, prowadzi swą kampanię wyborczą za obce pieniądze, co ogranicza naszą suwerenność, a ten czy ów bardziej gorliwy napomynał nawet o Targowicy. /2/ Do akcji włączono politycznych emerytów /w tym Stanisława Kanię/ i żalosnych weteranów partyjnej propagandy w rodzaju Mariana Podkowińskiego, a także inne jeszcze wyranżowane osoby. Laży się słowa demaskacji i oburzenia z wszystkich możliwych kątów. I tutaj także stosowano wypróbowane chwytty. A więc cytowano różne zachodnie autorytety, które potwierdzać miały, że "Solidarność" bierze forszę, skąd się da i wykorzystuje ją na cele wyborcze, wniosek nasuwać się miał sam: jest ona przekupna, chciwa, a na dodatek jeszcze - antypolska. Rzecznik prasowy MSW, pułkownik Garstka, z przejęciem cytował austriacki dziennik "Volksstimme", ale zapomniał dodać, że jest to organ partii komunistycznej, publikujący prawdopodobnie to, o co poprosili polscy towarzysze, znajdujący się w przedwyborczej biedzie. I ten chwyt dobrze jest znany. Nie tyle skądinąd, ile z licznych poprzednich kampanii propagandowych. Bo to, co się działo w ostatnich dniach przed 4-ym czerwca, w istocie nie było niczym innym jak kampanią propagandową, przypominającą tę, jaką poprzedzono ogłoszenie stanu wojennego, a także tego rodzaju akcje z innych dramatycznych momentów. I tutaj ujawniła się pewna osobiwość. Przodowała w tej kampanii niezawodna "Trybuna Ludu", ale że krag jej czytelników jest dość specyficzny, dawany przez nią odpór adresowany był przede wszystkim do tych, którzy z góry byli przekonani i na tego rodzaju działania czekali. A ze względu na samą akcję wyborczą ten właśnie organ nie był zapewne dla partii najważniejszy.

2.

Towarzysze z takim altruizmem zajęli się swoimi konku-

rentami, że zapomnieli o sobie samych; oddani manipulacji, nie pomyśleli, że w sytuacji wyborczej przede wszystkim własnym kandydatom powinni zorganizować publicytność. Dzisiaj, już po fakcie, sami mówią o swoich niezręcznościach i zaniedbaniach /uczynił to m.in. niefortunny kandydat na senatora, Stanisław Trepczyński, /3/ startujący - jako delegat Polski z Unicef - w barwach przyjaciela dzieci/. Jak się zdaje, wyraziły się w nich zjawiska głębsze, chodzi tu bowiem o coś więcej niż o nieprzygotowanie partii, która wszystko zdobywała z własnego nadania, do choćby częściowo demokratycznej walki wyborczej /ten wzgląd też zresztą jest ważny/, chodzi o kryzys tak komunistycznego kodu personalnego, jak i kryzys języka, którym do tej pory partia się posługiwała; oba te kryzysy łącznie /są one ściśle ze sobą powiązane/ dają świadectwo nieprawdopodobnego wręcz bankructwa ideowego.

Kryzys kodu personalnego komunizmu wyraził się w tym, że lansując swoich kandydatów partia nie mogła się odwołać do tych wzorców osobowych, które przy wszelkich możliwych okazjach przedstawiała. Ową kod personalny ujawnił się w przemówieniach pochwalnych, nekrologach, notkach informujących o biografii osoby, mianowanej na nowe stanowisko, przemówieniach rekomendujących, w czasie jubileuszy, itp. Ale teraz trudno już było mówić o wiernych towarzyszach, zasłużonych utrwalaczach władzy ludowej, oddanych wielkiej sprawie socjalizmu, trudno było mówić o tych, co - zawsze na posterunku - jej właśnie oddali wszystkie swoje starania, ba, całe swe świadome życie. Trudno, bo u podstaw oficjalnej propagandy wyborczej znalazło się przeświadczenie, że w tej konkretnej sytuacji eksponowanie tych właśnie partyjnych cnót stałoby się antyreklamą. W konsekwencji kandydaci nieustannie udawać musieli innych niż są i - przede wszystkim - innych niż się dotychczas przedstawiali. Nawet słowo "socjalizm" zniknęło z ich enuncjacji /by nie wspominać już o komunizmie, który stał się słowem wręcz zakazanym/. To prawda, Polska czy ojczyzna dawno już, bo przed ćwierćwieczem, weszła do zasobu partyjnej propagandy, tłumaczono nam jednak zwykle, że tylko Polska socjalistyczna jest tą Polską prawdziwą i jedynie możliwą, teraz wszakże wątek ten się nie pojawił, kandydaci partyjni chcieli się pokazać po prostu jako patrioci bez żadnych przymiotników, tacy, co dla ojczyzny gotowi są uczynić wszystko, nawet zasiąść w sejmie lub w senacie.

I tutaj załamanie komunistycznego kodu personalnego ujawnia się z dużą siłą. Działacze partyjni pokazują się już nie jako bojownicy o socjalizm, wierni naukom Lenina, ale w roli entuzjastów demokracji, popisujących się tolerancją i umiłowaniem wolności. Partyjna dama zabiegająca o fotel senatorski oświadcza na całą Polskę, że ma męża pobożnego katolika i że stanowią oni przykładne stadło, wolne od wszelkich ideologicznych konfliktów. Naiwny oglądacz telewizji ma wyciągnąć wniosek, że gdy dama owa zasiądzie w senacie, to będzie dbała, by w całej Polsce było tak harmonijnie i spokojnie, jak w jej rodzinnym domu. Ktoś inny oświadcza, wprawdzie z zażenowaniem i nieśmiało, że jest członkiem PZPR, ale określa się jako katolik i dorzuca informację, że wielokrot-

nie bywał u Ojca Świętego. Jakiś sekretarz z małego miasteczka z dumą powiadamia, że zabiegał, by w nowej dzielnicy wybudowano nie skromną kaplicę, jak początkowo planował proboszcz, ale piękny i wspaniały kościół /chciałoby się powiedzieć, kościół na miarę naszych czasów/ - i rzeczywiście kamera ów ładny nowoczesny kościół pokazuje. Z intencją niedwuznaczną: to, że jest taki duży i piękny, wierni zawdzięczają kandydującemu sekretarzowi. I tu zaszła zasadnicza przemiana: członkowie partii, w której ateizm był do niedawna ideologicznym obowiązkiem, przekształcili się w ludzi pobożnych, sprzyjających Kościołowi, dbających o interesy wiernych. Ale nie była to metamorfoza jedyna. Zwłaszcza na początku kampanii eksponowano wątki ekologiczne: Czerwoni przekształcili się w Zielonych. Zaiste, trzeba by pióra Owidiusza, by o tak niezwykłych przemianach opowiadać.

Kandydaci w większości przedstawiali się jako ludzie głęboko zatroskani o różne, wciąż nierozwiązane problemy naszego życia codziennego. Jeden chce naprawić osiedlową drogę, inny zapewnia, że wybuduje studnię, słynna telewizyjna dziennikarka z niezwykłą oryginalnością i śmiałością komunikuje swym wyborcom, że jest przeciw kolejkom przed sklepami. Motyw budowania, traktowany alegorycznie, cieszy się sporym wzięciem. Jakiegoś kandydata spod łodzi pokazuje się na tle domu, który świeżo sobie postawił. Przesłanie jasne: gdy go wybieriecie, z podobnym oddaniem, energią i rozumem budować będzie Polskę. Linia propagandowa jest wyraźna: kandydaci partyjni mówić mają o tym, co należy do codzienności, co znajduje się w zasięgu ręki, wszelkie problemy ogólne stają się nieważne. Nie trudno zorientować się, jaka jest podstawa tego rodzaju działań agitacyjnych. Wynikają one ze słynnej petite phrase Rakowskiego, głoszącej, że Polaków interesuje nie stół okrągły, ale dobrze zastawiony. Sprawy ogólne, społeczne, ekonomiczne, polityczne, po prostu są im obojętne. Retoryka małości, jaką tu obserwujemy, była wynikiem takich właśnie żenujących wyobrażeń na temat polskiego społeczeństwa.

Ale obok towarzyszy zatroskanych tym, że w Iksinowie sklepy są za krótko otwarte, wystąpił typ inny. Swojego rodzaju zdobywcy, ludzie sukcesu, /4/ dzielni przedsiębiorcy, przysparzający i sobie i państwu pieniędzy, ludzie, przypominający bohaterów powieści tendencyjnej z czasów wczesnego pozytywizmu. Tutaj wzorem pozytywnym jest już nie robotnik, którego przez dziesięciolecia przedstawiano na plakatach pierwszomajowych, ale rzutki dyrektor, który potrafi robić forszę. Ba, zdobywanie pieniędzy przedstawiane jest jako cnota, bogactwo /niemal w równej mierze co pobożność/ stanowi argument na rzecz kandydata. Nawet zlepowski chudy literat, Piotr Kuncewicz, udziela w swym plakacie wyborczym rad, jak zostać milionerem /jak na literata przystało, czyni to w rymowance/. I tutaj dochodzi do głosu podobne rozumowanie, co w przypadku tego człowieka, który wybudował sobie dom. Skoro ktoś umie zdobywać pieniądze jako szef przedsiębiorstwa /własnego czy państwowego, granica dziwnie się zacierała/, to będzie odpowiednim posłem bądź senatorem, jednym z tych, którzy wywiodą polską gospodarkę z kryzysu.

I zatroškani i zdobywcy odznaczali się jedną przynajmniej cechą wspólną: najchętniej zachowaliby swoją przynależność partyjną w dyskrecji. Towarzysz profesor Pastusiak, zapytany w telewizyjnej audycji "Otwarte studio" przez młodszego człowieka, czy należy do partii, przyznał się do PZPR z najwyższą niechęcią. I od razu zapewnił, że jest rekomendowany nie przez partię, ale inną organizację społeczną /bodaż towarzystwo miłośników Kanady/. Dodał też, że jest autorem czterdziestu książek /biedaczek zapomniał, że większość z nich, to brzusury propagandowe, demaskujące amerykański imperializm/. I to stało się regułą: kandydaci partyjni z uporem oświadczaali, że zostali zgłoszeni przez jakieś mniej lub bardziej neutralne organizacje czy stowarzyszenia; należało się domyślać, że posiadanie czerwonej legitymacji stanowi wynik jakiegoś przykrego zbiegu okoliczności, lub wręcz działania fatum, bo naprawdę, są przyjaciółmi dzieci, czy wielbicielami Kanady. I tutaj właśnie obowiązywała zasada udawania kogo innego niż się jest. Ba, niemal zniknęło słowo "partia", ustępując miejsca "koalicji".

A miało to dla retoryki wyborczej znaczenie szczególne, gdyż partia postanowiła budować swą propagandę, usuwając się w cień, nacisk kładąc na walory poszczególnych kandydatów./5/ I tutaj aspiranci do parlamentarnych foteli przedstawiać musieli bądź biografie puste, oczyszczone z wszelkich realiów, bądź po prostu fikcyjne, jak ów sekretarz dbający o to, by kościół w nowej dzielnicy był piękny i okazały. A także dalekie od tych wzorców, które dotąd lansowano. Kryzys komunistycznego kodu personalnego ujawnił się w trakcie tej kampanii wyborczej z siłą wyjątkową. Nie jest to jednak zjawisko odosobnione, stanowi część kompleksu dużo większego, a mianowicie rozpadu języka ideologicznego.

3.

Propaganda komunistyczna znalazła się w sytuacji osobliwej, skoro tylko częściowo dane jej było wystąpić w tradycyjnej roli: mogła dokonywać różnego rodzaju manipulacji wobec przeciwnika, część pozytywna jednak została jej odjęta. Działacz partyjny podobnie jak nie mógł realizować tradycyjnego wzorca osobowego, nie mógł w swych wyborczych zabiegach używać swojego języka kanonicznego, czyli nowomowy w jej klasycznym kształcie. Był zobowiązany do zatajania swojej partyjności, a więc nie mógł posługiwać się mową, która nosi znak firmowy PZPR i jest momentalnie rozpoznawana. Znalazł się w sytuacji trudnej. I musiał zdać sobie sprawę, jeśli zdolny jest do refleksji, że ten język, którym do niedawna operował z dużą sprawnością, w pewnych sytuacjach okazuje się mało elastyczny i mało przydatny. Wówczas, gdy toczy się nawet częściowo tylko demokratyczne współzawodnictwo, tradycyjny język komunizmu staje się dysfunkcjonalny, po prostu nie jest w stanie spełniać tych zadań, których od niego oczekiwano.

I - jak sądzę - właśnie w trakcie kampanii wyborczej ujawniła się ze szczególną dobitnością sytuacja nowomowy w Polsce. W ostatnich miesiącach obserwujemy załamanie się jej

klasycznej postaci. Poza takimi dziedzinami jak walka z przeciwnikiem, wyrażająca się w agresywności i manipulacji jawnej, w żaden sposób nie zapośredniczonej, nie występuje ona w tym kształcie, do jakiego się przyzwyczailiśmy przez dziesięciolecia. Nie sposób jednak powiedzieć, że ona zanika, nie sposób choćby z tej przyczyny, że nadal działają te instytucje, które są fundamentem jej istnienia i nieustannie ją wytwarzają, wydaje się jednak niewątpliwe, że straciła wyrazistość. I weszła w nową fazę rozwoju, taką, w której czynnikiem dominującym jest nie wyróżnianie się na tle innych stylów społecznego mówienia, ale przeciwnie dążenie do maksymalnego do nich upodobnienia. I podczas kampanii wyborczej ta ogólna tendencja narzuciła się z dużą wyrazistością. Partyjny propagandysta czy kandydat powiadamia jakby o czymś takim: jestem kim innym niż byłem, a więc mówię inaczej niż poprzednio, czerpię środki z tych rejonów mowy, które do tej pory były dla mnie nie tylko niedostępne, ale wręcz budziły zasadniczy sprzeciw ideologiczny. Ów symboliczny sekretarz, zabiegający o to, by w nowej dzielnicy kościół był piękny i okazały, może mówić najróżniejszymi językami, pożyczanymi czy podkradanymi gdziekolwiek, i zarazem nie wychodzić ze swej roli.

I to właśnie dla obecnego położenia nowomowy w Polsce wydaje się najważniejsze: stała się ona językiem pasożytniczym, językiem czerpiącym słowa i formuły z różnych odmian mowy, także tych, które jeszcze do niedawna określane były jako wrogie. Nowomowa traci więc swój wymiar stylistyczny, rozmywają się jej konwencje, jedno wszakże pozostaje niezmienione: nie przestaje być językiem władzy i językiem ideologii, która - choć już nadkruszona - przyznaje sobie pozycję szczególną. A więc ów sekretarz może się wypowiadać z równym powodzeniem w stylu eklezjastycznym, co w stylu kapitalistycznego menadżera, z równym zapałem w stylu liberała, marzącego o wolnej konkurencji, co w stylu socjaldemokraty. I tutaj sprzeczności nie powstają, język ten bowiem w całości, w każdym swym wymiarze, jest krańcowo nieautentyczny, jest sztuczną stylizacją, w której wszystko łączyć się może ze wszystkim. I właśnie kampania wyborcza - powtórzmy - ukazała właściwości tego języka ze szczególną dobitnością. Kandydaci partyjni i - zwłaszcza - przypartyjni nieustannie udawali, że są kimś innym niż są - i odpowiednio do tego rodzaju zachowań mówili. Nowomowa weszła w stylizacyjne, ze swej istoty pasożytnicze stadium rozwoju. I ją także objęła wielka przebieranka./6/

Czerwiec 1989

Michał Głowiński

/1/ Osobny podstyl w obrębie propagandy koalicyjnej stworzyli działacze OPZZ-u. Ich sposób mówienia stanowił kontynuację tego, co przedstawiali wcześniej, także przy okrągłym stole. Praktykują oni agresywny styl insynuacyjno-rozszczeniowo-demagogiczny; można go nazwać - od nazwiska jednego z mistrzów - stylem Martyniuka.

/2/ W domu powieszzonego nie powinno się mówić o sznurze. Liczne publikacje "Trybuny Ludu", zwłaszcza zaś jej redaktora naczelnego, Jerzego Majki, pisane były tak, by przedstawiać całą opozycję jako konsekwentnych i nieprzejednanych wrogów ZSRR. Adresaci tych elukubracji nie byli bezpośrednio wskazywani, nie można było się nie domyślać jednak, kim są, one same zaś przypominały pisma, jakie ten i ów siał pod koniec XVIII wieku z Polski do Petersburga.

/3/ S. Trepczyński. Po przegranej, "Polityka" 1989 nr 24

/4/ Tak np. aspirujący do fotela senatorskiego Andrzej Bem przedstawiał się jako człowiek sukcesu, za którym właśnie ludzie sukcesu powinni się opowiedzieć.

/5/ Choć ich także przedstawiano często w sposób nader ogólnikowy. Stąd osobliwe przez swą nieokreśloność wezwanie: głosuj na najlepszych.

/6/ Dodam, że faktem wartym podkreślenia jest pojawienie się w kampanii wyborczej żywiołu ludycznego - i to po obydwu stronach. Liczne dystychy, zalecające kandydatów, często upodabniały się do rymowanek i zawierały w sobie coś zabawowego. "Okazja niebylejaka, głosuj na Grześka Woźniaka" - pouczał wyborców gwiazdor telewizyjnych dzienników; "Nie chciesz w sejmie bolszewika, głosuj na Darka Wójcika" - zalecał młody kandydat KPN-u startujący w Lublinie /domeną ludyczności były też na ogół dopiski ręczne na plakatach wyborczych/. Zob. o tym ciekawą publikację "Życia Literackiego" /1989 nr 24/ pt. Folklor polityczny; jest to rozmowa Z. Otałęgi z językoznawcami J. Bralczykiem i B. Urbańczykiem.

TADEUSZ CHRZANOWSKI, KUL

KOŚCIÓŁ POLSKI A PROBLEMATYKA KONSERWATORSKA /1945-1988/

Nie roszczę sobie prawa do wypowiadania sądów ogólnych, a zwłaszcza kategoriycznych. Nie mam jednak innego wyboru, jak tylko przedstawić czytelnikowi moje własne przemyślenia i oceny dotyczące działania Kościoła w Polsce w latach powojennych w zakresie opieki nad zabytkami oraz podejścia do problematyki artystycznej, a więc w stosunkowo szerokim zakresie działań nie tylko konserwatorskich. Podkreślając, że opinie wyrażane dalej są tylko i wyłącznie moimi własnymi opiniami, wyrobionymi w ciągu wielu lat obracania się pośród zabytków mego kraju, zdaję sobie sprawę, że wiele z nich może się spotkać z negatywnym stanowiskiem przedstawicieli onejże instytucji. Któż bowiem instytucja lubi być krytykowana? Nawet najbardziej świętobliwa krytyki nie znosi, zwłaszcza gdy wychodzi spoza kręgu funkcjonariuszy. Ale pracując na KUL i tak nic już właściwie nie mam do stracenia.

Ale, żeby sprawę wyjaśnić do końca: opinie są w tym rozważaniu cząstkowe i dopiero jako całość składać się mogą na próbę bilansu. I ogólnie spoglądając na ów kompleks, trzeba powiedzieć wyraźnie: to co w zakresie spuścizny posiadamy należy w zdecydowanej przewadze do kręgu sztuki kościelnej.

Kościół w minionych stuleciach potrafił zachować tak wiele, pomimo iż także i jego nie oszczędzały dziejowe nawałności. Kościół ma bowiem nie tylko mocno zakorzenioną świadomość własności, więc pieczętowiec chroni to, co doń materialnie należy, ale także rozwinął w okolicznościach dziejowych katalizmów specyficzną samowiedzę narodową i patriotyczną. To dzięki niej nasz kraj może - mimo wszystko - pochwalić się przed obcokrajowcem wspaniałością sakralnych fundacji, gdy równolegle nie może się chwalić ani wielkimi, ani małymi rezydencjami szlacheckimi, urokami mieszczańskiej zasobności, a nawet świadectwami chłopskiego wyczucia piękna zawartego w budownictwie wiejskim.

Oczywiście w okresie powojennym można wydzielić kilka faz, bardzo się wyraźnie odróżniających, a faza pierwsza przypada na dziesięciolecie po zakończeniu wojny. Można by tu dostrzec pewne krótsze podokresy, odnoszące się przede wszystkim do szybko przeobrażających się warunków politycznych. Zaostrzająca się walka z Kościołem miała oczywiście negatywny wpływ na dzieło odbudowy setek zniszczonych w czasie wojny świątyń i zablokowała budowę nowych, w zasadzie jednak ów okres do przełomu październikowego odznaczał się dużą dynamiką działań i właśnie wtedy powstały z popiołów liczne, czasem ogromne budowle kościelne naszej przeszłości.

Składał się na to pierwszy powojenny zapał ludności kraju, która przeżywszy tak wiele i wcale jeszcze nie wyzwolona z dalszego ucisku, przy wszystkich niedostatkach, przy całej pauperyzacji dziedzicznej po przeszłości i nabywanej od narastającej "rzeczywistości" podjęła imponujący wysiłek w zakresie odbudowy zabytków. Z drugiej - trzeba przyznać obiektywnie - ekipa Bieruta, cokolwiek by o niej powiedzieć można /a powiedziano już wiele i z pewnością jeszcze więcej przyszłość ujawni/, nie żałowała pieniędzy na kulturę, a w tym na odbudowę zabytków. I jeszcze nie zaostrzyły się, szczególnie w pierwszych kilku latach, stosunki Kościół-państwo, by miało to rzutować na fundusze przeznaczane na odbudowę świątyń.

Nie będę się tu wdawał w szczegóły, mamy zresztą nawet publikacje na temat odbudowanych kościołów; faktem jest, że w omawianym okresie dźwignięto z ruin znacznie więcej zniszczonych budowli niż w następnych trzech dziesięcioleciach, co nie wynika z tego, że już coraz mniej pozostawało do odbudowania, lecz z tego, że zabrakło wsparcia ze strony państwa, a nawet pomocy administracyjnej /zezwoleń, przydziałów materiałów reglamentowanych itd./, a także stąd, że Kościół zaczął więcej wysiłku wkładać w budowanie nowych świątyń na niekorzyść odbudowy dawnych. Istotnie - zadziało tu stare, ekonomiczne prawo podaży i popytu, niemniej - chociaż w zwolnionym tempie, ale jednak odbudowa trwała i trwa jeszcze, a na swoją kolejkę oczekują np. stojące tuż nad zachodnią granicą wielkie gotyckie fazy w Gubinie czy Chojnie.

Można oczywiście postawić kwestię w sposób następujący: po co odbudowywać ogromne świątynie w miejscowościach, w których liczba mieszkańców jest niewielka? Ale w grę wchodzi nie tylko problemy użytkowe budowli kościelnych, lecz także znaczenie tych zabytków w skali regionu czy nawet kraju. Ta-

ką późną odbudową, dokonaną wyłącznie dla przesłanek kulturowych, jest tzw. kościół starofarny w Świeciu. To średnio-wieczne miasto na przełomie minionego i obecnego stulecia wyprowadziło się, z uwagi na częste powodzie, z pradoliny Wisły i przeniosło na jej wysoki brzeg, pozostawiając po sobie "duch miasta" w postaci ruin zamku, murów miejskich i samotnego kościoła, a świątyni tej z praktycznego punktu widzenia parafia już nie potrzebowała. A jednak zgruchotaną pociskami starą farę odbudowano przed kilku laty i widzę w tym dokonanie konserwatorskie o szczególnym znaczeniu, widzę w tym symbol odpowiedzialności władz diecezjalnych za te dobra kulturowe, które w ich gestii pozostają.

Okres pierwszego dziesięciolecia ma więc aspekt pozytywny, pionierski, jest - rzecz można bez przesady - epoką bohaterską dziejów opieki nad zabytkami sakralnymi w naszym kraju. I podkreślić tu należy wyraźnie, iż nie stosowano żadnej dyskryminacji w stosunku do zabytków, które znalazły się w obecnych granicach kraju, ale z jego dziejami nie albo prawie nic wspólnego nie miały.

Niemniej w tym samym okresie dokonały się rzeczy tragiczne w zakresie świątyń innych wyznań. Spustoszone, zdewastowane, wreszcie zburzone, czasem w sposób świadomie niszczyielski zostały rozliczne zbory ewangelickie i cerkwie prawosławne lub unickie. Nie można obciążyć za to Kościoła; w zasadzie tam gdzie takie świątynie zostały przezeń przejęte /np. cerkiewki łemkowskie w nowosądeckim, ale już w ograniczonej mierze na bardziej na wschód położonych obszarach/, utrzymano je, co najwyżej częściowo demontując ikonostasy. Podobnie działo się na Śląsku czy Pomorzu, ale jeśli w jednej miejscowości znajdowały się świątynie dwu wyznań, wówczas jedna z nich zazwyczaj podupadała, często zaś działo się tak, że nowi osiedleńcy wybierali dla swych potrzeb ewangelicką, bowiem była okazalsza i wówczas stara katolicka świątynia dzieliła los obiektów "niezagospodarowanych".

Kościół więc obiektywnie nie był winien owych dewastacji, ale trzeba też powiedzieć, że w większości przypadków nie starał się ratować innych świątyń, że z obojętnością obserwował niszczenie - dosłowne lub poprzez zaniedbanie - obrók minionych wieków. Można było w naszym kraju ocalić znacznie więcej budynków kościelnych niż ocalono. Nie próbuję oceniać lub rozgrzeszać tych pokątnych kacyków administracji, którzy sprzyjali niszczytelstwu lub tylko wzruszali ramionami, ale nie zrobili nic, by cokolwiek ocalić, lękając się często posądzenia o "klerykalizm". To im w pierwszym rzędzie zawdzięczamy zatrącenie większości zabytków architektury cerkiewnej, a także zabytków architektury protestanckiej. Oni po prostu dali tylko świadectwo, jak bardzo nietolerancyjną potrafi być ideologia oparta na teoretycznych uzasadnieniach. Ale, jako się rzekło, i Kościół katolicki ma tu swój /ograniczony/ udział.

Zresztą ów brak tolerancyjności, wyrażający się w dziedzinie kulturowej w sposób barbarzyńsko-prymitywny, prowadził niejednokrotnie do specyficznego "odkazania" przejmowanych świątyń. Obrządek wschodni to był przede wszystkim ikonostas i stąd tak wiele brutalnie poniszczonych tego typu

zabytków, z wątpliwym uzasadnieniem, że chodziło o uzyskanie miejsca /sanktuarium w cerkwiach są zawsze bardzo niewielkich rozmiarów/. Kościół protestancki przede wszystkim raził "katolickie dusze" emporami, toteż niszczone je z równą bezmyślnością. Do czego to prowadziło można obejrzeć w dawnym kościele braci czeskich w Lesznie: wielkie, hangarowe wnętrza bez żadnych podziałów, bez żadnej artykulacji /artykulacją bowiem były właśnie empory/ zamieniło się obecnie w kryte boisko lub maneż. Można i tak, ale czy było to komukolwiek potrzebne? Z pewnością było to wszystko sprzeczne z kulturą, rozumianą powszechnie, oraz z tolerancją, która była niegdyś, w dawnych wiekach chlubą państwa Polaków, Litwinów i Rusinów. Jeśli zaś chodzi o zagospodarowanie tzw. Ziemi Odzyskanych /na szczęście zanika już w świadomości społecznej ta megalomańska nazwa/, to okazało się, że w dziedzinie kulturowej nie stanęliśmy na poziomie zadania. Odbudowa całych zespołów /Wrocław/, jak i poszczególnych reprezentacyjnych zabytków nie zrównoważyła strat wynikłych z niedostatku opieki konserwatorskiej i ze zwykłego niedbalstwa /Jelenia Góra, przykład na miarę skandalu!/. To trzeba wyraźnie powiedzieć. I fakt, że Kościół polski przyczynił się do uratowania i zagospodarowania zdecydowanej większości zabytków kościelnych na tych obszarach jest jedynym światłem w tym mroku naszych dziejów najnowszych.

Druża faza w dziejach konserwatorskich i zarazem w dziejach Kościoła Polskiego rozciąga się na okres "panowania" Gomułki. Ten, jak go kiedyś w rozmowie ze mną określił Kisiel: "wyposzczony ideolog" musiał z konieczności unormować z grubsza stosunki pomiędzy państwem a Kościołem, musiał przywrócić wolność więzielną lub internowanym bezprawnie przedstawicielom hierarchii, niby to zapanował jakiś status quo, w rzeczywistości jednak niezbyt lotny umysł ówczesnego i sekretarza nie mógł się wyzwolić z przedwojennych, doktrynalnych naleciałości. Mając - autentycznie - całą Polskę w rękach sam z tej okazji zrezygnował. Jedną z tych naleciałości był antyklerykalizm i to się dało wyraźnie odczuć w zakresie reparytacji funduszy przeznaczonych na ochronę zabytków, w wydawaniu zezwoleń budowlanych, w popieraniu inicjatyw podejmowanych przez władze kościelne. Na ten smutny swą szarością i bezperspektywicznością okres przypadło kilka wydarzeń niezwykłej wagi w dziejach Kościoła w ogóle i w dziejach Kościoła Polskiego w szczególności: II Sobór Watykański, Milenium Polski i wielka perygrynacja Obrazu Jasnogórskiego /zredukowana przez imbecylstwo Gomułki do obstawianej ubecją peregrynacji ram - prawdziwie polski surrealizm!/.

Co się w tym okresie dokonało w sferze psychologicznej: ogromne narodowe zjednoczenie w Kościele, wzmożenie świadomości narodowej, nadzarpniętej niezdarną stalinowską propagandą "socjalistycznego patriotyzmu", okresowe podniesienie się stopy życiowej, które jednak miało się wkrótce znów załamać, doprowadzając do upadku skompromitowanego przywódcy. Dokonała się generalna odnowa ideowej postawy narodu.

A co się dokonało w dziedzinie ochrony zabytków? Otóż w pierwszej fazie szło jeszcze impetem, odziedziczonym po strasznym politycznie, ale konserwatorsko nienajgorszym

okresie stalinowsko-bierutowskim. Mniej więcej pod koniec 1 połowy lat 60 zarysowywać zaczęło się poważne zwolnienie tempa prac, zatracenie ich dobrej jakości. Ten ostatni fakt może zdumiewać: przecież nasze szkolnictwo konserwatorskie uzyskało w tym czasie wysoką jakość, nasi specjaliści stali się znani i cenieni na świecie. Rzecz jednak w tym, że opieka nad zabytkami wymaga kwalifikacji nie tylko od konserwatorów malarstwa, rzeźby, drewna, ale także od rzemieślników wykonujących podrzędniejsze prace. Tymczasem w tym okresie zaznaczyło się katastrofalne obumieranie rzemiosła, zduszonych przez doktrynerów tzw. socjalizmu. Raz jeszcze sprawdziła się tragiczna, a nigdy nie rozumiana prawda, że burzyć bardzo łatwo, ale odbudowywać cholernie trudno.

I jeszcze jedno: pomimo dalszego /choć politycznie znacznie złagodzonego/ ucisku, Kościół zaczął się materialnie podnosić. Konfiskata posiadłości ziemskich wyszła mu w gruncie rzeczy na korzyść /zarówno z moralnego, jak i - co może zdumiewać, ale jest wyjaśnialne - materialnego punktu widzenia/, podobnie jak na korzyść wyszło wypędzenie katechetów ze szkół i przeniesienie nauki religii do kościołów lub budynków parafialnych. Na tle tej na razie tylko zarysującej się ekklezjastycznej prosperity administratorzy parafialni zaczęli raz po raz podejmować ambitne plany nowego przyozdabiania powierzonych im świątyń.

Idea ta była w zasadzie korzystna: dość długo sztuka nowoczesna miała bardzo ograniczony dostęp do świątyń i sztuka religijna właściwa dla naszej epoki pojawiała się e-femerycznie lub rozkwitała w zaciszu pracowni artystów religijnie zaangażowanych. Teraz otwierały się nowe możliwości. Sam byłem czas jakiś zainteresowany w propagowaniu tej nowej sztuki przeznaczanej dla kościołów /pisywałem artykuły omawiające nowe w tej dziedzinie wydarzenia, współorganizowałem II ogólnopolską Wystawę Współczesnej Sztuki Religijnej w Krakowie w 1961 r./, ale później zaprzestałem pisanie na te tematy, co było wynikiem powoli rodzącego się we mnie przeświadczenia, iż współcześni artyści nie potrafiały się dostosować do ram, jakie im stwarza historia, że w swym egotyzmie starają się przełamywać te ramy, aby swe EGO wysunąć na plan pierwszy, zamanifestować możliwie najhałaśliwiej, że zabrakło im tego, co w wiekach minionych sprawiało, iż mogły powstawać dzieła sztuki zespolone, globalne /oddaje to dobrze niemieckie pojęcie: Gesamtkunstwerk/, a więc w konsekwencji, że dla zabytkowych kościołów ich działania są po większej części raczej szkodliwe niż korzystne. Nie mówiąc już o tym, że ograniczeni w zamówieniach, pozbawieni stałego mecenatu, artyści rzucili się na sztukę religijną, jak na dobry zarobek, starając się nabywcy wtrynić byle co, byle drogo.

Powstało więc nowe zagrożenie, że poprzez nadmierne przestrajanie, poprzez nadmierne ozdabianie, zniszczone zostaną rozliczne wartości zabytkowe.

Z tym wszystkim w bliskim związku pozostawał przełom liturgiczny Vaticanum Secundum /1962-65/. Sobór ten o znaczeniu przełomowym i nieomal rewolucyjnym /o ile określenie to może zawierać elementy pozytywne/ w dziedzinie liturgii wprowadził tak daleko idące przemiany, że w ich wyniku Koś-

ciół katolicki, po stuleciach konfrontacji, upodabniać się zaczynał, w sensie aranżacji wnętrza, do kościołów protestanckich: jeden ołtarz dostępny dla wiernych bezpośrednio, nacisk na głoszenie Słowa wprost od tego właśnie ołtarza, działanie w kierunku społecznej komunii, jako siły wiążącej wiernych, nagacja nadmiernych ozdób, przeładownia, rozdrobnienia.

Ta głęboko sięgająca odmiana, jakże zbawienna dla Kościoła, niosła - w dziedzinie ochrony zabytków - pewne zagrożenie. Otóż w zapale posoborowym raz po raz ujawniać się zaczęła tendencja, aby likwidować dawne ołtarze "już niepotrzebne", aby oczyszczać wnętrza dla posoborowej "surowości" /o którą Ojcom Soboru bynajmniej nie chodziło/. Na szczęcie Watykan, zorientowawszy się szybko w zaistnieniu takowych tendencji, zareagował bardzo ważnym dokumentem, nakazującym należyty szacunek zabytkom przeszłości, a na naszej ziemi, antycypując postanowienia rzymskie, wystąpił ostro przeciw wszelkim próbom niszczytelstwa kardynał Wyszyński. Człowiek ten, którego zasługi dla Kościoła Polskiego w okresie stalinowskich opresji i później dostatecznie są znane, był - o czym wie się mało - człowiekiem głębokiej kultury i kulturę rozumiejącym. Z jego inicjatywy dokonano bardzo wiele i w wielu kościołach, popierał bowiem muzea kościelne, starał się rozwijać w seminariach naukę historii sztuki, jednym słowem był tym, który w zarodku zdusił "pseudonowoczesne" barbarzyństwo i dzięki niemu straty w tej dziedzinie są, w porównaniu choćby z krajami niemieckimi czy Austrią, najzupełniej znikome. Okazało się po prostu, że wystarcza tzw. ołtarz soborowy ustawiony przed dawną mensą i wyniosłym retabulum, że nie trzeba wyrzucać ze świątyń ambon, chociaż nagłośnienie umożliwia głoszenie Słowa wprost niemal od ołtarza, że współczesna liturgia nie wymaga wcale szat wykonanych z importowanych z Chin jedwabów, że dawne tak samo mogą jej służyć, a osiągnąwszy poważny stopień zużycia, powinny być przejmowane do muzeów diecezjalnych. Duchowieństwo zorientowało się, że "starocia" /a duchowieństwo polskie w szczególności ma do takowych narodowy wstręt/ posiadają wartość i to nie tylko estetyczną, ale i materialną.

Tzw. postępowe koła katolików na Zachodzie zarzucają często Kościołowi Polskiemu konserwatyzm i swego rodzaju "wiejskość". Zapewne jest w tym nieco, a może nawet sporo racji, ale należy dobrze zrozumieć, o jaką postępowość i o jaki konserwatyzm chodzi? Bo jeżeli o postępowość w stylu lewicujących intelektualistów, kontestujących przeciwko dobrobytowi Zachodu, to ja już wolę być niepostępowy. A jeżeli chodzi o konserwatyzm, to przecież w Polsce nie ma chyba żadnego zwolennika "lefebryzmu", natomiast jest wyraźne odrodzenie koncepcji ideologicznych konserwatyzmu, który zaczyna przeżywać drugą młodość. Czyżbyśmy wciąż żyli w odurzeniu słów-wyroków? Czy "postępowiec" musi konieczne być lepszy od konserwatysty? I wreszcie - wiejskość nie jest żadnym konkretnym terminem, to pewnego rodzaju ideowa gąbka. Oczywiście - w naszym kraju obserwować można pewne interesujące, a wywodzące się ze środowisk chłopskich, formy kultowe, ale znów trzeba zapytać: a czy to źle? Czy w kościele musimy się wszyscy wzajemnie intelektualizować? Zostawmy

wszystkim taki rodzaj oddawania chwały Bożej, jaką oddawać pragną. A owe "wiejskie" formy stanowią między innymi o odrębności i o żywotności owego polskiego katolicyzmu, którego nam rozmaite "postępowe" kraje mogą tylko zazdrościć.

Ale po tej przydługiej dygresji czas powrócić do zabytków. W sumie okres gomułkowszczyzny, ten - po okresie czerwonego i krwawego stalinizmu, okres szarości, przyhamował działalność konserwatorską, przyczynił się do ostatecznego upadku rzemiosła, zachęcał natomiast do zarysowania się nowej sztuki i nowej architektury sakralnej: wytargowano nieco zezwoleń na wznoszenie nowych świątyń. Pod koniec pojawiła się pierwsza fala kryzysu ekonomicznego, który przyczynił się do obalenia "wyposzczonego ideologa".

Dziesięciolecie gierkowszczyzny, to okres szczególnie, pełen sprzeczności, choć z punktu widzenia poprawności procesów dziejowych całkowicie logiczny /niestety zupełnie przez marksistowską dialektykę nie przewidziany/. Po pierwszych latach pozornego, konsumpcyjnego prosperity i szaleńczego inwestowania w nierentowne i przestarzałe mrzonki "industrializacyjne", nadeszło to, co nadejść musiało: kryzys w pełnym wymiarze i upadek kolejnego przywódcy.

Gierek w zasadzie kontynuował laicką politykę poprzednika w zakresie współpracy czy porozumień z Kościołem. Mniemam, że ten we Francji wychowany działacz partyjny miał świadomość zaimpregnowaną gallikańskim laicyzmem, równocześnie jednak nie był ideologicznie wyposzczony. Chciał po prostu tylko rządzić i być podziwiany, stąd rozpętanie propagandy sukcesu. Do Kościoła odnosił się jako do niesympatycznego ale nieusuwalnego sąsiada ze wspólnego mieszkania, a przy całym intelektualnym ograniczeniu, to jedno rozumiał: nie było w interesie "jego" partii pójście na udry z tym sąsiadem. Należało mu podsmradzać, ale zachowywać jaką taką poprawność koegzystencyjną. Zlikwidowano więc idiotyczne zarządzenia o czynszach od plebanii na ziemiach zachodnich /traktowanie budynków parafialnych jako poniemieckich; coś takiego tylko jakiś autentyczny ciemniak doby gomułkowskiej mógł wymyślić/, złagodzone esbeckie i "wyznaniowcowe" naciski i szantażki: partia wyraźnie starała się już tylko zachować swój obszar działania, przestało się jej roić wyeliminowanie Kościoła z partnerstwa w budowaniu świadomości społecznej. Nadal więc w bardzo ograniczonej mierze wydawano zezwolenia na budowanie nowych kościołów, stare pozwalano bez większych trudności odnawiać czy odbudowywać, natomiast przewidziane przez państwo na zadania konserwatorskie. To znaczy: przestano niemal całkowicie dofinansowywać prace budowlane, natomiast szły jeszcze dość znaczne fundusze na konserwację jakichś szczególnie cennych dzieł sztuki /malarstwa, rzeźby itd./. Ale w tym okresie w ogóle gwałtownie zmniejszyła się działalność państwa w zakresie konserwatorskim: było coraz mniej pieniędzy, upaństwowione wykonawstwo /PKZ/ stawało się coraz droższe, niewspółmiernie drogie do osiąganych finalnych rezultatów, było coraz mniej materiałów, powstał urząd konserwatora generalnego, ale wszystko coraz bardziej się waliło. I jeszcze katastrofalna reforma

administracyjna z 1975 r. Zaczął się, bo zacząć musiał, kryzys konserwatorski, który trwa do dnia dzisiejszego i kresu jego nie widać. Tak źle nie było nigdy dotychczas.

Czy w tym tragicznym obrazie mieści się Kościół i zabytki pozostające w jego pieczy? Oczywiście - nie. W sposób odwrotnie proporcjonalny do pogrążania się państwa wraz z jego "planową gospodarką", stan ekonomiczny administracji kościelnej stale się podwyższał, a dobroczynność wiernych nie malała. W Polsce gierkowskiej powróciła do życia dawna tradycja "postawienia się": zaczęto budować, zwłaszcza po wsiach, domy na wyrost. Ta sytuacja od strony opieki nad zabytkami, przyniosła widome i cenne rezultaty: dziś już rzadkością staje się kościół zaniedbany, porośnięty pajęczynami, z dziurawym dachem i kaprawymi ścianami. Jednocześnie zaostriżyła się jednak sytuacja, którą już zaawizowałem omawiając okres gomułkowszczyzny: nowe zaczęło wypierać stare. I zaczęło je wypierać nie tylko z wnętrza kościelnych, pojawiły się bowiem dążenia do wymiany całych starych świątyń na nowe. Liczba takich budów, podejmowanych w parafiach gdzie już istniały kościoły o dawnych metrykach, w swym zakresie przypominała ową galicyjską prosperitę z końca XIX i początku XX w., kiedy to architekt Jan Sas Zubrzycki objeżdżał parafie, rysował i zdejmował pomiary z sędziwych kościołów, zwłaszcza drewnianych, by je potem umieszczać w swych "naukowych" publikacjach /np. "Utwór kształtu" lub "Cieślicтво polskie"/ przede wszystkim jednak projektował nową strzelistą katedrę w stylu "wiślano-bałtyckm", która zastępowała szacowny zabytek.

Oczywiście władze diecezjalne jak i konserwatorskie starały się zapobiegać niszczeniu świątyń /drewniane przenoszono do innych miejscowości lub do skansenów/, ale pewna ilość zabytkowych budowli przestała jednak istnieć z powodu tych inicjatyw. Oczywiście porównywanie zabytku, mającego swą historyczną metrykę, z budowlą, która dopiero ma się w przyszłości sama stać zabytkiem, nie ma żadnego sensu. W moim przekonaniu strata KAŻDEGO zabytku jest zawsze stratą, której zresztą żadnymi cyframi określić nie można. Jak jednak napisałem: sam fakt zagrożeń, powstających przez budowanie nowych świątyń tam, gdzie są już stare, stwarza poważne niebezpieczeństwo, a przeniesienie drewnianej świątyni na inne miejsce jest ratunkiem połowicznym: ów przeniesiony zabytek nigdy już nie jest tym, który kiedyś powstał i istniał w danym kontekście krajobrazowym, kulturowym i społecznym.

Powstaje jednak drugi jeszcze aspekt: jak prezentują się wznoszone obecnie kościoły? Na to pytanie wypadnie odpowiedzieć biorąc pod uwagę kolejny okres, ten, który jeszcze trwa: to znaczy od Sierpnia, od "Solidarności" do... Mój Boże, dość grzeszę, nie zamierzam grzeszyć niewczesnymi prośbami! Otóż można stwierdzić, że w tym okresie, przy wszystkich wstrząsach i nieszcześciach spadających na społeczeństwo polskie, jedyną siłą, która w tej wojnie bez wojny zwyciężyła - był Kościół. Umocnił swe pozycje, zajął bardzo ważne miejsce w paradoksalnej /jak zwykle nad Wisłą/ strukturze kraju, stał się w wielu wypadkach rzecznikiem narodu, któremu odebrano jego własne, wyłoniłone w postaci "Solidar-

ności" rzecznictwo, a więc - jak niegdyś w okresach bezkrólewii, stał się polskim interrexem. Powstała sytuacja zupełnie niewiarygodna i proszę mi pokazać jakiegokolwiek proroeka, który by był to wszystko zawczasu przewidział? Oczywiście poza pewnego rodzaju dialektycznym następstwem pewnych procesów, wystąpiły inne jeszcze elementy, całkowicie poza-dialektyczne: w przeciagu niedługiego bowiem okresu Kościół Polski miał szczęście zyskać od Opatrzności trzech ludzi różnego, lecz we wszystkich przypadkach wielkiego formatu: Prymasa Tysiąclecia, Papieża Polaka i Wałęsę. Tak, bowiem wierność Wałęsy Kościołowi, manifestowana wyraziście i wielokrotnie, sprawia, że należy tyleż do "Solidarności" co do Kościoła, a w każdym razie tworzy pomiędzy nimi własny, osobisty i mocny pomost.

Na szczęście nie miejsce tu, by głębiej wnikać w ową naszkicowaną tylko sytuację i wystarczy stwierdzić, że od Sierpnia Kościół utwierdził swą "jedynowładną" pozycję w sferze niechętnego jeśli nie wrogiego dlań ustroju, w bloku wyznającym filozofię materialistyczną, ale w kraju, gdzie społeczeństwo nie dało się mimo wszystko upaństwowić.

Na polu ekonomicznym sytuacja Kościoła, pomimo wszystkich kryzysowych trudności, jest zdecydowanie dobra. Jeszcze do niedawna z trudem lub wręcz pokrywom /specjalności biskupa Tokarczuka w diecezji przemyskiej było budowane stawianie władz wobec faktów dokonanych - vide książeczka-reportaż ks. Bonieckiego/ wznoszono nowe świątynie: obecnie zaczęły powstawać niemal masowo, wszelkie "białe plamy" sieci parafialnej zaczęły się wypełniać, pojawiły się nowe parafie w aglomeracjach miejskich, gdzie dotychczas władze ze wszystkich sił przeciwstawiały się takim inicjatywom /zob. monografię "Arki" w Nowej Hucie, napisaną przez jej twórcę: ks. Gorzelanego, a wydaną u Pallotynów w Paryżu/.

Nie twierdząc, że zaprzestano działalności konserwatorskiej, ale jej tempo zmalało. Przecież ambicją większości administratorów parafii stało się wznoszenie nowej, a nie dopieszczanie starej świątyni. To stało się też ambicją społeczności parafialnych. A więc sygnalizowany już powyżej problem pewnych zaniedbań czy wręcz dążności do niszczenia zabytkowych kościołów wystąpił jeszcze ostrzej. W Jaworniku pod Krakowem odbyło się zbiorowe przewracanie drewnianej budowli, że to niby wiatr ją obalił, choć jakoś żadna wichura przez lat trzysta podołać temu zadaniu nie umiała. Sygnalizuję tę sytuację z prawdziwą troską. Kilkakrotnie brałem udział w specjalnych zjazdach diecezjalnych wygłaszając tam referaty na temat opieki nad zabytkami, więc odgórnie są propagowane takie hasła, coż kiedy życie idzie własnym torem. I trudno się dziwić, że gdy po wsiach jedni gospodarze starają się przed drugimi zaimponować "domem telewizorowym", zwykle zbyt dużym na rzeczywiste potrzeby rodzin przeciekających do miast, to także wszyscy razem chcieliby mieć mniejszy w swej sakralnej skali "kościół telewizorowy". To są po prostu fakty i nie piszę tu, by kogokolwiek obciążać obecną sytuacją zabytkowych kościołów w Polsce, ale aby bijąc na alarm konstatować pewną konsekwencję wydarzeń.

Tylko że dla miłośnika zabytków sprawą nie mniej ważną od ocalania niemych świadków naszej przeszłości jest również i to, jakim świadectwem dla naszego czasu będą te dzieła architektoniczne, które się obecnie w kraju tym realizuje, a więc nie tylko gmachy publiczne, dworce, założenia sportowe itd., ale również kościoły.

Nie czuję się kompetentny, by w tej materii głos zabierać na zasadzie osądów globalnych. Nie jest chyba w ogóle możliwe, by już dziś móc odpowiedzieć, czy współczesna kościelna architektura w Polsce jest w swej całości dobra, zła czy taka sobie. Jest zapewne i tak, i siak, i jeszcze trochę inaczej. Udało mi się widzieć szereg bardzo udanych realizacji, niektórych ogromnie ambitnych, widziałem też budynki architektonicznie poprawne, widziałem zgrzebne, ale także oglądałem potworkowate. Niemniej nie zgadzałbym się z tymi głosami krytycznymi, które "w czambuł" potępiają tę współczesną architekturę, zarzucając jej nadmierne rozstrzelanie koncepcyjne, a jednocześnie powtarzanie się, "autoreplik" i "bezinwencyjne powtórzenia". Przy tak ogromnej produkcji /już ok. 1985 liczono ilość nowych kościołów na ponad tysiąc!/ musi następować pewne zrutynizowanie i droga poszukiwania coraz to nowych rozwiązań musi prowadzić na bezdroża bezpłodnych spekulacji i kompilacji.

W tym zakresie /liczebności realizacji/ mam, iż muszą następować pewne powtórzenia, muszą się wytwarzać całe ciągi, zgodne z Kublerowską interpretacją "Kształtu czasu". Jeśli wziąć pod uwagę fundacje kościelne Kazimierza Wielkiego, uderzyć musi to, że owe realizowane przez jedną właściwie strzechę świątynie są do siebie uderzająco podobne, niektóre tylko wyróżniają się wielkością /Wiślica/, ale forma, konstrukcja, nawet detal są powtarzalne. A mamy jednak całą gamę różnorodności zawartych w tych ciasnych ramach. Albo barok: toć przecież funkcjonowały w nim pewne określone modele, a przede wszystkim dyktat architektury porządkowej /posługującej się "klasycznymi" porządkami kolumnowymi czy pilastrowymi/. To tylko geniusz poszczególnych architektów torował drogę coraz to innym, ale ciągle w tym samym kręgu konstrukcyjno-formalnej dopuszczalności, rozwiązaniom.

Jestem przekonany, chociaż dowieść tego nie potrafię, że my już mamy dziś w Polsce cały szereg modeli, które wytworzyły pewne ciągi rozwojowe, że mamy owe "przedmioty pierwsze", które stały się inspiracją. I nie widzę innej drogi dla tak obfitej produkcji architektonicznej, a terminu "produkcja" używam świadomie. Chodzi raczej o to, by snując wariacje na jakiejś świadomie obranej kanwie, ową wariacyjność /a może: wariabilność/ snuć twórczo, oryginalność manifestując nie w całkowicie nowym pomyśle, ale w aktywnej transformacji modelu.

Już zresztą próbowano ową niedostrzegalną narazie, amorficzną przez brak rozpoznania masę, posegregować, dostrzegając w niej odmiany zachowawcze, nawiązujące do tradycji epok minionych, rozwiązania kubistyczne i postmodernistyczne, ale mnie się wydaje, że są to na razie próby pozbawione fundamentu rozpoznania. I raz jeszcze wołam pełnym głosem: niechże uczelnie powołane do tego, a więc katolickie, zajmą się

gromadzeniem dokumentacji, zamiast zabawić się pseudonauką dla pseudonauki.

Rzeczywiście zaś nadmierne poszukiwanie oryginalności musi prowadzić do dziwactw i jałowości. Nie będę wskazywał palcem takich przykładów, bo i tak tym co piszę narażam się wszystkim, nawet diabłu nie stawiając ogarka. To w gruncie rzeczy żadna sztuka w sytuacji sam na sam z rajzbretem czy arkuszem bristolu, skompilować jakieś bryły geometryczne i ulepić z nich zabawkę, może nawet optycznie zaspakajającą estetyczne zapotrzebowanie na dziwaczność, ale nawet to kompilowanie oryginalności ma swe precedensy. Nic nie może być na tym Bożym świecie absolutnie nowego. Architekci, stracie wszelką nadzieję, wszystko już było! Jeżeli wymyślicie kościoł w kształcie kuli, to pamiętajcie, że takie kulki projektowali już niemal dwieście lat temu Ledoux i Boullée.

Ale nie traćcie nadziei w tym, że może wam być dana łaska z nieba: zaprojektowanie dobrej architektury. A taka dobra architektura w moim przekonaniu to ta, która realizuje kształt SWEGO czasu nie siląc się na całkowitą oryginalność i szanuje funkcję, której ma służyć. To wszystko. Ale to zarazem bardzo dużo.

Jeżeli jednak zgodzimy się, że w polskiej architekturze sakralnej schyłku naszego stulecia grasują złe nawyki i pewne podstawowe błędy, to postaramy się kilka z nich ustalić. W moim przekonaniu podstawowym to ów specyficzny triumfalizm, który nie formalnie ale przede wszystkim ideowo dziedziczymy po baroku, a więc po tej epoce, w której sztuka polska najpełniej się wyraziła wraz z wszystkimi swoimi ograniczeniami i wadami.

Rozumiem budowanie ogromnych kościołów w miastach, ale stawianie ich w wioskach! One wyludniają się i wyludniać będą, niezależnie bowiem w jakim kierunku pójdzie gospodarka wiejska, minął już okres małorolnej sensowności rolniczej i musi się stać to, co stało się w wysoko rozwiniętych krajach Zachodu: odpływanie nadmiaru ludności, która maskowała przeludnienie ukrytym rękodziełem włóściańskim. Polskie wsie są skazane na ograniczenia, na pewnego rodzaju uwięź i stawianie w nich "katedr" z cechą podstawową: rozrzutnością materiałową, niemyśleniem o przyszłym użytkowaniu i utrzymaniu, a także z blichтром pseudonowoczesności, jest typowym marnowaniem szans. Szansą bowiem masowego budownictwa kościelnego jest wytworzenie modelu - dobrego architektonicznie, to znaczy zasadnego funkcjonalnie i estetycznie zespolonego z krajobrazem kulturowym skali potrzeb społeczności lokalnych.

W 1982 r. odbyło się w Kazimierzu Dolnym sympozjum zorganizowane pospołu przez Komisję Episkopatu ds. Budowy Kościołów i Zarząd Główny SARP. Ze strony pierwszego współorganizatora został przedstawiony pogląd na problem tzw. "kościół ubogiego". Pomijając fakt, że już sama nazwa jest dla polskiego ucha odstręcająca, należałoby stwierdzić, że w o-wych danych, zgromadzonych bardzo sumiennie na podstawie socjologicznej analizy rzeczywistości parafialnej, zarysował się kościół wcale nie taki ubogi, ale w jakimś stopniu ograniczony, a z pewnością nie wyrażający triumfalizmu. Byłoby to czymś bardzo zasadnym w dobie, gdzie o jakichkolwiek

triumfach, przynajmniej pozakolendowych /"Triumfy Pana niebieskiego..."/, trudno mówić. Ale proszę mi wskazać owe "kościółki ubogie"? Gdzie je wznoszono poza diecezją przemyską? Tam to jednak inna zupełnie sprawa, tam należałoby mówić o kościołach biedy /w sensie ideowym, a nie materialnym tego pojęcia/, a więc o tym, co Niemcy zowią: "Notkirche". Triumfalizm to pierwszy grzech współczesnej architektury polskiej w dziedzinie kościołów.

Drugim to pewnego rodzaju brak intymności. Ktoś, chyba Oseka, powiedział był: "O ile w XIX w. budowano dworce podobne do kościołów to teraz buduje się kościoły podobne do dworców". Poszerzyłbym to: podobne do hal fabrycznych i sportowych, do sal widowiskowych, do wszelakich "pałaców jazdów". Mam wrażenie, że - pomimo moderującej działalności prymasa Wyszyńskiego - pojęto u nas nazbyt doktrynalnie problem reformy liturgicznej, zanadto upodobniono Kościół katolicki do protestanckiego zboru, a przez zastosowanie współczesnej, mechanicznie a "monumentalnie" stosowanej technologii - zesakralizowano. Zwłaszcza chodzi mi o wnętrze. Szkło i beton. Jeszcze przed kilkudziesięciu laty biskup katowicki opieprzał proboszcza, który mu przedstawił projekt tego właśnie typu: "Cóż tu mi faroż - Glashaus chcesz budować?". Dzisiaj wszyscy już chcą mieć Glashausy. Ale w nich zimno i jakoś chudo. Jeśli mamy sięgać po tradycję, a barok, cokolwiek by o tej epoce sądzić, jako się rzekło najpełniej wyartykułował "duszę sarmacką", no to czerpmy z niego nie ów triumfalizm odarty z szat, ale owe szaty, które tworzyły we wnętrzach świątyn atmosferę ciepła i intymności, które sprawiały, że choć ogromne, bo dla Boga, były te budowle również dostępne dla ludzi z ich małą nieśmiałością, kompleksami, wstydlivością, pokorą.

Równocześnie przy owym ubóstwie treściowym, bo przecież chodzi i o treści zawarte w architekturze, a także w wypełniającym ją wystroju plastycznym, występuje nadużycie symbolu, przy jednoczesnym jego ograniczeniu. Tak jakby architekci i plastycy o niższym innym poza krzyżem nie wiedzieli. Jest, gdzieś w okolicach Częstochowy, kościół-curiosum. Należy do typu kościołów z załamana kalenicą. Ten potworkowaty model zrobił bowiem u nas zawrotną karierę: wgniata się gdzieś tam pośrodku dach, wobec tego po dwóch krótszych stronach budynku ów dach wypina kacze kupry szczytów. Rzeczony kościół ma dodatkową atrakcję w postaci krzyża umieszczonego jako przedłużenie kalenicy, a więc z tego nad-symbolu tworzy się coś w rodzaju skoczni narciarskiej. Już kiedyś Wojciech Kosiński /"Przegląd Powszechny" t. 737, 1983/ dopominał się o różnicowanie i wzbogacanie symboli. Dodałbym: przemożny wrodzone lenistwo, rozglądajmy się za starymi, co już się sprawdziły, ale pomyślmy także może o nowych!

Jedną z istotnych zdobyczy współczesnej architektury kościelnej jest jej kompleksowy charakter. To znaczy, że w obręb zespołu włączono szereg pomieszczeń nie pełniących funkcji liturgicznej, a przede wszystkim pomieszczenia dla katechizacji, dla rozmaitego rodzaju zebrań, dla bibliotek parafialnych, a wreszcie mieszkania. W ten sposób zespół świątynny upodobił się do średniowiecznych zespołów monastycznych o rozbudowanej części gospodarczej, a także do zes-

połów katedralnych lub kolegiackich, gdzie w określonym zasięgu przetrzennym koncentrowało się zbiorowe życie bezpośrednich uczestników służby kościelnej.

I tu właśnie ukazał się jednocześnie rys prowadzący do laicyzacji zespołu. Upodabniają się one coraz częściej do wielofunkcyjnych zespołów świeckich. I to nie jest korzystne. Nie chodzi bowiem o to, by owym bezpośrednim i najbliższym uczestnikom posługi kościelnej odmawiać zdobyczy cywilizacyjnych, mają do niej pełne prawa, od bieżącej wody poczynając, a na garażach kończąc, ale jednocześnie chodzi o to, by zespół kościelny nie upodabniał się do hotelu lub ośrodka rekreacyjnego. Nikomu jeszcze nie udało się, choć spisano milion długopisów i zatłuczono ileśdziesiąt taśm maszynowych /że ich kupić nie sposób obecnie/, określić czym jest sacrum w architekturze. To znaczy, każdy mniej więcej wie czym było sacrum w dotychczasowej architekturze, a było przede wszystkim tym co ją ponad zwyczajność wywyższało dosłownie /strzelistość gotycka/ lub przenośnie /barokowy przepych/. Dziś ani jedno, ani drugie nie jest na czasie i trzeba dostrzec takie znamię owego sacrum, by ono dobitnie przemawiało do odbiorcy by ten wiedział od razu, że do czynienia ma z kościołem, a nie dajmy na to dworcem.

I tu dochodzimy do ostatniego punktu /przynajmniej wedle moich obserwacji, bo w rzeczywistości jest ich pewnie o wiele więcej/ - do zgodności z otoczeniem. Ogólnie stwierdzić można bez wątplenia jedno: w ciągu lat panowania tzw. socjalizmu krajobraz naszego kraju zeszmacił się radykalnie. I ten naturalny, który w przerażającym zakresie został zatruty, wyniszczony, spauperyzowany /wściekle niszczytelstwo lasów/ i - szczególnie - ten kulturowy. Dawniej ten krajobraz był nader prowincjonalny: wiejski, małomiasteczkowy, dużych miast było niewiele, przemysł dopiero się rodził i wiedziano początkowo, że należy go w jakimś stopniu izolować, maskować, neutralizować jego agresywne cechy. Dziś w zdewastowanym krajobrazie piętrzą się triumfalnie monumenta zaprzeczłej industrializacji: wszelkie te huty, fabryki, rafinerie, gigantyczna śmieciarnia i śmieciarnia cywilizacyjna.

Szary człowiek też swoje dołożył, wystawiaj - bezładu i składu, z lenistwa i sobkostwa gdzie popadło domy brzydkie ale agresywne. Krajobraz kulturowy PRL przestał być kulturalny: jest nowobogacki lecz smutny, niechlujny i pod pokrywką blichtru tandetny. Już doprawdy tylko niektóre inwestycje: jakieś bardziej wysmakowane dacje, budynki szkolne, motele czy pensjonaty starają się dostosować do owego krajobrazu, który ugrzązł w pół drogi pomiędzy sielskością a pseudonowoczesną bylejąkością.

Czy to znaczy bym domagał się kolejnego nawrotu do form "narodowych" czy tradycyjnych? Broń Boże. Już wcześniej stwierdziłem, że taki będzie polski kształt czasu schyłku XX w. jaki sami mu nadamy. Dotychczasowy jest taki jak cały PRL i jego dzieje: smutne dzieje kolejnych nieudaczných ekip jednego i tego samego nieudacznego systemu. Ale przecież po to - jako naród - nie daliśmy się upaństwowić, by również nadawać kształt tym trudnym czasom naszych nadziei i zwycięstw.

Reasumując, Kościół miał, ma i mieć będzie ogromną misję dziejową nie tylko w zakresie pastorałnym /tym się nie zajmowałem i zajmować, z prostej przyczyny niekompetencji, nie mogę/, ale także kulturalnym. Jan Paweł II dostatecznie dużo powiedział o kulturze, by trzeba było jeszcze szukać dalszych wykładni, dalszych uzasadnień. Kultura jest immanentną częścią Kościoła, tak jak jest nią nauka społeczna, zgodność praw z podstawowymi zasadami etyki i właściwe ich stosowanie. Kiedy starano się zmonopolizować politykę i w jej przepastny worek wkładano wszystko, co miało być upaństwowione, Kościół wielokrotnie oświadczał: "Non possumus". I dawał świadectwo prawdzie.

Niemniej Kościół jest tworem ludzkim, choć mającym służyć Bogu i jako taki, a historia uczy tego dobitnie, nieraz popełniał błędy. Jako twór ludzki Bożej - jak to się dziś chętnie mówi - ekonomii, musi być przez ludzi widziany i oceniany. Dlatego pozwoliłem sobie na szereg uwag krytycznych czy ostrzegawczych. A zarazem ukazałem tylko zarysy problemów, nie potrafiąc i nie mogąc w nie wnikać.

Z potęgi Kościoła w obecnym kraju Polaków, z potęgi dodajmy w dużej mierze zasłużonej nie u najwyższej Prowidencji, ale tu na ziemi postawą i skalą ludzi go reprezentujących, wszyscy - nawet przeciwnicy - zdają sobie sprawę. Ja natomiast zdaję sobie sprawę i z tego, że pośród rosnących z dnia na dzień nowych i egzystowaniu starych, a nie załatwionych problemów można łatwo zatracić czyste widzenie zobowiązań kulturowych. Jak uczy doświadczenie, gdy tylko robi się ciasno, pośpiesznie, ubogo a nie chędogo, to w pierwszym rzędzie odsuwa się kulturę na drugi plan. Ale tak teraz, w obecnym momencie dziejowym nie jest. I nie ma żadnego tłumaczenia, że problemy bieżące są ważniejsze od kultury, bo od kultury nic "bieżącego" nie może być ważniejsze.

I bardzo dobrze, jeśli Kościół buduje nowe gmachy muzeów diecezjalnych /to temat sam dla siebie/, które stają się ozdobą Pelplina i Opola, podczas gdy władze PRL nie zdołały w tym czasie zbudować ŻADNEGO nowego dużego muzeum, a nawet z konserwacją starych nie nadążają. I bardzo dobrze, gdy sprawnie funkcjonują diecezjalne komisje ds. artystycznych, gdy stanowiska konserwatorów diecezjalnych obejmują ludzie fachowi /czego absolutnie nie da się powiedzieć o współczesnie działającym zespole konserwatorów wojewódzkich i miejskich!/. I jeszcze dobrze, gdy alumnom seminaryjnym wyklada się podstawy historii sztuki, ale to wszystko jest tylko pewną, że tak powiem, biurokracją kultury. I wcale nie chcę przez to powiedzieć, że każda biurokracja jest zła, bo jakaś musi przecież funkcjonować, byśmy mieli nasze życie jako tako uporządkowane. Ale poza administrowaniem kulturą jest jeszcze sama kultura. A jaka ona jest i będzie - zależy od nas. Wszystkich. I po raz trzeci powtarzam dobitnie: taki będzie kształt naszego czasu, jakim my go uczynimy.

Tadeusz Chrzanowski, KUL

ŚWIADECTWA

BEZNADZIEJNOŚĆ W KOSZARACH CEAUSESCU

/Wywiad udzielony gazetce "Libération" przez poetę rumuńskiego Mirceę Dinescu na temat sytuacji inteligencji w Rumunii, opublikow. 17.03.89; Dinescu był wskutek tego represjonowany - utracił pracę w tygodniku "Romania Literara", dotknął go zakaz publikowania, oddano go pod stały nadzór policyjny/

L: Co to znaczy być intelektualistą żyjącym pod dyktandem proletariatu?

Mircea Dinescu: Opowiada się u nas od dawna pewien dowcip. Otóż poddano w socjalizmie eksperymentowi trzy myszy: mysz-inteligentkę, mysz-robotnicę i mysz-chłopkę. Po pewnym czasie - kiedy wszystkie myszy przebywały w tym samym laboratorium i przechodziły te same testy, zauważono, że chłopka i robotnica są zdrowe, wesołe i przybierają na wadze, a intelektualistka jest chuda i nerwowa. Zapytano ją, co jada, a mysz odpowiedziała: "jadam dokładnie to samo, co inne myszy, ale od czasu do czasu straszą mnie kotem". Muszę przyznać, że sytuacja w naszym kraju bardzo się ostatnio zdemokratyzowała, bo wszystkich tu teraz straszą kotem.

Nie ma teraz mody na pogardę dla intelektualistów. Do lat 50 każdy, kto nosił kapelusz zamiast czapki natychmiast był określany mianem "burżuja" i ryzykował zsyłkę na "rehabilitację". Ale, zgodnie z zasadami marksistowskiej dialektyki, sytuacja się zmieniła. I tak jak pijamy teraz w Rumunii namiastkę kawy, tak mamy namiastkę inteligencji. Nasze dawne kompleksy niższości przemieniły się w kompleks wyższości. Teraz mamy kolekcje angielskich kapeluszy, doktoraty, dyplomy uniwersyteckie i więcej wiemy o historii piłki nożnej niż o marksizmie. Wielu spośród tych posiadaczy kapeluszy żyje w przekonaniu, że "Manifest komunistyczny" to był taki opozycyjny plakat, który nasz brodaty bohater rozlepił nocami po murach miasta. Nowa klasa oświecona, ci specjaliści od wszystkiego uczą teraz chłopów, jak trzymać łopatę, robotników, jak się wbija gwoździe, a pisarzy, jak wypełniać kartkę papieru od lewej do prawej strony.

L: Mówi się, że intel/igencja w pańskim kraju pozostaje w stanie uśpienia. Jakie są tego przyczyny?

Dinescu: Jako że mamy tu idealne warunki do hibernacji, ludzie zamarzają zawodowo w wielu dziedzinach. Ostatni Narodowy Zjazd Pisarzy odbył się w 1981 roku, choć status Związku Pisarzy stwierdza, że zebrania plenarne mają się odbywać co cztery lata, by wybierać w tajnym głosowaniu nowy zarząd.

Ale choć pisarzom zawodowym nie wolno się ze sobą stykać, poeci ludowi z ruchu amatorskiego stanowią ozdobę festiwalu "Święto Rumunii", demonstrując, że amatorszczyzna to klucz do naszych czasów. Nasz związek w 1981 liczył 1300 członków; obecnie jest ich nie więcej niż 1000, ponieważ 150 wyemigrowało, a 150 zmarło. Nawet w sytuacji, kiedy pisma literackie służą wyłącznie do pakowania włoszczyzny, a las anten telewizyjnych zwrócony jest w stronę Sofii i Moskwy, władze nie chcą słyszeć o pisarzach. Konserwatyści obsiadający najlepsze stołki ministerialne myślą tylko o jednym - żeby jak najdłużej utrzymać na nich tyłki. Dlatego dławią najłżejszy podmuch liberalizmu, zatrzymują dobre książki i mówiące prawdę filmy. Przeraża ich, że życiem ludzkim na powrót mógłby rządzić zdrowy rozsądek.

L: Ale nikt się jak dotąd temu specjalnie nie opiera?

Dinescu: Tchórzstwo stało się instytucją. Opinie indywidualne w ogóle się nie liczą. Każda próba wyrażenia jakiegś niepopularnej prawdy traktowana jest od razu jako herezja i natychmiast karana. Kiedy czyta się naszą Konstytucję w jej obecnym kształcie, wydaje się, że jest to tekst z baśni "Tysiaca i jednej nocy". Nie tylko nie respektuje się w Rumunii w ogóle praw człowieka, ale nawet te instytucje, które tradycyjnie przeznaczone były do ich obrony, jak system prawny i prasa - zostały nakierowane przeciw nim. Taka jest przyczyna milczącego protestu na ulicach, apatii w jaką popadł nasz południowy naród znany niegdyś z wylewności i humoru.

L: Jak ludzie są w stanie znosić taką atmosferę?

Dinescu: Ani jedno przemówienie naszego prezydenta nie obywa się bez słowa "szczęście" we wszelkich możliwych kontekstach. A spójrzmy na członków partii, na ich wiecznie ponure twarze, które szczęścia nigdy nie zaznały. Spójrzmy na ludzi kłębiących się na przystankach, na ich zatroskany, podenerwowany sposób poruszania się, na ich siatki wyładowane chlebem, na szare ubrania, które świetnie pasują do przygnębiającego nastroju. Spójrzmy na podróżnych stłoczonych w autobusach, albo na przechodniów nękanych ponurymi myślami - doprawdy, Rumunów nie sposób nazwać narodem szczęśliwych ludzi. Wydaje się, że przez ostatnie dwadzieścia lat gramy w jakimś niemym filmie, jako źle obsadzeni statyści. A przecież nie jesteśmy podobni do Skandynawów - przeciwnie, uwielbialiśmy śmiech, przez co nawet krytykowano tę naszą bałkańską cechę, bo nasz śmiech dotyczył nawet tragicznych stron życia. Dziś śmiech jest w Rumunii rzadkim towarem.

L: Czy istnieje jakieś rozwiązanie dla stale narastającej sytuacji kryzysu w Rumunii?

Dinescu: Może to zabrzmieć dziwnie, ale socjalizm wykorzystał wiele cech stalinizmu - zaprzeczono roli jednostki, zmuszono ludzi do pracy w stadach, co dało o wiele lepsze efekty ekonomiczne. Czy zna pan rozwiązanie tajemnicy piramid, nad którą od stuleci uczeni łamają sobie głowy? Oto ono: wydano rozkaz, by je zbudować i ten rozkaz został wykonany. To wszystko. Ten sam typ socjalizmu istnieje tu dzisiaj, tylko inaczej nazywany.

Wysiłki socjalizmu, by uwolnić się od stalinizmu, przez co rozumiem powrót do normalności, co ma miejsce w sąsiadujących z nami krajach, na pewno nie przypadają do smaku zawodowym stalinistom, dla których odmowa przez człowieka zwierzęcej pracy jest równoznaczna z burżuazyjną słabością. Nie rozumieją oni potrzeby wolnych związków zawodowych, potrzeby ubierania się w barwne stroje, pracowania tylko przez pięć dni w tygodniu i prawa do protestu. Nasze władze zapragnęły napisać nową "Genezis", stworzyć w Rumunii "nowego człowieka". Na nieszczęście, większość narodu to "dawni ludzie", wrażliwi na głód i chłód, niezdolni do egzystencji w chłodnych i surowych laboratoryjnych warunkach niezbędnych by stać się Homo Ceausescus. Gdyby tylko nasi przywódcy odrzucili swe mistyczne przywiązanie do abstrakcyjnej partii i przywrócili prawo bycia realności i zmysłowi proporcji - wtedy może uśmiech wróciłby na twarze "dawnych ludzi", obywateli starej Europy.

L: Coraz więcej słyszy się i mówi na temat wspólnego europejskiego domu. Co pan o tym myśli?

D: Jeżeli nawet architektki od polityki od Paryża do Moskwy wyrysują projekty wspólnego europejskiego domu, jest rzeczą pewną, że zabraknie w nim jednego okna: Rumunii. Zamiast tego okna będzie tkwiła ślepa ściana, a za nią dwadzieścia trzy miliony otumanionych ludzi, którzy czekają na chwilę, gdy będą należeć do tego kontynentu. Jeżeli list wysłany z Paryża dociera do Bukaresztu w ciągu czterdziestu pięciu dni /jeśli w ogóle dociera po lekturze cenzury/, to nie dziwota, że wątpimy w naszą przynależność do Europy.

Rumunia, określana niegdyś mianem romańskiej wyspy na słowiańskim morzu, teraz stała się wyspą nie tylko w sensie lingwistycznym, ale także w egzystencjalnym. Jest wyspą otoczoną przez skłębione fale reform politycznych, których smak jest marzeniem tutejszych ludzi, którzy marzą o eliksirze nazwanym "głasnost" i "pierestrojka". Napój ten prawdopodobnie ożywi martwe cielsko socjalizmu, ale nam go zakazano, tak jak w dzieciństwie zabraniano nam Coca-Coli, mówiąc, że jest to narkotyk prosto z USA. Nie obowiązuje tu już przysłowie: "Powiedz mi o swoich sąsiadach, a powiem ci, kim jesteś". Zwyródniała wyobraźnia władz potrafiła doprowadzić do wybudowania w ciągu dwóch tygodni muru większego niż mur Berliński; potrafiła zniszczyć serce miasta o europejskich tradycjach, a na to miejsce budować betonowe babki z piasku i betonu, te świątynie stalinizmu. Władze zatruiły powietrze, wodę i ziemię, spuszczając na nią plagę gigantycznych, pędzonych chemicznie roślin. A wszystko po to, by po półwieczu dążenia do socjalistycznego postępu osiągnąć stan tożsamy z głodem w Azji: niedożywione dzieci o wymizerowanych twarzach, rodzice o oczach zapadniętych z nienawiści i rozpaczy.

L: Ale obserwujemy ostatnio na Zachodzie coraz większe zainteresowanie Rumunią. Skąd ono, pańskim zdaniem, wynika?

Dinescu: Wszystko dlatego, że jest to niewiarygodny kraj - kraj, w którym ludzie nie mogą się nawet publicznie podpalić, bo ciągle brakuje zapalek, ani się powiesić, bo brakuje sznurka. Weźmy na przykład Bukareszt, który jest na

dobrej drodze do tego, by stać się jedynym w Europie miastem bez kościołów, gdzie policjantów jest więcej niż gołębi, a na czarnym rynku króluje nowa forma gotówki - papierosy marki Kent. Cierpimy także na chorobę gigantomanii, która zwykła mierzyć ludzką szczęście ilością metrów sześciennych betonu. To absurdalny kraj, w którym wojska przygraniczne kierują lufy karabinów przeciw swym obywatelom, gdzie zboże rośnie nie na polach, tylko w telewizji, gdzie robotników nazywa się "posiadaczami" gdy mogą kupić to, co gwarantuje im konstytucja - środki do życia. Kierowcy autobusów muszą nabywać autobusy, wiertacze kupować wiertarki, a chłopcy własne hektary.... Gdy wróci pan do domu, proszę powiedzieć ludziom, że Bóg odwrócił się od Rumunii plecami.

L: Czy osoba Gorbaczowa budzi w Rumunach jakieś nadzieje?

Dinescu: Po pierwsze, Rumunia zawsze patrzyła na Wschód z lękiem, co jest historycznie zrozumiałe dla ludu żyjącego na krańcach imperium. Po drugie, stalinizmu nie importowano do nas z Honolulu, tylko z Kremla. Całe lata żyła szeptana plotka, że to Niedźwiedź ze Wschodu czuwa nad tym, by system polityczny nie stał się bardziej liberalny. A nasz naród w to wierzył. "Wojska radzieckie przeprowadzają manewry przy rumuńskiej granicy" - to stały refren, jakiego nasze władze używają w publicznych wystąpieniach. Nie wiem, czy w Sowietach uważa się Gorbaczowa za dobrego cara. Ale wiem, że w Polsce, na Węgrzech, w Bułgarii, Czechosłowacji, Wschodnich Niemczech i Rumunii miliony ludzi, którzy od lat cierpieli poniżenia postrzegają go jako głosiiciela dobrej nowiny, mészasa "socjalizmu z ludzką twarzą".

L: Rewolta robotników w Braszowa z listopada 1987 nie zmieniła status quo. Dlaczego?

D: Gdyż tylko wyjątki mają powołanie do męczeństwa. Po Braszowie poszła pogłoska, że prowodyrów strajku poddano naświetlaniom radioaktywnym. Kto wie? Gazety na ten temat milczą. Sprawiedliwość u nas jest nie tylko ślepa, ale i zakneblowana. Strach przed śmiercią jest uczuciem głęboko ludzkim. Nawet na Wschodzie pokutuje slogan: lepiej być czerwonym, niż umrzeć.

A dlaczego milczą nasi pisarze i artyści? Bo przyjaciele ostrzegają jedni drugich: uważaj, żeby cię samochód nie przejechał! Pamiętaj, że masz dzieci! Pilnuj się, żeby cię nie zeszalił!, kiedy tylko proponujesz napisanie niewinnego memorandum do władz na temat stanu kultury. Kiedy jeden z naszych wybitnych pisarzy, autor bardzo popularnych książek został poproszony o podpisanie takiego memorandum, poczuł się bardzo wzruszony, ale odpowiedział: "Z serca chciałbym to podpisać, ale obawiam się, że w moim wieku nie przeżyłbym już przesłuchań na policji". I dlaczego osiemdziesięcioletni twórca miałby zginąć tak nędzną śmiercią? Nie żyjemy przecież w kraju faszystowskim, tylko socjalistycznym. I dlaczego miliony ludzi muszą porozumiewać się szeptem nawet we własnych czterech ścianach?

Nigdy nie mieliśmy u siebie wielu fanatyków typu kamikadze. Nawet nasi poeci byli dobrymi mieszczuchami, ojcami rodzin, domatorami, którzy spokojnie pisali antymonarchiczne

teksty pozostając pod władzą kwitnącej monarchii. Kiedy los się do nas uśmiecha, niektórzy z nas okazują się zdolni do działań odważnych i mądrych, ale tchórzostwo szybko bierze górę, gdy sprawy przybierają niekorzystny obrót. Ludzie przywykli już do wegetacji, w oczekiwaniu na zwalenie kolejnego pomnika. Bo tym właśnie jest socjalizm - ciągłym obalaniem pomników. W latach pięćdziesiątych zniszczono arcydzieło Mestrovicia - pomnik króla Karola, założyciela współczesnej Rumunii. W 1958 w ciągu jednej nocy znikła gigantyczna statua Stalina. W 1968 zwalono popiersie Gheorghiu-Deja, a w 1970 pomniki Vasile Roaita, młodego komunistycznego bohatera. Zostały wywiezione z parków miejskich, kiedy okazało się, że znaleziono jego nazwisko na liście płatnych agentów przedwojennej policji. Mamy duże zapasy marmuru i jeszcze większą cierpliwość.

L: Ale wielu intelektualistom nie starcza cierpliwości i wybierają emigrację?

D: Masowa nerwica, która dotyka nasz naród, obejmuje również artystów i innych ludzi, którzy żyją z daleka od polityki. Są poniżani, doprowadzani do rozpacz, skazywani na powolne samobójstwo. Prawdę dawno już porzucono w Rumunii i teraz, jak powiadają, chodzi opłotkami z dziurą w głowie. Ale pisarzy nie uważa się już za "lekarzy rzeczywistości", zostali przemianowani w oddział, którego zadaniem jest dokonywanie chirurgii kosmetycznej władzy. Muszą upiększać brzydotę, ubierać kłamstwa w szaty prawdy, wielbić miernotę. Ci specjaliści od sztuki kompromisu są drażnieni kompleksami i reagują agresją wobec każdego, kto nie równa kroku z wyznawcami. Są dwie możliwości przetrwania: zgoda na życie w izolacji w nadziei, że kiedyś rękopisy z szuflady ujrzą światło dzienne, lub emigracja. Wybór ucieczki na zewnątrz jest prawie zawsze skutkiem uprzedniej emigracji wewnętrznej. Ale w każdym wypadku największą tragedią jest obserwacja, jak rumuńskim artystom wydarto duszę. Im, którzy są przecież solą tej ziemi.

Tłum. H.B.

JOHN REED

RUMUNIA: "TERYTORYALNA SYSTEMATYZACJA" CZY SYSTEMATYCZNY TERROR?

15 listopada 1988 roku, w pierwszą rocznicę strajków robotniczych w Braszowie, w całej Europie Wschodniej grupy opozycyjne zorganizowały "dzień rumuński" - protest przeciw politycznym i społecznym represjom. Demonstracje odbyły się w Berlinie Wschodnim, Budapeszcie, Warszawie, Pradze i Moskwie, dowodząc znacznego zainteresowania krajów europejskich warunkami życia w Rumunii rządzonej przez 71 letniego prezydenta Nicolae Ceausescu.

Ceausescu, swego czasu uważany na Zachodzie za człowieka postępowego i politycznie niezależnego, postawił Rumunię w sytuacji koszmarniej i absurdalnej zarazem. Używając rozbu-

dowanego aparatu tajnej policji i dokonując częstych czystek wśród przywódców partyjnych Ceausescu zdołał wzmocnić swą osobistą pozycję i władzę w stopniu niespotykanym w innych krajach bloku wschodniego. Zarówno on sam, jak i jego żona Elena, rumuński polityk numer dwa i przypuszczalna dziedziczka prezydentury są obiektami niezwykle silnego kultu jednostki. Na spotkaniu komitetu centralnego z okazji urodzin Ceausescu w 1988 roku nazwano przywódcę "największym synem rumuńskiego narodu" oraz "najwybitniejszym politykiem w historii Rumunii".

Zażeniony do spłacenia zadłużenia zagranicznego Rumunii - efektu ekstrawaganckich pożyczek zaciąganych w latach 70. na rozbudowę przemysłu ciężkiego i bazy turystycznej - Ceausescu pod koniec obecnej dekady nałożył surowe ograniczenia na naród. Już od kilku lat Rumuni żyją na głodowych racjach żywności, paliw i elektryczności. Na przykład w 1988 roku dystrybucja energii elektrycznej wystarczała na oświetlenie mieszkania przez dwie do trzech godzin dziennie i utrzymania temperatury ledwo przekraczającej zero stopni. Ale w tym samym okresie "era Ceausescu" wyróżniła się całą serią gigantycznych projektów, między innymi budową kanału łączącego Danube z Morzem Czarnym, oraz odnową stolicy, w której wyniku zrównano z ziemią w starej części Bukaresztu około piętnaście tysięcy budynków i od 1984 przeniesiono bądź eksmitowano 45 tysięcy ludzi.

Wiele z tych wydarzeń przechodziło bez echa opinii publicznej, aż do wiosny 1988, gdy Ceausescu ujawnił swój najnowszy projekt modernizacyjny - totalną reorganizację wsi rumuńskiej. Plan zakłada likwidację ponad połowy spośród trzynastu tysięcy wsi rumuńskich do 2000 roku i zastąpienie ich 558 "centrami agro-industrialnymi". Ośrodki owe mają się składać z osiedli betonowych bloków, szkół, sklepów i domów kultury. Ostatecznym celem tego planu, oficjalnie nazwanego "terytorialną systematyzacją" jest pozyskanie dodatkowych 300 000 hektarów ziemi pod uprawy. Mówiąc językiem oficjalnej rumuńskiej gazety partyjnej "Scinteia", terytorialna systematyzacja "zniweluje różnice między miastem a wsią w dziedzinie warunków życia mieszkańców i odtąd cały kraj będzie się rozwijać równomiernie".

Pomysł generalnej reorganizacji sektora rolnego Rumunii jest miernikiem władzy Ceausescu. Podobny plan, lecz o znacznie mniejszym zakresie był już przedstawiany w połowie lat sześćdziesiątych jako sposób na podniesienie produkcji rolnej i zahamowanie migracji ze wsi do miast. W wersji z roku 1988 plan ten jest jednym z najambitniejszych eksperymentów w dziedzinie inżynierii społecznej od czasów Stalina.

Projekt ten wywołał więcej krytyk w odniesieniu do stylu sprawowania władzy przez Ceausescu niż wszystkie inne jego pomysły razem wzięte. Najostrzejsza fala krytyki pojawiła się na Węgrzech, gdzie zarówno strona rządowa jak opozycja uznały "terytorialną systematyzację" za nic innego jak próbę całkowitego zasymilowania przez Rumunię mniejszości węgierskiej i niemieckiej. 27 stycznia 1989 Węgry w bezprecedensowym geście przyłączyły się do żądania krajów zachodnich, by Komisja Obrony Praw Człowieka ONZ zbadała sytuację mniej-

szości narodowych w Rumunii. Węgrzy twierdzą, że równając z ziemią wsie Transylwanii, władze Rumunii chcą wzmocnić kontrolę nad ostatnimi zachowanymi ośrodkami wiekowych kultur madziarskich i saksońskich.

Dwumilionowa, silna mniejszość węgierska od dawna jest przyczyną milczącego, ale istotnego konfliktu między dwoma krajami. W 1987 konflikt ów ujawnił się publicznie, po opublikowaniu w Budapeszcie trzynomowej, liczącej 2 tysiące stron "Historii Transylwanii". Praca ta, napisana w państwowym instytucie historycznym, podniosła kwestię historycznych początków Węgrów, Rumunów i niemieckich grup etnicznych w tym rejonie. Rząd rumuński oświadczył, że książka jest kłamliwa i oskarżył rząd węgierski o naruszanie bezpieczeństwa obecnych granic. Ale nie ten fakt, lecz systematycznie wzmagające się represje wobec węgierskiej mniejszości zaktywizowały węgierskie społeczeństwo i zmusiły dotąd milczący rząd do podjęcia konkretnych działań.

27 czerwca 1988 ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi protestowało w Budapeszcie przeciw planowi likwidacji wsi i była to największa demonstracja na Węgrzech od roku 1956. Tłum niosący świeczki i pochodnie oraz transparenty z nazwami skazanych na zagładę wsi dotarł pod ambasadę Rumunii, gdzie demonstranci usiłowali wręczyć rumuńskim urzędnikom petycję wzywającą Rumunię do honorowania międzynarodowych ustaw dotyczących praw mniejszości etnicznych. Choć demonstracja była nieoficjalna, władze nie usiłowały jej przeciwdziałać, a środki przekazu zapewniły na jej temat pełną informację. Rumunia zareagowała ostro, zamykając natychmiast węgierski konsulat w transylwańskim mieście Cluj oraz nowopowstałe centrum kultury węgierskiej w Bukareszcie. W przemówieniu wygłoszonym dzień po demonstracjach Ceausescu określił je jako robotę "kręgów szowinistycznych nacjonalistów" i oskarżył je, że przeszły wszystko "na co kiedykolwiek ośmielił się Horthy i jego ludzie". Ta aluzja do węgierskiego przywódcy rewanżystów z lat międzywojennych spowodowała u wielu Węgrów konsternację, bo broniąc praw człowieka starannie podkreślali, iż nie zamierzają naruszać istniejących obecnie granic państwowych.

Dopiero latem 1988 roku, po pełnej oburzenia kampanii prasowej, rząd węgierski zdecydował się na otwarte zagwarantowanie wszystkim uciekinierom prawa do azylu politycznego. Do tej pory rząd po prostu nie zauważał problemu, a uciekinierów pozostawiano bez żadnego oficjalnego statusu. Aż do tej chwili udało się zbiec z Rumunii, mimo pilnie strzeżonych granic, około dwudziestu tysiącom osób. W wywiadzie udzielonym w grudniu 1988 roku minister spraw zagranicznych Gyula Horn powiedział, że uciekinierzy /nowe słowo w węgierskim słowniku prasowym/ przybywali w grupach od 150 do 200 osób. Z pomocą w rozlokowaniu ich pospieszyły towarzystwa dobroczynne, wiele z nich powiązanych jest z Kościołem. Mimo dobrych chęci Węgrów, tak znaczny napływ uciekinierów stanowi spore obciążenie dla kraju, zwłaszcza dla regionów wschodnich, graniczących z Rumunią. Większość stanowią rodowici Węgrzy, ale około dziesięciu procent jest pochodzenia niemieckiego lub rumuńskiego. Uciekinierzy pochodzenia rumuńskiego utworzyli grupę nazwaną Romania Libera. Wzięła ona u-

dział w czerwcowych manifestacjach przeciw polityce Ceausescu, w listopadowej akcji "dzień rumuński" i publikuje nawet własne czasopismo niezależne.

Wiele krajów zachodnich, idąc w ślady węgierskiej opinii publicznej, wystosowało oficjalne protesty wobec planów Ceausescu. USA, Austria, a nawet Szwajcaria, która niechętnie miesza się do polityki innych krajów, wystosowały rezolucje krytykujące plan likwidacji wsi ze względów prawnych. Sytuacja w Rumunii stała się tematem szeregu posiedzeń zachodnioniemieckiego Bundestagu, podczas których zaproponowano nawet tak ostre środki jak sankcje ekonomiczne. Głosy krytyczne hamują nieco fakt, że Bonn w dalszym ciągu utrzymuje praktykę wykupu członków niemieckiej mniejszości po 8 tysięcy marek za głowę /ostatnio chodzą słuchy, że Rumunia podniosła cenę do 11 tysięcy DM/. W samej Rumunii trudności codziennego życia i ścisły nadzór sił bezpieczeństwa sprawiają, że otwarty protest jest praktycznie niemożliwy. Jedyńm wyjątkiem był list otwarty do Ceausescu wysłany przez Doinę Cornea, była lektorkę języka francuskiego na uniwersytecie w Cluj, zwolnioną w 1983 z pracy za przekonania polityczne. W liście tym, datowanym 28 sierpnia 1988 i sygnowanym przez dwunastu innych rumuńskich intelektualistów, Cornea określa systematyzację "zabijaniem ducha narodu" i wzywa wszystkich "Rumunów dobrej woli przebywających na emigracji, a także cudzoziemców zainteresowanych w utrzymywaniu rumuńskich wartości narodowych" do wspólnego protestu przeciw realizacji planu Ceausescu. Obecnie Cornea przebywa w areszcie domowym, po odczytaniu listu przez radiostację BBC oraz Wolną Europę. Dwóch innych sygnatariuszy zostało zmuszonych do publicznego odwołania swych przekonań.

Na skutek restrykcji w dziedzinie przepływu informacji, szczegóły dotyczące aktualnego stanu wdrażania planu systematyzacji pozostają nieznane. Korespondenci zachodni, którzy ośmielają się naruszyć tę zmwę milczenia podlegają natychmiastowym represjom - zastraszaniu, aresztom domowym, wydaleniu. Wobec braku wiarygodnej informacji, szaleją plotki. W listopadzie ub. roku władze rumuńskie zezwoliły ekipie telewizyjnej zachodnioniemieckiej na sfilmowanie wsi Gottlob, o której pisano, że została zrównana z ziemią. Dziennikarze zastali wieś nietkniętą. Ale w tym samym miesiącu delegacja austriackiego parlamentu, która miała zwiedzić tereny objęte planem, w ostatniej chwili otrzymała odmowę pozwolenia na wjazd. Prasa rumuńska opublikowała szereg apeli ze wsi, które "żądały" aby włączono je do planu, oraz tych, gdzie proces "modernizacji" już rozpoczęto. Oto fragment typowego listu, wychwalającego życie codzienne kompleksu agro-industrialnego w rejonie Mures:

"Nasza wieś została przemieniona w centrum ekonomiczno-kulturalne w epoce Nicolae Ceausescu, kiedy to przeszła, wraz z całym krajem, ewolucję jakiej dotąd nie było... Nasze osiedle otrzymało takie wspaniałe socjalne i kulturalne instytucje, jak miejskiego typu super-sam, Szkołę Rolniczo-Przemysłową z internatem, łaźnię komunalną, dom kultury, spichlerz, sklep z odzieżą dziecięcą i wygodne mieszkania w blokach dla 220 rodzin, nie licząc domków prywatnych".

W nowych kompleksach występują dwa typy zabudowy mieszkaniowej: chłopci zostają zakwaterowani w dwupiętrowych domkach mieszczących po cztery mieszkania, zaś robotnicy w mrówkowcach. Cmentarze giną wraz z wsiami. W jednym z numerów "Scintei" z czerwca ubiegłego roku wydrukowano wypowiedź kobiety ze zlikwidowanej wsi, wyrażającej swą głęboką wdzięczność, że wioskowy cmentarz również "przeniesiono" na nowe miejsce. Choć większość głosów protestu przeciw planowi likwidacji wsi pochodzi od etnicznych mniejszości, wydaje się, że na poletko próbną wybrano jednak tereny zamieszkałe przez ludność rdzennie rumuńską. Według raportów "Scintei" systematyzacja przebiega na pełnych obrotach w regionach rolniczych w pobliżu Bukaresztu. Wsie zamieszkałe przez mniej niż trzy tysiące mieszkańców zostały tam całkowicie wyludnione. W prasie rumuńskiej wyczuwa się mniejszy niż dotąd entuzjazm w doniesieniach o realizacji planu. Wsie nie są już "niszczone", tylko "stopniowo rozóradowywane". Te przeznaczone na zniszczenie zostaną "zdegradowane", co w praktyce oznacza zamknięcie w nich wszelkich instytucji życia publicznego i zakaz jakichkolwiek inwestycji. Tymczasem powstawać mają nowe bloki w nowych centrach - wsie będą niszczone, mówią władze, dopiero wtedy, gdy mieszkańcy dobrowolnie je opuszczą.

W wywiadzie udzielonym zachodnim dziennikarzom w grudniu Ceausescu zaprzeczył, jakoby plan miał przynieść ujemne skutki mniejszościom narodowym, oświadczając, iż "dobre" aspekty etnicznych kultur zostaną zachowane. Węgrzy pozostają wobec tych opinii sceptyczni - nowe kompleksy mają składać się z mieszkańców trzech do pięciu zniszczonych wsi, a tym samym zaprzepaszczone zostanie narodowy charakter małych społeczności. Kościoły i szkoły mniejszości mają zostać zniszczone wraz z wioskami. Czy w ogóle zostaną czymkolwiek zastąpione, sprawa jest wątpliwa. Wszak wszystkie agroindustrialne centra mają posiadać domy kultury pod nazwą "Hymn Rumunii" - nazwą nacjonalistycznego ruchu, którego przywódcami są prezydent wraz z małżonką.

Znając obecny stan rumuńskiej gospodarki można by wątpić, czy choćby częściowa realizacja planu likwidacji wsi jest możliwa. Jednocześnie jednak nie byłoby mądrze lekceważyć możliwości człowieka, który postanowił zmienić oblicze swego kraju. Bukareszteńska "renowacja miasta" przebiega w najlepsze - zburzono wiele budynków o znaczeniu zabytkowym, a w sierpniu położono fundamenty pod nowe Centrum Kongresowe, które pomieści dwanaście tysięcy ludzi, a kopułę będzie mieć wyższą od bazyliki św. Piotra. Polityka wewnętrzna Ceausescu bije nie tylko w mniejszości narodowe, ale również w dziedzictwo historyczne całej Rumunii.

Reżim Ceausescu zawsze objawiał pogardę dla opinii - zarówno wewnętrznych, jak zagranicznych. Strajki w Braszowie - widomy wyraz gniewu i desperacji narodu - spowodowały szereg dymisji rządowych. Wielu robotników biorących udział w tej akcji zostało zatrzymanych lub uwięzionych, wielu przeniesiono wbrew woli do innych regionów kraju. Na forum międzynarodowym Rumunia doprowadziła do furii delegatów wiedeńskiej Konferencji w sprawie Bezpieczeństwa i Wzajemnej

Współpracy, odmawiając podpisania końcowego dokumentu z powodu włączonych tam klauzul o prawach człowieka i obywatela. W styczniu bieżącego roku, podczas zamknięcia Konferencji, Rumunia wydała oświadczenie, w którym "nie obiecuje gwarancji" międzynarodowych ustaleń co do honorowania wolności religijnej i prawa do emigracji. Jak dotąd Ceausescu wytrzymuje z powodzeniem presje wewnętrzne i zewnętrzne.

John Reed

Tłum. H.B.

Artykuł ten był wydrukowany w czasopiśmie "The Uncaptive Minds. A Journal of Information and Opinion on Eastern Europe", vol.II, nr 4, New York 1989.

MICHAEL MEYER

OSTATNI STALINISTA

"Komuniści kochają się w betonie" napisał amerykański humorysta P.J.O'Rourke w satyrycznym opowiadaniu "Wakacje w piekle". Wprawdzie miał na myśli Warszawę, ale równie dobrze można to odnieść do Bukaresztu. Miasto, znane ongiś jako "Paryż Wschodu" stało się największym w świecie placem budowy.

Z każdego punktu słychać tu huk i wibracje ciężkich maszyn. Wieże dźwigów dżgają niebo. Betonowe bloki sterczą jak klocki. Buldożery i ciężarówki przewalają się rozkopanymi ulicami, wypełniając powietrze hałasem i kurzem, formując nowe bulwary na miejsce starych uliczek. Władze rumuńskie opisują swą działalność w kategoriach "renowacji urbanistycznej"; krytycy piszą o dewastacji. W każdym wypadku są to działania surrealistyczne, rodzaj monumentalnego amoku. W sercu dzisiejszego Bukaresztu stoi gigantyczny, wybudowany z białego marmuru Pałac Narodu, który pomieści parlament rumuński i kilka tysięcy osób z biurokratycznej komunistycznej wierchuszki. U stóp wzgórza, na którym wznosi się Pałac, bierze początek nowy Bulwar Rewolucji Socjalistycznej, upstrzony symetrycznie ustawionymi blokami mieszkalnymi dla rumuńskich oficjeli, który wrzyna się w obszar, gdzie niegdyś tętniła życiem bukareszteńska Starówka. Przewodnik informuje: "Nowy bulwar jest z każdej strony o jeden metr szerszy, niż Champs-Elysées. Pragniemy zbudować miasto-pomnik, z którego wszyscy Rumuni będą dumni".

A właściwie jeden Rumun - prezydent Nicolae Ceausescu, pochylający się nad swym narodem jak kolos, którego imię zdobi wielkie autostrady, a dzieła zebrane witrzynę każdej księgarni. Ceausescu ma wiele imion - Oświecony, Wielki Przywódca, Geniusz Karpat, Skarbnica Myśli. Przechodzień uliczny mówi po prostu "On", i to nie zawsze z należytym szacunkiem. I w czasie, kiedy Polska i Węgry zmierzają ku demokracji i wolnemu rynkowi, a Rosja otwiera się na świat,

Rumunia Ceausescu zamyka się w sobie, otulona w kokon anachronicznej marksistowskiej ideologii i autorytarnego stylu rządzenia. Przez blisko pół wieku Rumunię kształtował wedle swej prywatnej wizji Ceausescu, niezależny od nikogo i niczego. Aby spłacić zagraniczne zadłużenie całą produkcję przeznaczył na eksport, nie bacząc, że ludzie chodzą głodni i obdarci. Handel z zachodem zredukowany został do wymiany. Kontrola państwa nad gospodarką jest absolutna; bunt polityczne okrutnie dławione. Rumunia jest jedną z dwóch świątyń komunistycznej wiary.

Nic dziwnego, że funkcjonuje jak wyspa, jak wyizolowane państwo-parias, jak Libia czy Korea Północna. Goście, którym wolno się tu poruszać swobodnie, jak ostatnio pozwolono dziennikarzom "Newsweeka", kojarzą ten kraj z Afryką lub Ameryką Środkową raczej, niż z Europą. Panuje tu taka sama bieda i takie same ograniczenia wolności i praw człowieka. "Gdyby było trochę więcej żywności, żylibyśmy jak podczas wojny" - mówi rumuński dowcip.

Nie zawsze tak było. Ceausescu, robotnik chłopskiego pochodzenia, który w 1933 wstąpił do nielegalnej partii komunistycznej a w 1956 został jej przywódcą, ustalił już na początku indywidualny styl. Lata całe Zachód zachwycał się nim jako błaznem Wschodniej Europy, który ma czelność opierać się Moskwie. Niezależność polityki zagranicznej Rumunii została dowiedziona w 1968, kiedy odmówiła ona udziału w inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Ceausescu już w 1967 nawiązał stosunki dyplomatyczne z Izraelem, jako jedyny przedstawiciel bloku wschodniego, i gościł u siebie największych światowych przywódców, od prezydenta Nixona po króla Jordaniі Husseina. Wolność słowa była w Rumunii o wiele większa niż w innych krajach bloku. W latach siedemdziesiątych sprzedawano tu zachodnie gazety i książki, nie zagłuszano fal radiowych. Ludzie mogli swobodnie kontaktować się z obcokrajowcami, a siły bezpieczeństwa pozostawały w cieniu.

A teraz wszystko się zmieniło. Światowi przywódcy niechętnie goszczą w Bukareszcie. Inteligenci zmienili się w dworskich sługusów. Poeci piszą ody na cześć Ceausescu, ci przynajmniej, których w ogóle dopuszcza się do publikacji. Książki i gazety prześcigają się w chwalbie na cześć Oświeconego. Obce druki są zakazane; aby pożytycz je z biblioteki, należy wystąpić ze specjalnym podaniem. Każdy Rumun ma obowiązek meldować milicji o wszelkich kontaktach z cudzoziemcami. Milicja rejestruje wszystkie maszyny do pisania, wraz z próbkami pisma. Kino cofnęło się do lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych - można tu zobaczyć stare westerny z Jamesem Stewartem i włoskie komedie z Sophią Loren. "Tu nie idzie naprzód - mówi zachodni dyplomata akredytowany w Budapeszcie - wszystko ciągnie wstecz".

Rzecz zrozumiała, że system ten jest szczególnie podatny na wynaturzenia i karykaturalne zniekształcenia. Zachodnie gazety wiele pisały o tym, że Ceausescu zamierza zniszczyć połowę wsi w kraju i przerobić je na anonimowe, budowane w stylu Mussoliniego centra. Nie dzieje się to na tak wielką skalę, jakby się zdawało. Píše się często, że Rumu-

nia to kraj jak z Orwella. A mimo to Bukareszt, ze swymi placami budowy, kurzem i rozgrzebanymi ulicami podoba mi się bardziej niż Warszawa. W kawiarniach jest pełno. Dzieci bawią się w parkach. Pary zakochanych spacerują pod starymi drzewami orzechowymi.

Rumuni mówią jednak, że to tylko pozór normalnego życia. "Nie możecie sobie nawet wyobrazić, jak my żyjemy, jak strasznie zbiednieliśmy" mówi mi Rumun, spawacz z zawodu, rozglądając się trwożnie, czy ktoś nie podsłuchuje tej rozmowy z cudzoziemcem. W parku bawią się dzieci, jest słoneczny dzień, ale karuzela zatrzymuje się co dwadzieścia minut z powodu przerw w dostawie energii elektrycznej. Rumun nie chce rozmawiać o braku żywności i brutalności milicji. Zamiast tego skarży się, że władze niedawno skasowały dwugodzinny program radiowy złożony z muzyki, humoresek i audycji rozrywkowych. "Mamy tak mało radości życia - mówi - Zabrano nam nawet prawo do śmiechu. Wieczorem nadaje się jedną godzinę programu radiowego i dwie godziny telewizji. Nie ma wiadomości - tylko filmy o Nim".

Doradza nam zwiedzenie Muzeum Historii Narodu. "To wam się przyda" - mówi. I rzeczywiście. Kilka zaledwie sal poświęcono tu rumuńskim władcom i historii do roku 1965. Potem jest wyłącznie Ceausescu: jego fotografie z Jimmy Carterem, królową Elżbietą, papieżem Pawłem VI; gobeliny i obrazy dotyczące jego kariery; medale i tytuły honorowe, oraz inne pamiątki troskliwie zabezpieczone pod szkiełkami. Nie wolno tego rejestrować, szczególnie z notesem w ręku. "Nie pisać!" wrzeszczy rozłoszczona policjantka. Rekwiruje długopis i już go nie zwraca.

Niebezpiecznie jest porywać się na tutejszy kult jednostki. Książki jednej z najpopularniejszych rumuńskich pisarek, Any Blandiany, trafiły ostatnio na indeks, kiedy władze odkryły, że niewinna ilustracja przedstawiająca kota nosi pewne podobieństwo do Ceausescu. Na początku tego roku wybitny poeta, Mircea Dinescu, został aresztowany po wywiadzie udzielonym gazecie "Liberation", zawierającym akcenty krytyczne co do osoby Ceausescu. "Od kwietnia, kiedy opublikowano wywiad, moje mieszkanie było obserwowane dzień i noc przez agentów w cywilu" - pisał on w grypsie przemyconym ostatnio na Zachód - "Ani Rumuni, ani obcokrajowcy nie mają prawa mnie odwiedzać. Odcięto mi telefon, przestała dochodzić poczta - poza jednym ohydny anonimem, w którym grożono mi śmiercią".

Nawet najwyższym dygnitarzom nie wolno kwestionować politycznej linii Ceausescu. Największy bunt przeciw reżimowi zdarzył się tej wiosny, kiedy sześciu wybitnych polityków napisało list otwarty krytykujący prezydenta i oskarżający go o rujnowanie gospodarki kraju, o terroryzowanie obywateli. Wśród sygnatariuszy znalazł się poprzedni szef Partii Komunistycznej, były minister spraw zagranicznych, były ambasador przy ONZ; kilku z nich było niegdyś członkami Biura Politycznego, najwyższego organu władzy wykonawczej Rumunii. Obecnie szóstka ta została poddana aresztowi domowemu - Ceausescu stwierdził, że byli płatnymi agentami Zachodu.

Także Vasile Flutar napisał krytyczny list do Ceausescu. Kosztowało go to utratę rodziny, i prawie utratę życia. Będąc byłym prokuratorem wojskowym, Flutar przez całe lata miał wgląd w zbrodnie popełniane przez rumuńską straż graniczną. Raporty jednak lądowały w koszu. W końcu, w 1984 roku napisał do Ceausescu. "Chyba byłem naiwny - mówi - Zdawało mi się, że prezydent powinien wiedzieć o tych okropnych rzeczach, jakie mają miejsce. Myślałem, że kiedy to poinformuję, położę kres tym zbrodniom". Oskarżył więc rumuńską milicję o przekupstwo, gwałty i morderstwa. Podał fakty, adresy, nazwiska, daty. Opisał, jak straż graniczna zastrzeliła Rumuna zbiegłego do Jugosławii już po tym, kiedy dostał się na terytorium jugosłowiańskie. Podał przykład oficera, którego nie ukarano za strzelanie do podwładnego tylko dlatego, że ojciec oficera był wysokim urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Opisał przypadek, kiedy straż graniczna zastrzeliła i dobiła katolickiego księdza i parę z małym dzieckiem, a potem pozwoliła ich ciała pozreć psom.

Po kilku dniach od wysłania listu Flutar został zwolniony z pracy. "Przeszukiwano moją pocztę. Zakazano mi uprawiania zawodu i pozostawałem bezrobotny przez trzy lata". W więzieniu spędził pół roku - na przełomie 1985 i 86. "Ciągłe wzywano mnie na przesłuchania" - mówi - "Za każdym razem mnie bito. Trzech czy czterech milicjantów znęcało się nade mną przy użyciu rąk, nóg i pałek. Zimą było naprawdę zimno. Często stawiano mnie nagiego w zimnej wodzie na trzy, cztery godziny, w kajdankach i łańcuchach na nogach. Aż trudno sobie to wyobrazić. W każdej celi były przymocowane do ściany łańcuchy. Rozciągały one człowieka przymocowanego za ręce i nogi na ścianie celi. Potem było bicie. Człowiek nie mógł się ruszyć, tylko krzyczeć i płakać".

W listopadzie ubiegłego roku zrozpaczony Flutar postanowił uciec z żoną na Węgry, zostawiając dzieci z dziadkami. Na początku bieżącego roku dwa razy opowiadał o swych przeżyciach w węgierskiej telewizji. Niedługo potem, jak twierdzi, zdarzyły się dwukrotne próby przejechania go przez samochód na ulicy.

Trudno weryfikować prawdziwość takich oświadczeń. Zwykle nie ma zbyt wielu naocznych świadków, a zeznania uchodźców rumuńskich podawane są w wątpliwość, jako stronnicze. Rumuńscy urzędnicy twierdzą, że wszystko to kłamstwa i "imperialistyczna propaganda". Ale podobne zdarzenia - od tortur po "zaginięcia" zarejestrowane są w archiwach helsińskiej Federacji Obrony Praw Człowieka z siedzibą w Wiedniu. Zebrane razem dają przejmujący obraz losu inaczej myślących w rumuńskim państwie policyjnym. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu znaleziono popa prawosławnego pobitego na śmierć na ulicy Bukaresztu. Inny ksiądz zniknął, mając uprzednio kłopoty z tajną milicją za organizowanie grup dyskusyjnych dla młodzieży.

"Nie ma u nas wolności wyznania" - mówi ksiądz z Transylwanii, potrząsając ze smutkiem głową i patrząc w stronę odległych Karpat. "To puste gadanie. Władze ciągle nam pa-trzą na ręce. Mówią nam, ile możemy zatrudniać kucharek, a ilu uczyć alumnów, ilu mnichów może mieszkać w naszych kla-

sztorach. A wierni tymczasem umierają z głodu. Chłopi podróżują nieraz po cztery godziny do Bukaresztu, żeby kupić chleb. Trudno być jednocześnie chrześcijaninem i poddanym tego kraju. Myśli pan, że pozwalam sobie na mówienie takich rzeczy w kazaniu? O nie, natychmiast zostałbym ekskomunikowany, albo jeszcze gorzej".

Wraz ze wzrostem zubożenia rosną represje. W terminologii urzędników era Ceausescu to "Epoka Oświecenia", w której warunki życia ulegają wyłącznie poprawie. "Pod koniec II wojny światowej mieliśmy standart życia porównywalny z Ekwadorem - mówi wyższy urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych - Gospodarka była zniszczona. Ludność była biedna, pracowała na pańszczyźnie u wielkich obszarników. Przez ostatnie 40 lat zaszły zasadnicze zmiany. Dochód narodowy jest obecnie czterdzieści razy większy. Produkcja przemysłowa 122 razy większa niż w roku 1938. Produkcja rolna wzrosła sześciokrotnie. A liczba ludności wzrosła z 19 do 23 milionów. Proszę samemu osądzić, o ile mamy teraz lepiej!"

Gdy pytam o kolejki po chleb i puste półki w sklepach, otrzymuję nader ciekawą odpowiedź. "Nie ma u nas braków - mówi przedstawiciel Ministra Handlu Nicolae Andrei - Zapasy trzymamy w sklepowych chłodniach, a do sprzedaży kierujemy niewielkie ich ilości". Przewodnik ma więcej pomysłów: "Nasi obywatele mają tyle pieniędzy, że wykupują wszystko, co pojawi się w sklepie - wyjaśnia - gotowi są stać cały dzień w kolejce, żeby tylko wydać te pieniądze".

Twarda prawda jest taka, że Rumunia osiągnęła dno minimum socjalnego. Podobnie do innych krajów bloku wschodniego, Rumunia w latach siedemdziesiątych próbowała zaciągać pożyczki na rozwój przemysłu. Wyniosły one 11 miliardów dolarów i miały przyczynić się do rozwoju petrochemii, hut, przemysłu elektronicznego i budowy kanału łączącego rzekę Danube z Morzem Czarnym. Pożyczki nie przyniosły spodziewanych efektów, więc w 1981 Ceausescu zmienił bieg. Postanowił, że wszystkie długi zostaną spłacone do 1990 roku. Aby to osiągnąć zalecił eksport wszystkiego, co nadaje się do sprzedania: zasobów naturalnych, wyrobów przemysłowych i żywności. Tak więc rumuńskie długi zostały zlikwidowane, ale kosztem poświęcenia jakości życia całego społeczeństwa.

Najgorzej jest teraz z żywnością. Na odległość rzutu kamieniem od marmurowego Pałacu Narodu kobieta rzuca się na chodnik, by pozbiierać zawartość rozbitego jajka i włożyć z powrotem do koszyka. Nieopodal setki mężczyzn, kobiet i dzieci stoją w kolejce przed sklepem mięsnym. Do sprzedaży skierowano kilkadziesiąt puszek z sardynkami i kaszanką. Kolejka po benzynę przekracza dwa kilometry. Właściciel pyrkającej Dacii - dwutaktowego samochodu produkcji rumuńskiej, po czterogodzinym staniu w kolejce wrzussa ramionami, jakby chciał powiedzieć: "Wszystko jest jak zwykle".

Tak, wszystko tu idzie po staremu. Życie większości Rumunów zostało zredukowane do stanu duchowego bezwładu, przerwany polowaniem na towary. Kwitnący tutaj czarny rynek oferuje zaopatrzenie o niebo lepsze niż sklepy, ale dostępny jest tylko dla tych, którzy mają sporą gotówkę albo coś do sprzedania. Elektryczność dostarczana jest tylko przez kilka

godzin dziennie; najczęściej wystarcza na zagranie raz czy dwa czajnika z wodą. Kartki gwarantują każdej rodzinie kilogram cukru i dwa litry oleju miesiennie. Na wsi, gdzie o żywność dużo trudniej niż w mieście, rodziny muszą dokazywać cudów, by związać koniec z końcem. "Dziadkowie wstają o pierwszej w nocy i idą pod drzwi sklepu, czekają na taboretach do godziny otwarcia" - opowiada uciekinier rumuński na Węgrzech, siedząc w klubowym fotelu Hotelu Forum. "Czasami wracają po dziesięciu godzinach, przynosząc to, co akurat było do kupienia. Po pracy na zakupy wychodzą rodzice. Zawsze noszą z sobą puste siatki. Jeśli widzą kolejkę, zawsze stają i kupują to, co "rzucili". Rumunia jest obozem pracy. Nie można tu nawet kupić papierosów".

Nieprzestrzeganie praw człowieka w Rumunii wywołało falę międzynarodowych protestów. Zarówno konferencja na temat praw człowieka w Paryżu, która miała miejsce wiosną tego roku, jak Międzynarodowa Federacja Praw Człowieka w Helsinkach, uznały, że reżim Ceausescu jest skierowany przeciw narodowi rumuńskiemu. Zachodnim dyplomatom zabrania się tu jakichkolwiek kontaktów z dysydentami. Niemcy Zachodnie zerwały stosunki dyplomatyczne z Rumunią po fakcie brutalnego pobicia żony ambasadora tego kraju przez rumuńską tajną policję; według wyjaśnień władz, kobieta ta sprowokowała agenta. W ubiegłym roku był sekretarz stanu George Shultz powiedział na forum Kongresu USA, że stan przestrzegania praw człowieka jest w Rumunii najgorszy spośród wszystkich krajów Europy Wschodniej.

Rumuni walczą o prawo do życia. Już 30 tysięcy ludzi zdołało zbiec na Węgry, w ciągu dwóch tylko ostatnich lat. Tysiące uciekły do Jugosławii, Bułgarii i Niemiec Zachodnich. "To powszechny objaw - powiada bukareszteński taksówkarz - Każdy marzy o ucieczce na Węgry albo na Zachód. Próbuje uciec tak wielu, że władze przestały więzić wszystkich, którzy zostali złapani na gorącym uczynku. Mają tylko zapłacić karę w wysokości 3 tysięcy lei, i wypuszczani są na wolność, gdzie znów mogą próbować ucieczki."

Ostatnio dotarły na Zachód wiadomości, że Ceausescu reaktywował stworzony przed 14 laty plan zamienienia połowy spośród 14 tysięcy wsi rumuńskich w 500 betonowych centrów rolniczych. Usprawiedliwieniem jest marksistowska teza o potrzebie stworzenia "nowego człowieka socjalizmu", na skutek zniesienia politycznych, ekonomicznych i kulturalnych różnic między poszczególnymi Rumunami. Program niszczy tradycyjne formy życia wiejskiego, małomiasteczkową architekturę, budynki kościelne i wykorzeni ze stałego miejsca zamieszkania około 23 miliony ludzi. Węgrzy uważają, że chodzi o zasymilowanie silnej, dwumilionowej węgierskiej mniejszości zamieszkującej górzyste obszary północnej Transylwanii.

Prawda nie jest aż tak perfidna. Rumunia ma ambitne plany w zakresie industrializacji części obszarów rolniczych i podniesienia średnich warunków mieszkaniowych. Ale nieczęsto niszczy się całe wsie - zostawia się raczej opuszczone domy na pastwę czasu. "Znam tylko kilka przykładów zrównania wsi rumuńskich z ziemią" - mówi Utta Gorbani, Rumunka pracująca w monachijskim Instytucie Południowoschodnim.

Trudno zakneblować opinię publiczną i spacyfikować ogólną frustrację. Dwa lata temu wybuchły emocje w Braszowie, gdzie zbuntowało się ogółem 10 tysięcy górników i ich rodzin, co poruszyło falę pomniejszych strajków i akcji protestacyjnych w całym kraju. Od tej pory warunki życia jeszcze się pogorszyły, a ciężka zima i brak żywności mogą wywołać nowe strajki.

Wielu Rumunów wierzy, że to choroba położy kres rządowi Ceausescu - chodzą plotki, że jest poważnie chory na raka. I rzeczywiście, jego obecna chudość, spuchnięte dionie i częste nieobecności na oficjalnych zebraniach nie pasują do obrazu wszechmocnego władcy. Istnieje jednak problem sukcesji, pasujący bardziej do bizantyjskiej niż komunistycznej tradycji. W kręgach dyplomatycznych mówi się, że następca Ceausescu wyłoni się ze sfer policji lub wojska, i umocni jeszcze charakter Rumunii jako państwa policyjnego. Inni sugerują, że tron obejmie Elena, żona Ceausescu, kobieta o żelaznej woli, obecnie pełniąca funkcje premiera i będąca członkiem Politbiura. Filary dynastii już istnieją. Brat Ceausescu Ilia jest ministrem Obrony, drugi brat Ion jest dyrektorem Centralnego Komitetu Planowania, a trzeci brat, Nicolae Andruta, ma wysokie stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Syn Nicu /39 lat/ jest głową Partii w Transylwanii, tradycyjnej wylęgarni przywódców. Należy wątpić, czy po zejściu Nicolae Ceausescu ze sceny, skończy się w Rumunii Epoka Ceausescu.

Michael Meyer

Tłum. H.B.

Tekst powyższy był publikowany w tygodniu "Newsweek" z 21 sierpnia 1989.

PROZA

JAN PELC

DZIECI RAJU

Jan Pelt /ur. 1957/, zawód wyuczony - ślusarz. Brał aktywny udział w życiu czeskiego undergroundu muzycznego. W roku 1981 wyemigrował do Francji. Aktualnie mieszka w Paryżu, współpracując z czasopiśmie "Svědectví".

Wybrany fragment pochodzi z jego głośnej wśród czeskich czytelników, debiutanckiej powieści "...a bude hůr", tłumaczonej także na francuski i niemiecki /wyd. Index, 1985, Kolonia/, której polski przekład ukaże się w ramach Kolekcji Literatury Czeskiej i Słowackiej firmowanej przez Solidarność Polsko-Czechosłowacką. Red.

Sięgam pod siedzenie do plastikowej torby po butelkę jabola. Długi łyk przechodzi powoli przez gardło, napełniając żołądek rozkoszną treścią. Jeszcze cztery stacje i wrócę tam, skąd wywieźli mnie rok temu. Przyciskam rozpalone czoło do brudnej szyby, żeby dostać oczopląsu od migającego za oknem krajobrazu. Rok - co znaczy rok w tym głupawym świecie? Parę - raczej więcej niż mniej - ochłajów, masę dniówek w robocie, jedna, dwie grypy, kilka jubłów i wyskoków. Parę dup na balangach, z rozłożonymi nogami, z wilgotnymi i śmierdzącymi pizdami. To wszystko, cały ten rok, który mam do tyłu. Trochę mi lepiej, kiedy o tym pomyślę. Jak łatwo wymazać z ludzkiego życia rok spędzony u czubków. Nagle, niczym głos boży, rozlega się nade mną głos ordynatora z wartiatkowa: "Nie wolno ci się denerwować". "W porządku, doktor-ku". Znow biorę w rękę zimne, szklane ciało butelki i ponownie दाe żołądkowi posmakować tej słodyczy.

- I nie upij się zaraz pierwszego dnia - dodał jeszcze tamten lekarz.

"Czekaj tatka latka" odparłem, tyle że w duchu. Wreszcie pociąg hamuje na czwartej stacji - ludzie, Klostrdle... Miasteczko założone przez wędrownych mnichów, później złupione przez zakon niemieckich rycerzy, wyzwolone przez marszałka Koniewa, a jakiś czas potem przez porucznika X...którego pomnik na razie nie stoi na rynku. Miasteczko ma czternaście tysięcy mieszkańców i mnie.

Wysiadam z zamkniętymi oczami i stawiam dwa kroki w kierunku knajpy o poetyckiej nazwie "Dworcowa". Otworzywszy drzwi, ślepię jak krótkowidz przez kłęby dymu na lokal pachnący rzygowinami i piwem.

- O retę, Olin! - drze się ktoś znad stołu położonego w głębi i natychmiast rozlega się chóralne skandowanie, jak na spartakiadzie: "Szajba, szajba"... Są tu chyba wszyscy. Kwiat społeczeństwa, jak nas nazwał ów funkcjonariusz, który później wybił mi butem zęba. Kaczki, Pejza, Józef, Wojtan i inni. Same znane gęby, brakuje chyba tylko Faszysty, Alfonsa i Pepka, ale cóż by to był za powrót, gdyby ktoś nie siedział.

- Czołem, fiuty - wiatam się grzecznie.

- Czołem, chuj! - wrzeszczą oni prostacko, bo w końcu mają do czynienia ze świrusem na państwowych papierach. Zabieram Pejzie krzesło i piwo.

- No to cyk - podnoszę kufel, wypijam piwo duszkiem i patrzę na facjaty, które nic się nie zmieniły.

Nie znany mi kelner serwuje już trzeci browar, a ja wciąż jeszcze odpowiadam na pytania. Wpieprza mnie to - każdy ma za sobą kilka lat poprawczaka, pudła albo wariatkowa, a pytają jak nowicjusze w klasztorze.

- Chodźcie do "Bouczków" - proponuję, żeby uniknąć pytań. Wszyscy stają bez oporów, a ktoś nawet płaci moje piwa. Zaraz po wyjściu łapie mnie za rękę Pejza.

- Olin, wiesz, ja też muszę mieć wariackie papiery, za rok mam stawać do poboru. Jak to wykombinować?

- Zaczniij myśleć normalnie. - Gapi się, jakby go sprasował buldożer. - Czyli, że kiedy widzisz tamtą gwiazdę nad bramą, to nie jest ich czerwona gwiazda, tylko gwiazda na niebie. Jak ci ktoś powie: "jesteś normalny", wtedy ty mu zasun tak: "nie, ja jestem świrus trzeciej generacji komunizmu".

- Aha - mówi niepewnie.

- Coś ty, Pejza. Weź zyletkę i kiedy będziesz miał nastój, albo inaczej: jeżeli masz słaby żołądek, ja cię chlasię i nauczę, co trzeba mówić. Nie bój się, to nie boli, tylko że leci sporo krwi i trochę ci głupio, że twojej własnej.

Nareszcie widać pod wzgórzem "Bouczków". Chce mi się razem z tym praojcem Czechem wrzeszczeć na wzgórze: "Ty knajpo obiecana, piwem i rumem płynąca". Śmiechu warte - ale głęboko prawdziwe. Ta knajpa, obrzygana i zapluta przez liczne generacje naszych jareckich, jest ostatnią oazą w tym kraju. Knajpa, gdzie nikt nie boi się powiedzieć co myśli, gdzie nie przesiadują gliniarze i nawet chyba kapusie /tacy przecież też mają stracha, a poza tym rodziny/, tylko wolni, piękni ludzie, tacy jak ja i oni, zniszczeni przez pijaństwo, z przepitymi mózgami, bez przeszłości...

Przy kontuarze witam się z Łapą, jak gdyby od naszego spotkania upłynął zaledwie dzień. W końcu jednak Łapa ma trening: ktoś z jego gości nie zniknął przynajmniej na rok? Na przywitanie strzelamy po rumie. Ledwie go przełknąłem, a już Pejza ciągnie mnie do "garsoniery". Tak nazwaliśmy pomieszczenie na zapleczu, o którym pewien źle podkupiony pihowiec wyrzcił się, że to śmietnik. Wszyscy chcieli mu rozkwaśnić ryżo, ale mnie się nawet spodobało. Żyjemy przecież na śmietniku, no nie? Idę za Pejzą, a z garsonierki dolatuje gromko hymn "NAS": "Gdy makówki dojrzewały wszystkie ćpuny się śmiały i krzyczały victoria".

Stoję jak kutas, a oczy pocą mi się jak gówniarzowi. Teraz dopiero wiem, że wróciłem, że jestem w domu! Tonda Haszyszczyzna wychodzi z sytuacji i natychmiast wchodzi z moim najbardziej ulubionym kawałkiem: "Wnęć po urodzinach /zrobiłem skok w bok/ budę miałem w dupie/, jednak jestem swój chłop". Refren wyję już z nimi jak na wojskowym apelu: "Siedzę sobie przy piwie/ i wszystko zwisa mi w pion/ tylko trochę mi łyso/ że kradną żarcie psom. /Mogłem być już żonaty/ durny, gruby, brzuchaty /z jakąś pindą kosmatą/ i za jej wdzięki/ płacić całą wypłatą".

Haszyszczyzna jeszcze nie skończyła, a już rzuca się do mnie Brudas, wieszając mi na szyi coś ze swoich niezliczonych koralików.

- Znowu jesteś nasz - mamrocze, przy czym nie ma pojęcia, że czuję idealnie właśnie coś takiego. - Za chwilę przyjdzie Olinka - dodaje z miną alfonsa i ciągnie mnie do stołu. Jakims trafem siadłem obok Haszyszczyzny, który podsuwa mi swoją bańkę rumu. To przejaw największego szacunku.

- Dzięki. - łykam rum, wlepiając wzrok w jego oczy, żeby sprawdzić, czy nie pozostała w nich odrobina nienawiści, którą żywił do mnie, bo niby spałem i przetrząsnąłem jego nieletnią kuzynkę. Tak twierdzili oboje, podczas gdy ja, palant jeden, przez cały wieczór trzymałem ją za głowę nad obrzniętym sedesem, żeby się jej lepiej haftowało. Jednak nie zdążyłem wy badać humoru Haszyszczyzny, bo przyszła Olinka. Zamykam ją w podwójnym "niedźwiedziu".

- Oli - szepczę w jej włosy.

- Serwus, szajbusku - odpowiada równie czule.

Odpycham ją lekko od siebie i nie jestem w stanie oprzeć się durnawym wspomnieniom. Poznałem Olinę sześć lat temu. Wybrałem się wtedy pod most kolejowy na ryby i znalazłem tam śpiącą młodą dziewczynę. W jednej ręce trzymała latarkę, w drugiej majchra. Akurat uciekła pierwszy raz z domu. Od tamtej pory nawiewała przynajmniej ze sto razy. Jej stara, fisza u komuchów, posyłała ją za to też ze sto razy do psychiatrów. Walili w nią zastrzyki i piguły, bo nie rozumiały, barany, że Olinka chce mieć po prostu matkę a nie kopniętą radną, która nawet w domu bredzi o tym, jak wiedzie się nam coraz lepiej i jak będzie pięknie, kiedy już wszystko zbudujemy. Zawsze, gdy Olinka nie chciała już tego wysłuchiwać, a tylko porządnie ją wkurzyć, mówiła: "Wcale nie dziwię się tacie, że nie mógł z tobą wytrzymać. Mieć w łóżku kobietę, która podczas sztosu truże, co słyszała na zebraniu, to żadna frajda".

Trzymamy się z Oliną za rękę, a drugą dźwigamy piwo. Fajno mi. Olinka jest pierwszym i chyba jedynym człowiekiem na świecie, z którym jest mi dobrze, nawet wówczas, gdy nie gadamy. Nigdy nie spaliśmy razem, nic z tych rzeczy, nie chodziliśmy ze sobą, a mimo to potrzebujemy siebie nawzajem jak syjamskie bliźnięta. Kiedy nie mam Oliny, jest mnie tylko kołowa. Kurwa, kto tak napisał? Chyba Vonnegut, czy ktoś tam. To uczucie wykracza poza granicę ludzkiego rozumu. Teraz jestem naprawdę szczęśliwy i wiem, że ten rok był zbędny, niewart przeżycia.

Rok bez Oliny.

Żłopię na potęgę i nawet w tym kretyńskim, brudnym kuf-
lu widzę oczy Oliny. Gdy po dziesiątym piwie wracam ze sra-
cza, ktoś huknął na mnie od sąsiedniego stołu.

- Cześć, Józef!

- Hej, Olin, klapnij na chwilkę, mam dla ciebie intere-
sujące wieści.

Józef to jedna z zagadek tego kraju. Zaliczone dziesięć
lat pudła, a od kiedy się znamy, czyli od co najmniej trzech
lat, nigdzie nie tyra. Chyba tylko Pan Bóg wie, jak to moż-
liwe. Jest doskonale poinformowany o wszystkich gliniarzach.

- Józef, o co biega?

Uśmiechnął się, potem pociągnął sztacha i powoli zaczął:

- Pamiętasz Vodstrczila, tego glinę?

W mózgu wyświetla mi się dawny film starej nienawiści.
Vodstrczil miał na mnie chrapkę, na innych zresztą też, jak
pies na kiełbasę. Kilkoro ludzi wpakował do pudła, kilkoro
do poprawczaka, a ja wpakowałem się do łóżka jego żony. Było
to głupawe krówsko, napalona gęś, a noce u niej zupełnie jak
wycięte z Hiczkoka. Podczas gdy jej chłop tłukł na służbie
moich kumpli, w sąsiednim pokoju były dzieci, w szafie od-
świętny mundur, moje długie, brudne włosy leżały na ramieniu
jego żony, która szeptała: "Gdyby dowiedział się o tym, za-
katrupiłby nas oboje".

- No, pamiętam, i co z tego? - mówię.

- Ta jego pinda przyznała mu się, żeś ją dymał, a on
oświadczył, że cię załatwi, jak tylko wyjdiesz. I sprawa
najważniejsza - anonsował, jest teraz w powiecie naczelnik-
kiem wydziału do spraw młodzieży. Więc jeśli mogę ci pora-
dzić, masz dwie możliwości: albo całkiem położyć łachę na
wszelkie juble, meczyki i imprezy, albo daj dyla. W pudle
bywa gorzej niż u czubków - mówi Józef, jednocześnie z upo-
dobaniem przeczesując mi dłońią włosy.

- Józef, jasna dupa, co jest? Żyjemy na Sycylii czy
jak?

- Nie, kurda, w Czechosłowacji! Miałem kumpla, który
wkurzył Slavika, klawisza z Ostrowa - zapamiętaj do nazwisko
i nigdy nie przeciągaj struny. Slavik powiedział, że go za-
łatwi. Ten koleś popełnił samobójstwo. Miał złamaną rękę,
nogę, kilka zeber, a do tego, kurde, dziurawą czaszkę. Te,
nie bądź naiwniak i lepiej daj dyla. Olin, to najpewniejsze
wyjście. Co, zapomniałeś o Myslivecuku, któremu policjant
przestrzelił czaszkę z powodu meczu i po roku go puścili? A
może w tym wariatkowie rzeczywiście zrobili z ciebie czubka?

Idę z powrotem do Oliny, a w głowie brzmią słowa: daj
dyla, daj dyla. Pierwszy raz ktoś mi to poradził, pierwszy
raz zastanawiam się nad tym. O jasna dupa, kurewski świat.
Tylko czego i gdzie mam szukać? Czego szukać bez Oliny, Oty,
Pejzy i tego wszystkiego, co jest tuaj? Jestem wpieniony i
w ogóle nie zauważam Oliny.

- Co? Mówiłaś coś?

- Masz gdzie spać? A może pójdziesz do domu? Była u
mnie parę razy twoja siostra, pytała o ciebie.

- Nie, dzisiaj wolałbym nie, kiedy indziej i raczej
trzeźwy. Nie wiesz, gdzie można by przekimać?

- No jasne, mam bomba wigwam, gdzie nikt cię nie znajdzie i będziesz tam miał toaletę - uśmiecha się Olina.

Wypijam kolejną bańkę rumu, postawioną przez Pejżę. Pewnie myśli, szajbus, że podetnę go jeszcze bardziej. Czuję w głowie przyjemnego rausza, a towarzyszy mi się jakieś zamglone. Wrzeszczę wraz z gitarą Hasza: "Na ścianie wisi flegma gruzlika /jeszcze jest ciepła i dynda...na twoich flakach powieszę twoją matkę/... kapewu..."

Później jest już tylko ciemność, a ja czuję, że tym kimś, kto wlcze mnie ulicą, jest Olinka. Moja Olineczka. Nagle nachodzi mnie okropna chcica na kobietę. Przecież nie miałem żadnej już cały rok.

- Olineczko, moja kochana, ja chcę kobiety, wiesz?

- Jutro, jutro się za czymś rozjerzysz - jej głos dolatuje z bardzo daleka.

- Nie, ja chcę dzisiaj! - ryczę i w tym momencie przypominam sobie piosenkę, którą zaraz hałaśliwie intonuję: - Dajcie mi kurwę, bo se fiuta urwę!

- Kurwę mu dali, fiuta urwali - dodaje Olina. - No, chodźże już spać.

Ciągnie mnie do ich bloku, po schodach do piwnicy.

- A teraz cicho, zamknij się - zwraca się do mnie czule otwierając jakieś blaszane drzwi. Włazimy pod piwnicę po drabinie ze śliskimi szczeblami. Olina wyjmuję z kieszeni flaszkę.

- Masz, gołnij sobie, żeby ci się lepiej spało. - Następnie ciągnie mnie na stertę wełny drzewnej. Padam na nią, a przed oczyma widzę gwiazdy.

- Oli, co jest z Milanem, dlaczego nie pokazał się przez cały wieczór?

- Chromol Milana, Olin. On nie należy już do nas.

- Ty świnió. Milan to kumpel, a skoro się ożenił, miał prawo olać nas, rozumiesz? - Zamachnąłem się pięścią w mrok, skąd dolatywał głos Oliny.

- Rozumiem - mówi Olina, a ja cieszę się, że nie trafiłem. Czuję, jak głaszcze mnie po włosach i powoli zapadam w sen.

Rano budzę się z nieprzyjemnym uczuciem wilgoci. Wokół jest sama wata drzewna. Obmacuję jeszcze odrobinę mokre kroczce. O kurwa, znowu się zeszcząłem. Będę musiał ciut przybastować z tym chlaniem, bo nerki nie są już najnowsze. Kurwa mać, gdzie ja jestem? Wstaję, tłukąc się okropnie łbem w sufit.

Stoję przygarbiony jak palant i filuję. Naokoło piwnica wysokości mniej więcej metr dwadzieścia, wszędzie pełno przewodów wodociagowych. Aha, meta Oliny, przypominam sobie poprzedni dzień. Na kuckach, jak czubek, szukam drzwi i po chwili znajduję je w tyle. Wychodzę z bloku. Mijają mnie śpieszący do pracy ludzie. Gęby obolałe z niewyspania, przepełnione nienawiścią, pędzą, żeby zarobić na byle ochłap. Kurwa i ja miałbym dzielić ich los? Nigdy! Czy ja urodziłem się po to, żeby tyrać? Jak właściwie brzmiała ta odzywka? - "Urodził się, nie wiedział po co, wykształcił się nie wiedział jak, ożenił się, nie wiedział z kim, umarł, nie wiedział na co". Więc mam zostać takim czymś? Robotem wstającym

rano, pracującym cały dzień, kładącym się z babą do łóżka i płodzącym dzieci, bo tego potrzebuje jakieś tam społeczeństwo? Czy ja zabiłem starego łańcuchem? Ale wizja pudła jest jeszcze gorsza.

Ruszam w kierunku "Bufeciku". Przechodzę wzdłuż olbrzymich królikarni dla robotów, obok gazetek ściennych, obwieszczających już dwadzieścia lat, że "jak będziemy pracować dzisiaj, tak będziemy żyć jutro". Ale wystarczy rozejrzeć się w koło i widać, że nasi starzy nie wysilali się zbytnio.

"Bufecik" jest zatłoczony istotami podobnymi do mnie. Jak dobrze je zobaczyć, człowiekowi od razu poprawia się nastrój. Za ostatnią znaną z kieszeni dychę kupuję piwko i paczkę marsów.

- Hej, Olin! - drze się jak zawsze Brudas.

- Gdzie spałeś? - pytam go.

- W parku, kurde, ale ziąb ci był, brr, nikomu nie życzę. A ty?

- W garsonierze, ty ciulu boso - odpowiadam celowo po chamsku zabierając się do pierwszego piwka. W żołądku początkowo zabolało, ale po chwili rozlało się przyjemne ciepło. Próbuję pierwszego papierosa.

- Aaa, szajbusiek jest podopiecznym Oliny. Ale i tak ci kiedyś ją wyrucham - dodaje z zazdrością.

Chcę mu wyjaśnić, że nie śpię z Oliną, ale co ja będę tłumaczył palantowi. W drzwiach staje Pejza.

- Czołem, fiuty, strzelę jedno i do roboty.

- Ty kutasie - nadmienia Brudas z pozycji bezrobotnego.

- Pejza, co z Milanem? - przypominam sobie poprzedni dzień.

Pejza łyknął piwa, po czym zaczął wolno:

- Olin, chromol go, to już nie człowiek, tylko oni - pokazał palcem na śpieszące za upaśkaną szybą sylwetki.

Pejza wyszedł, a wraz z nim zniknęła za swoim korytem klasa robotnicza. Brudas mamrocze:

- Po co forsa, po co dom, auto, dzieci, przecież i tak kiedyś wszyscy zdechniemy. Zostaną tylko bachory, tam samo kretyńskie jak my. Ale im tylko w głowie robota. I kto ma na to patrzeć?

- Czołem, Brudas - przerywam filozofowi pracę - za chwilę jestem z powrotem.

Lecę pod budę, żeby złapać siostrę. Zjawia się dopiero po drugim papierosie.

- Serwus, Olin. Kiedyś przyjechał? Puścili cię już? Czemuś nie był w domu? - jak zawsze trajkocze z zawrotną szybkością.

- Wiesz, Hanka, nie ma lekko...

- Kiedy wpadniesz do domu? - przerywa mi. - Olinku, a gdzie będziesz po południu? Może napisałbyś mi wypracowanie? Poczekasz na mnie przed szkołą, kończę o drugiej.

- Dobra. - Biorę od niej zeszyt i po drodze do Milana główkuję o temacie. Chodzi o Jiraskę. Zaczne chyba tak: Alojzy Jirasek napisał "Mroki" o okresie pobiałogórskim, a dzisiaj powinien urodzić się autor, który napisałby o okresie, daj Boże, już pokomunistycznym.

Dotarłszy do Milana, dzwonię raz krótko, dwa razy dłużej, co było sygnałem rozpoznawczym całej paczki.

- Ooo, serwus, Olin. Nareszcie wpadłeś, wchodź dalej. Milanowi coś dolega, więc leży - szczebiocze Jana.

Zdejmuję buty i wdycham zapach mieszkania. Każde mieszkanie ma swój. Czasem pachnie przypaloną kapustą, kiedy indziej gorzałą albo kwaśną wonią dziecinnej skóry, obślinionych policzków, nieświeżych pieluch.

- Cześć Olin. Więc już cię puścili? Jak było? Co ja głupi pytam, dom wariatów do kwadratu, n nie? Czekaj, przyniosę coś do picia.

Zmienił się przez ten rok, chyba dlatego, że ostrzygi włosy.

- Mam wódkę i kilka piw, może być?

- Yhm.

Oglądam wiszące na ścianach obrazy Milana. Milan malował dokładnie to, co ja chciałem napisać. Malował, co widział, co czuł, w dupie mając reguły, mody i style. Zauważył, że filuje na płótna.

- Już dawno nie maluję, nie było sensu.

Chłujemy przechłodzoną wódkę, popijając ją piwem i nie mamy sobie nic do powiedzenia. Między nami jest mur, jakaś tama. Daremnie zastanawiam się, co stało się z Milanem.

- Już słyszałeś o mnie te gadki? Wiesz, Jana wpadła ze mną, więc się z nią ożeniłem. Potrzebowaliśmy mieszkania, ta moja czarna nora nadawałaby się może dla nas dwojga, ale nie dla małej. Próbowałem coś nagrać w zakładzie, w radzie narodowej, wiesz, w mieście są mieszkania, ale wszędzie wiedzieli, że siedziałem za "sianie niepokoju społecznego", więc dla mnie niczego nie mieli. Kiedyś przyszedł Hamouz, znasz go, szef partii, z kluczami od tego mieszkania, i powiedział, że znał moją matkę i że już nieważne jest, co zrobiłem. Miałem więc mieszkanie, ale kompletnie puste. Mimo że zarabiałem tylko tysiąc dwieście, nie dali mi pożyczki, a Jana poszła na porodówkę. Wyobrażasz sobie, jakbym się czuł, gdybym przyprowadził ją i małą w cztery gołe ściany i nie byłoby co włożyć do garnka? Wtedy znowu przyszedł stary Hamouz i zaproponował mi etat kierownika magazynu, bo on wie, że jestem po technikum, tylko że na tym stanowisku musi być ich człowiek. Dał mi deklarację z własnym podpisem w charakterze poręczyciela. Chłłem cały tydzień, nerwy miałem do kitu. Tego dnia, kiedy urodziła się mała Jana, podpisałem. Jestem majstrem, mam trzy patole, mieszkanie i dwie Jany. Olin, ja nie żałuję. Być może uważasz, że jestem gnój, że cię zdradziłem. Tak myślą chłopaki, ale chromolę ich. Co oni potrafili oprócz chłania i puszkowania za pasożytnictwo? A ja mam rodzinę, o którą umiem zadbać. Potrafisz to zrozumieć? Mój stary puścił nas kantem, kiedy miałem pięć lat. Od tamtej pory ciągnęliśmy ten wózek, tylko z matką. Wiem, co znaczy nie mieć jarego, albo mieć takiego, który jest gównem wart!

Przytkało mnie na chwilę. Chyba siedziało mu to na żołądku jak nieświeża ryba, musiał się komuś wyrzygać.

- Milan, powiedziałaś to samo Ocie?

- Ech, Ota. Olin, olej go. Ota jest więcej u czubków niż na wolności, podobnie jak ty, żeby nie iść do woja i nie zawędrować do pudła. Ale z porównaniu z tobą on przesadza,

i to znaczenie. Ręce ma pocięte jak debil, a najgorsze, że po prostu fascynuje go balansowanie na krawędzi życia i śmierci, że decyduje o tym sam. Olin, ty nie jesteś świrus, połóż na wszystko łagę, póki czas. Wiesz, kim byliśmy? - Rzuca przede mną książkę "Kulawy Orfeusz"^x. - Dokładnie tym i niczym więcej. Nie mogliśmy im zaszkodzić, byliśmy chłopczykami, których oni mieli namierzonych i mogli nas dowolnie kiedy załatwić. Zresztą tak było: Jarda wolał nawiać przez zieloną, mnie przyskrzynili, a ciebie wpakowali do wariatkowa. Ota wylądował tam zaraz po tobie i był spokojny. Totalne gówno, Olin. Nikomu nie pomogło przepisanie tych paru rzeczy. Jesteśmy gówniarzami, a im nikt nie podskoczy. Ty jesteś zawzięty, więc zwiną się parę razy, aż w końcu na dobre wylądujesz u czubków obok Oty, albo w pudle. Olin, daj dyla, póki jeszcze możesz, i olej wszystko. Nikt nie zmieni tego syfu. Każda próba to podrzucanie gówna, które zawsze tobie spadnie na czerep, nie im!

A jeżeli Milan ma rację i wszystko jest daremne? A jeżeli rzeczywiście byliśmy ku uciechu policji tylko młodymi gówniarzami, którzy myśleli, jakich to wielkich rzeczy dokonają? Co jeszcze ma jakikolwiek sens? Życie? Rzygać mi się chce. Dopijam resztkę wódki prosto z butelki i uciekam do świata, gdzie nie ma ani jednego gliniarza. Jest tylko zapach alkoholu i zapomnienie.

Wychodzę od Milana koło dwunastej. W głowie huczy okropnie, pod ręką mam zeszyt siostruni, w którym brakuje Jiraska. "Daj dyla", słyszę przy każdym kroku.

U "Bouczków" Łapa dyskutuje z kilkoma dziadkami o katastrofie ekologicznej w Rudawach. Siadam w rogu. Łapa podsuwa mi piwo, a ja ostrzegam go, że piję na kreskę.

Korzystając z dobroci Łapy dodaję do piwa kawę, żeby wziąć się w garść. Otwieram zeszyt i ręką, która powinna należeć chyba do mnie, piszą: Życie i twórczość Alojzego Jiraska. Piszę wcale nie uświadamiając sobie wściekłego upływu czasu. Przed szkołą jestem po drugiej. Siostra już tam podreptuje zniecierpliwiona, a wraz z nią dwie kumpelki, które przyszyły sobie obejrzyć brachola czubka.

- Cześć, Olin, nareszcie jesteś. Wpadniesz do domu?

- Aha.

Po drodze dziewczyny popalają jedną przez drugą i popisują się. Są jeszcze młodymi siksami, a ja czuję się wśród nich okropnie stary. W ogóle mnie nie pociągają, to straszne. Chyba nie jestem impotentem? Próbuje wyszczerzyć zęby do jednej z nich, co przypomina bardziej trupi uśmiech. Idziemy, a nasze kroki podśpiewują sobie - daj dyla, daj dyla. Nigdy! - krzyczę w duchu.

W domu nic się nie zmieniło. Ojciec, niby rencista, leży przed telewizorem, oglądając międzypaństwowy mecz piłki nożnej. Zgarbiona, zupełnie siwa matka siedzi w kuchni. Z pokoju starego rozlega się co chwila:

- No zobacz go, durnia, po co go wystawił, przecież za grosz nie ma pomysłu, bałwan jeden. Kompletne dno.

^xPowieść Jana Otcenáska /1965/ - przyp.tłum.

Wchodzę do kuchni ze słowami powitanie. Matka wstaje niezdarnie i obejmuje mnie:

- Więc jesteś już w domu, puścili się już, to dobrze. Zostaniesz już z nami, Olinku. - A z pokoju dobiega: - Co za bałwan, taka okazja. Gówno umie, a pcha się na boisko.

Idę do jareckiego. Nie interesuje się mną zbytnio. Podsuwa mi piwko mówiąc:

- Cześć, cieszę się, że przyszedłeś. Trzeba pomalować okapy. Widzisz go, osia? Znowu kiwa, zamiast podawać.

Wzdragam się na myśl, że znów miałbym tu mieszkać. Dyskretnie urygam się do swojego pokoju po worek i parę rzeczy. Cicho jak duch przychodzi Hanka.

- Olin, odchodzisz stąd?

Biorę ją za rękę, jak dawniej, kiedy była mała, i mówię:

- Hanka, ja nie mogę tu być, słowo, to niemożliwe. Przecież oni nie są już ludźmi. Zobacz, co się z nich stało! Pamiętasz, kiedyś bywało, że zabierali nas do lasu, czasami było fajnie, a potem stary zaczął uganiać się za forsa na auto, telewizor, nowy dywan i inne pierdoły, no i wszystko trafił szlag. Co się z nim porobiło? Praca, fuchy, piwo i telewizja, książeczka oszczędnościowa i pretensje, co to ze mnie wyrosło. No nie mogę tu zostać. Wiesz, czasem tak sobie myślę, że już nigdzie nie można zostać. Ze wszystkich kątów gapią się na mnie zimne pyski telewizorów, które naśmiewają się ze mnie, więc uciekam przed nimi, szukam ludzi i znajduję ich, a oni wychodzą mi naprzeciw, ale zamiast twarzy mają ekrany. Nie słuchaj mnie, Hanka, ja chyba rzeczywiście zwariowałem. Powinienem zacząć chodzić do kościoła, tam jest spokój. Tylko skąd wziąć wiarę? Jasna dupa - przerywam w pół zdania i chce mi się ryczeć. Hanka przygląda mi się poważnie.

- Będę cię odwiedzała u "Bouczków" - mówi, a ja czuję, że mam fajną siostrę.

I znów siedzę u "Bouczków", chleję na kreskę czekając na Olinę. Jej piwnica wydaje mi się idealną metą, w każdym razie czymś lepszym od budy Brudasa, którą odziedziczył po robotnikach torowych ze trzy kilosy za miastem. Jestem już nieźle włany. Łapa za chwilę zamyka, a Oliny ani śladu. Pewnie matka zamknęła ją za wczoraj i straszy poprawczakiem.

Łapa znacząco wyciera stoły i kasuje dziadków. Chłopaki też płacą. Haszysz chowa gitarę do futerału i ani mu w głowie płacenie, zresztą jak zawsze. Mówi, że zapracowuje na rachunek graniem. Wszyscy to respektują i bulą za niego. Bez Haszysza byłoby nudno.

Czekam, aż się ulotnią i pomagam Łapie, bynajmniej nie dlatego, że lubię tę pracę albo żeby się podliznąć. Po prostu przy sprzątaniu można wybrać z popielniczek masę petów na długi jutrzejszy poranek i dopić piwo po tych, co przedobrzyli. Gwarzę z Łapą o sytuacji, która ani dla mnie, ani dla niego nie przedstawia się różowo. On nie wie, jak zainwestować forszę tak, żeby jakiś zawistny kapuś nie doniósł na niego, ja nie wiem nic. Jestem strasznie zmęczony, mam dwadzieścia lat i jednocześnie sto pięćdziesiąt. Od piętnastego roku życia, gdziekolwiek się ruszę, trafiam na gliniarzy czy coś w tym guście, jak gdyby chodził w labiryncie i naraz opadł z sił w poszukiwaniu wyjścia. Czy w ogóle istnieje jakieś wyjście? Jaką drogą: Milana czy Brudasa? Mam przybić się do krzyża? Poradźcie mi, głupole!

- O czym myślisz, Olin? - zaskakuje mnie pytaniem Łapa.
 - Nie ma lekko, kurwa mać - nie zdobywam się na inną odpowiedź.

- Wiem, nie ma lekko, wcale ci nie zazdroszczę, ale ta forsa to też żaden miód - mówi Łapa, wyjmując z dużego portfela kartkę z zanotowanym moim długiem i wrzuca ją do kosza.
 - Kurewskie życie! Masz tu dwie flaszki piwa i wpadnij o ósmej, kiedy będę otwierał.

- Dzięki, Alojz, wielkie dzięki - chyba po raz pierwszy zwracam się do niego po imieniu. - Słuchaj, nie mam gdzie spać, a na dworze będzie ziąb, nie znalazłbyś trochę rumu?

Łapa przysuwa po mokrym kontuarze kufel i napełnia go rumem:

- Och ty, w dupę jebany, idź już, bo za chwilę jeszcze ci dam własną kobitę!

Idę najkrótszą drogą do parku starając się trzymać prosto, żeby nie rozlać ani kropli ze swojego usypiacza. Tuż za bramą są cztery ławki, gdzie kimają wszyscy bezdomni. Dziś jestem tu sam. Jest już zbyt późna pora i zbyt zimno dla sezonowych buntowników, uciekających z domu tylko wtedy, kiedy jest ciepło. Durnie! A większość twardzieli zamelinowała się gdzieś, Brudas w swojej budzie, z której nabijałem się jeszcze rano, a teraz mu jej zazdroszczę. Kiadę się na ławkę pokrytą rosą - srebrnymi perłami. Zadygotałem z zimna. Jasna dupa, posiedźcie sobie tutaj, pieprzeni rum ntacy. Z górnej kieszeni panterki wyjmuję porządnego peta, którego stosuję przeciw chładowi, a potem wypijam duszkiem rum. Z żołądka bucha mi do gardła okropny bek. Dopalam czekając, kiedy nadejdzie słodka fala zapomnienia.

Budzi mnie ziąb nie do wytrzymania, ziąb, jaki moim zdaniem może być wyłącznie na Syberii, zły, zjadły ziąb, przenikający do każdego zakamarka ciała. Kurwa, która godzina? Patrzę na zegarek. Zza zapotniałego szkiełka zerka na mnie piątka. Siadam, podciągając kolana maksymalnie pod brodę. To jedyny jako taki sposób, żeby przynajmniej trochę zastrzymać ciepło... Wszystkie gadki o bieganiu są gówno warte. W gębie mam jak w sraczu. Kurwa, ten rum dał mi popalić... Żeby jakoś oszwabić buntujący się żołądek, zapalam peta, potem natychmiast drugiego. Kurcza mi się zapasy. Zaraz z samego rana muszę wpaść na dworzec autobusowy, o tej porze bywa ich tam najwięcej. Żołądek uspokaja się po chwili, ale niesmak zostaje. Przypomniałem sobie o wczorajszych piwach od Łapy. Sięgam pod ławkę, namacując zimne ciało przyjaciółki. Nie był to sen, dusigrosz Łapa otworzył kieszeń. Jakiś cud. Otwieram piwo o kant ławki. Wydaje syczący dźwięk, a przez palce przecieka mi piana. Pierwszy łyk i w ciele rozlewa się boski smak.

- Chwała temu, co wynalazł piwo - mówię półgłosem, ciągle będąc pod wrażeniem szczodrości Łapy.

- Gumo, nie masz jeszcze jednego? - rozlega się z tylnej ławki nosowy głos, niczym zza grobu.

Z przestrachu o mało nie upuszczam flaszki. Zza ławki wynurza się przedziwna maskara, wyglądająca jak ulepiona z jednego kawałka.

- Gumo, przynajmniej łyka. Mam fajki - mówi maskara,

a ja rozpoznaję Leśnego, miasteczkowego dziwaka, którym matki straszą niegrzeczne dzieci. Staruszek, który nigdzie nie mieszka, rzadko i mało kontaktuje się z ludźmi, a żyje z tego, co zbiera na śmietnikach. Nikt o nim nic nie wie, nawet jak się nazywa. Dla wszystkich jest po prostu Leśnym, który należy do ich życia podobnie jak deptany każdego rana chodnik przed spożywczym.

- Chodź - zapraszam. Siada obok mnie w ponemieckim piąszczu. Zazdroszczę mu go - musi być w nim ciepło. Bierze flaszkę do ręki i pociąga ze smakiem.

- Browar "Żatec", Gumo, to jest to - mówi, poklepując butelkę.

Siedzimy w opuszczonym parku, który jest beznadziejnie pusty, nie licząc nas dwóch i rzeźb Brokofa w pobliskim zamku. One pewnie też czują podobną pustkę jak my. Jest im zimno, beznadziejnie, lecz jednocześnie pięknie. Wprawdzie nie mają piwa, za to gwarancję wieków, wiekuistne trwanie kamienia. Być rzeźbą, gapić się i mieć świadomość, być kamiennie kamiennym - popatrywać i żyć. To by było cudowne... A czy te rzeźby żyją? Zimno im? Co my wiemy, na czym my się znamy, biedaki.

- Gumo, masz forszę? - Leśny przerywa moje gównie warte rozmyślanie. - Nie? Więc chodź ze mną, do południa coś wykombinujemy.

Nie mówię tak, ani nie, ale wstaję machinalnie. Leśny wyciąga z krzaków dwukołowy wózek i ruszamy na ulicę. Natychmiast zajmuję miejsce przy krawężniku, gdzie trafiają się największe pety, jako że skończyły się nam fajki. Mój współpracownik sprawdza chodnik przy ścianach domów, gdzie pety są mniejsze, ale gdzieś tam można znaleźć królewskiego.

- Gumo, będzie nam fajnie - mówi Leśny bardziej do siebie niż do mnie, a ja przytakuję. Kurwa, czemu by nie? Jaka jest różnica między pracą przy tokarce a grzebaniem w śmietniku? Tyko żeby jeszcze Leśny mógł mi dać do dowodu tę kurewską pieczęć.

Wspięliśmy się na wzgórze, gdzie zaczynało się nowe osiedle.

- Gumo, tutaj zapalimy po całym i do roboty - mówi do mnie przed pierwszą królikarnią. Wyjmuję garść petów, wkładając w zęby największe. Leśny też zapala, ale ani myśli się zasiadywać. Podciągnawszy wózek, zanurza ręce w pierwszym kubie. Gapię się na tę śmierdzącą blaszaną puszkę i zbiera mi się na pawia. Leśny zauważył to, więc wepchnął mi w rękę patyk zakończony gwoździem.

- Masz, Gumo, z tym pójdziesz ci lepiej.

Gmeram w kubie, wybierając resztki chleba, Żołądek ciągle przeżywa wymiotne skurcze. Mijają nas dwie wyondulowane damulki, prawdopodobnie idą do biura.

- Widziałeś go? Taki młody i na śmietniku. To są ci brudni z długimi włosami. Spotkałam kiedyś takiego...

Nie wytrzymuję i odwróciwszy się, wrzasnąłem:

- Wy cuchnące, wstrętne, durne biurwy, a wy myślicie, że kim jesteście? Jesteście kupą głupoty za maszynami do pisania. Rozkładacie swoje brudne nogi i sprowadzacie dzieci

do tego burdelu!

- Spokojnie, młodzieńcze - ktoś chwyta mnie za rękę. Odwracam się. Za mną stoi facet w sile wieku, z pomadą we włosach.

- Spierdalaj, ty pedale! - drę mu się histerycznie prosto w gębę. Facet odskakuje przerażony. Pokazuję mu plecy i z wściekłością zanurzam obie ręce w kubie. Nagle zacząłem odczuwać dumę z tego, że nie należę do nich, że nie mam z nimi nic wspólnego.

Mniej więcej o ósmej kończymy pierwszą część osiedla. Mam dwa pełne worki, a Leśny zatłuszczoną torebkę. Co w niej jest - nie wiem.

- Tak, Gumo, a teraz pojedziemy opchnąć te worki, będzie grosz na piwko - mówi Leśny.

Nie musimy jechać daleko. Tuż za osiedlem stoi waląca się rudera. Leśny znika w niej wraz z wózkiem. Po chwili wynurza się z dwiema dychami w dłoni.

- Gumo, dobrze dziś było.

Wracamy na osiedle. Leśny zatrzymuje się przed spożywczym i za chwilę wraca, niosąc w objęciach jak dziecko dwa piwa oraz butelkę jabola. Otwieram piwo, zapalam starta i kładę się na trawniku.

- Teraz, Gumo, będziemy jeść - powiada Leśny. Czekam, skąd wyciągnie zakupy ze spożywczego, ale on najspokojniej w świetle otwiera swoją zatłuszczoną torebkę, wydając z niej na trawę zieleniejącą kaszanke, spiętą z obu stron aluminiową obrączką, kilka niedokładnie obgryzionych kości ze schabowego oraz, w charakterze deseru, zeschnięty makowiec.

- Częstuj się, Gumo - zachęca. Wraca poranna niedyspozycja, żołądek podchodzi mi do gardła. Leśny kroi kaszanke na dwie połowy, po czym z apetytem zaczyna zjadać swoją. Głód jest silniejszy ode mnie. Biorę drugą połówkę, kosztując ją ostrożnie. Jest właściwie bez smaku, może trochę kwaśna, ale można to jeść. Po kaszance Leśny dzieli kości. Biorę swoje już z mniejszym wstrętem niż kaszanke. Nagle Leśny ze śmiechem pokazuje swoją kość, na której jest spetowany prawie cały papieros. Zdejmuje go ostrożnie i obraca w palcach w poszukiwaniu marki.

- Ty, Gumo - podsuwa mi pod oczy tłustego peta. - Pall-mall, amerykański, to się nazywa fart. Kiedy latałem w Anglii, fasowaliśmy camele - dodaje ni stąd, ni zowąd.

- Yhm - mówię, zabierając się do źle obgryzionego ko-tleta.

Po południu uzbieraliśmy jeszcze dwa worki. Mam tego powyżej uszu i cieszę się, że nie muszę iść z Leśnym sprzedawać. Uzgodniliśmy, że moją działkę przyniesie mi do "Bouczków". Po drodze nadziałem się na Pejżę.

- Serwus, Olin. Dokąd pędzisz? Chodź ze mną na balangę, powinna tam być równa wiara i kława muzyka.

- Fajno, wpadnę, ale teraz muszę iść do "Bouczków", Leśny ma mi tam podrzucić wypłatę.

- Nie truj, robisz interesy z Leśnym? - powiada zbaraniały Pejża. - Jeśli mój kretyński majster powie mi jeszcze kiedyś, że zebrania związku zawodowego są obowiązkowe, wtedy pieprzną robotę i dołączę do was, dobra?

- W porządku, ale musisz przynieść opinię z pracy, my nie bierzemy pierwszych z brzegu - odpowiadam, po czym zmierzam do domu, do "Bouczków". Zaproszenie na balangę jest gistas. Jednak coś się jeszcze tutaj dzieje. Może też pokaże się tam jakaś niekiepska rura, choćby nawet gorszego sortu, bo w końcu lepsza pokraka niż własna ręka.

Jan Pelc

Przełożył Jan Stachowski

WIERŚE

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

Z PRZEDSIONKA POLSKIEGO PIEKŁA

waha się czy wejść w swój namalowany ogień
przypomina bowiem że podany w moskwie
przez kelnera azbest do jedzenia
był chyba nieświeży i odbija mu się
chińskim smokiem i siarką wawelską

Lecz sąd boży jest nieunikniony polega
na przejściu przez to cośmy stworzyli
przez kolor i słowo nutę marmur ruch
siekiere i pierścioneł przez okruszynę
chleba i kroplę mleka śmiech i płacz
młode loki na wietrze i spleśniałą łysinę
przez anarchię i dyktaturę człowieka i polaka

ale on wciąż przestępuje z nogi na
kolana i widać jak mocz wlewa mu się
do nowych butów które włożył na dzień
przyznania mu państwowej nagrody
i byłoby to wszystko nie do zniesienia
i męczeńsko małe gdyby nie rzeczywisty
dym zajmujący mu podogonie

ZE WZGÓRZA BOSCHA

siejcie gorczycę wokół uszu
słyszac nieludzko słodki głos
mówiący wam o górze cukru
wyrastającej wątrobie pokoleń
na glukoidalne alleluja jutra

odrutowujcie oczy przed którymi staje
w zaróżowionych falbankach odgiętych
prościutko właśnie z puszki prorządowej
lub z demobilu paktów aż po zachód
świt na paszporcie z ręki dusiciela

i zawijajcie język w ogień
jeśli się ślizga na mydłach statystyk
nie jako oścień pomiędzy sercami
ale w łechtaczce wam podstawionego
przez woziwodę płatnego posłowia
niech będzie popiół w miejsce kłamstwa
jak było czarne dla wroga powietrze tam gdzie
scaevola spalił swoją rękę

i dotyk który wędnie na powierzchniach
z powilczych dołów ale własnych
teraz na cudze bębny naniesiony
uduście lepiej i w dniu bez dotyku
może się właśnie zjawi ściana płaczu
którą przejdziecie tylko na dźwięk kości
powierzchnie świata przejdą też za wami

LEKCJA Z MAGICZNYM KRÓLIKIEM

wśród czarnoksiężników nie trzeba popisywać się sztuczkami
olśni ich proste krajanie chleba nalewanie wody do dzbana
dech im zaprze wprowadzanie nitki w ucho igielne zamiast
wielbłąda
i osłupiali będą patrzeć jak zapinasz płaszcz zamiast płuc

tam gdzie łatwiej jest o cud niż o zwykły talerz zupy
ogórkowej
wypuść swego królika z kapelusza na resztę trawy zdeptanej
przez supermaga ze wschodu w czarodziejskich butach ze stali
i patrz jak ją królik gryzie byś ty tak mógł gryźć

ze wszystkich zaklęć co w tobie zaległy
na rozplód cudów dziecięcego świata
na poranne przewijanie w twym ciele ojczyzny
zachowaj jedno wchodząc w wnętrze głodu
"sezamie mój sezamie zamknij się na zawsze"

ANIOŁ GESTNIEJĄCY

już nie masz jutra ostatnią koszulę
nakładasz i wychodzisz przez drzwi wyższe
od krzyku rozpiętego na krzyż a wyprowadzający
zrywa za tobą kartkę z kalendarza i na blask ją rzuca
kołuje wokół głowy twój motyl z papieru

ale jest chwila kiedy złoto łąk
nie przecieka ci przez palce
i stoi kwiat na twojej dłoni
nie podparty niczym oddechem
iści się wyłamane z prawa słońca
wąskookie serca prześwetlenie

pszczoła niosąca miód wśród piołunowych
ust świata odwija nieznacznie
pierwszą głoskę powietrza co wszystkie narody
tak samo wymawiają jak tak samo jedzą
żywe serce jagnięcia gdy głód gorączkuje

ten co celuje wtedy w twe serce odgarnia
znad lufy gęste skrzydło anioła
co po strzale znów broń mu nabije
przełknie śmierć i bardziej zgęstnieje

DZBAN

ugłaskane pogody
pólliliowych wrzosowisk
z których pszczoła ostrożnie
przenosiła los świata między
śpiącymi kolanami boga
on zaraz się ocknie
i szybko postawi na wzgórzu
osiwiałą niewiadomą kiedy
jesień która w tej chwili
w jego rękę jest dzbanem
napełnionym brakiem czyichś ust

SWIATŁOWSTAPIENIE

oczekiwanie jest kolorem świata
 którego nikt nie ujrzy
 wieczna lampa pod nim zapalona
 ujmie tylko przezroczystą twarz Boga
 w ewangeliczne światło palców
 tuż pod szyją wszystkich gotyków
 mimo wszystko płyn z tą lampą w górę

HIERARCHIA LUZÓW

mojra pozostawiona swoim falbankom
 śmierci uśmiecha się do nich
 a one szumią wokół jej przegubów
 i pęciny nie naruszając jednak prawa głosu
 pani co do porządku posprzątania
 paru luzów w mięsnej tkaninie

PAN MIRO I DZIECI

nagłe napady piękna
 dzieci tkające wolny
 latawiec powietrza pod pokryciem
 wiatru nie wiedzą dokąd
 już lecieć nie zwracając blasku
 na przejrzyste gesty
 niejakiego pana miró
 który na cieniutkiej szyi
 wypuszcza z rękawa
 podkąsanego poza wszelkie ramię
 zadziwioną sobą głowę świata
 której jeszcze ścinać nie trzeba

ŁÓDŹ

wszystko za duże na malejący
 odsetek życia zdeponowany
 w przyciasne gacie
 na ostrużynie poogierowej
 w zleżałych czerniach porozrzucanych
 w ramionach nocy
 cielesny zaciek
 tu na porządek wieczny jest za późno
 na chaos myśli doczesnej za wcześniej
 więc lepiej leżeć pod kocem

gdzieś odciosany od ucha van gogha
 krzyk musi istnieć
 do przebicia żyły
 w którą czas wsadził swój palec
 bo jak się przebić przez ucho ziemi
 nieba zakalec

mija sodoma mija gomora
 między rondlami i detergentem
 nowy karaluch wschodzi
 słyszę jak chrystus za moją ścianą
 nie idzie wodą
 lecz płynie w łodzi

Tymoteusz Karpowicz

RECENZJE

A.H.

"CIEMNIA"

Brak konsekwencji. Tak sformułowałbym główny zarzut pod adresem najnowszej książki Bogusławy Latawiec. Spisując w latach 1985-87 swoje wspomnienia z okresu stanu wojennego, przetykane tu i ówdzie odwołaniami do dzieciństwa i młodości, autorka nie nadała im jednolitej formy literackiej, przez co stworzyła utwór hybrydalny i w sumie nieco irytujący. Oczywiście, przemieszanie różnych kreacji narratora, perspektyw czasowych, gatunków, nie jest w literaturze współczesnej żadną zbrodnią i nie stanowi nawet specjalnego dyskomfortu dla czytelników, a gdy ów koktail kończy się sukcesem, krytycy mówią o ciekawych grach, napięciach, wzajemnych oświeceniach i interesującej sylwicznej całości.

W przypadku "Ciemni" jednak coś zawiodło i oto zamiast pięknego akordu, zabrzmiało niepełnie. Czemu? Wydaje się, że zaważył na tym brak decyzji co do nadrzędnej ramy narracyjnej, zdolnej objąć całość wspomnień z lat osiemdziesiątych. Wahanie, czy w opisywanych epizodach rekonstruować jedynie stan świadomości uczestnika i świadka ówczesnych wydarzeń, czy też podsumowywać je z późniejszego punktu widzenia, spowodowało istotne rozchwianie perspektywy czasowej w prowadzonej opowieści. I tak niektóre zachowania, odczucia i sądy narratorki z okresu stanu wojennego poddane zostały weryfikacji i opatrzone komentarzami typu: "Po tych wszystkich latach, które minęły...", bądź: "Kiedy przypominam sobie teraz to wszystko...", inne pozostały bez tego rodzaju puent i zawieszono w niejasnej przestrzeni, posiadły trudny do określenia status. Niekiedy bowiem czas narracji zdaje się zgadzać z czasem wydarzeń, kiedy indziej zaś rozziw między nimi sygnalizowany jest bardzo wyraźnie, aż do stematyzowania czynności wspomniania włącznie. To drażniące migotanie perspektyw pozostawia bez odpowiedzi wiele pytań. Czy na przykład zestawienie stanu wojennego z niemiecką okupacją jest uprawomocnione w książce, zarówno z punktu widzenia grudnia '81, jak i lat późniejszych? Czy nienawiść do ex-przyjaciela podejmującego współpracę z władzami, a prowadząca do wytykania jego chłopskiego pochodzenia jest impulsem chwili, czy też autorka istotnie wierzy w tego rodzaju determinanty? Czy wreszcie jeden z wizerunków własnych narratorki jako nauczycielki-społeczniczki i jej "batalia, walki, zwycięstwa, a później procesy do Sądu Najwyższego włącznie i ostateczną klęskę, która /.../ zakończyła się usunięciem z liceum" traktuje ona do dziś zupełnie bez dystansu, jakby udzielała budującego wywiadu "Tygodnikowi Powszechnemu" albo "Mazowszu"?

Niemожność udzielenia odpowiedzi na te pytania powoduje, że w "Ciemni" możemy mówić jedynie o prawdzie emocji - temperatura stanu wojennego odtworzona została w niektórych partiach tekstu niezwykle sugestywnie - trudno jednak podjąć dyskusję z ocenami indywidualnych i społecznych zachowań w latach osiemdziesiątych. Cóż bowiem rzec na temat wewnętrznych zwycięstw odniesionych przez narratorkę nad ubeikiem i uczennicą-donosicielką przy pomocy naprędce tworzonej literaturki? Co począć z takim fragmentem rozmyślań o przesłuchującym policjancie: "Ciekawe, czy jego dziewczyna wie, gdzie on pracuje? Kiedy ją całuje, musi mieć podobnie czujnie napiętą twarz. Zamyka przy tym oczy? Tak, chyba tak. Nie wygląda na mężczyznę, który to robi z szeroko otwartymi oczami". Albo trzy strony później o uczennicy: "Kiedy ostrzegałam przed KPN, myślała najprawdopodobniej o 'Łysiaku". W pracowni języka polskiego oglądała go zawsze z profilu. Siedział dwie ławki przed nią, w środkowym rzędzie, ona przy oknie. Mogła wyobrażać sobie na przykład wędrówkę jego dłoni po wewnętrznej stronie jej uda. Wolno rozsunała nogi pod stołem i nieomal dosłownie poczuła, jak w nią wchodzi. Ostry ból, tętnienie w podbrzuszu. Poruszyła się na twardej ławce, drewno skrzypnęło. Nie spuszczając oczu z ust "Łysiaka", pełnych, mocno zarysowanych, lekko koniuszkiem języka dotknęła spierzchniętej od przyspieszonego oddechu wargi i aby mógł w nią wejść głębiej..." /itd., ciąg dalszy na s.41/.

Cóż, stwierdzić można - "prawda emocji". I tylko tyle. Powyższe fragmenty, podważając bowiem założoną na wstępie książki konwencję wspomnienia opartą na zasadzie ułomnej pamięci, kwestionują przyjętą wraz z nią perspektywę czasową i czytelnik zostaje z niepokojącym pytaniem: czy owa nieszczęсна rekonstrukcja myśli nieszczęsnej uczennicy dokonywana jest w roku 1981 czy kilka lat później?

Obrazy ze stanu wojennego urozmaicone są wspomnieniami wcześniejszymi. Muszę się zastrzec, że - ponieważ nie należę do kręgu admiratorów, czy choćby znawców twórczości poetyckiej Bogusławy Latawiec - nie czuję się w pełni kompetentny, by oceniać owe fragmenty o charakterze "dziennika pisarza", obfitujące w stwierdzenia: "często zdarzało się, że te wędrówki kończyły się wierszem", czy wynurzenia autorki na temat jej niezwykłej wrażliwości bądź porównywanie metafor z jej wierszy dziecinnych i dojrzałych. Moja nieprzynależność do grona znających pisarki uniemożliwia mi z kolei udział w grze w rozszyfrowywanie rzeczywistych osób i zdarzeń występujących w "Ciemni". Sposób pseudonimowania powszechnie znanych postaci i nazw, jak we wzmiance o internowaniu dyrektorki teatru - Lizy Wicyńskiej, czy w opowieści o rezygnacji z pracy w redakcji miesięcznika "Struga", zdradza, że ukazanie się książki stanowi niewątpliwie wydarzenie towarzyskie w poznańskim grodzie. Ale nawet jako dyletant dostrzegam i tu brak konsekwencji. Część bowiem przywołanych w "Ciemni" faktów osiąga samoistne znaczenie i jest wartościowe bez względu na to, czy dokładnie tak właśnie było, inne z kolei dają się uzasadnić jedynie poprzez odwołanie do sfery pozaliterackiej. Tak na przykład sposób podania anegdotycznych istnienia pekińczyka o nazwie "Jung/Karol Gustaw/"

będącego zwierzęciem "dwujęzycznym", gdyż wydającym zarówno cienkie, jak i grube odgłosy, skłania do ich lektury jako informacji o świecie rzeczywistym autorki, w przeciwnym razie są one po prostu mało śmieszne.

Odwolywanie się do bardzo różnych instancji odbiorczych: grona miłośników poezji Bogusławy Latawiec, osób zainteresowanych życiem prywatnym autorki, kręgu przyjaciół i znajomych, uczniów i nauczycieli z liceum Słowackiego, powoduje kolejne rozchwianie dotyczące tym razem kompetencji czytelnika "Ciemni", który winien czytając poszczególne partie książki posiadać zmienny poziom wtajemniczenia a nawet sympatii w stosunku do osoby autorki. Wydaje się, że to wymaganie jest nieco za wysokie a brak jasnej decyzji co do tego, czym "Ciemnia" ma się stać, waży fatalnie na lekturze tej prozy. Prozy niekiedy starającej się czerpać usprawiedliwienie ze swego autobiografizmu, innym razem walczącej o własną autonomię. Czasem będącej wyłącznie rekonstrukcją świadomości narratorki z okresu stanu wojennego, czasem poddającej ową świadomość krytycznej weryfikacji. Miejscami sprawiającej wrażenie wyśmienitego i bezinteresownego przekazu prawdy o emocjach minionych lat, gdzie indziej wrażenie małoduszne-go odwetu branego na osobistych wrogach. Bardzo to wszystko nierówne i zaiste nieskładające się do mowy o ciekawych grach, napięciach, wzajemnych oświeceniach i interesującej sylwicznej całości.

A.H.

Bogusława Latawiec. "Ciemnia". Wydawnictwo "PoMost". Warszawa 1989, s.172, cena 1700 zł.

STANISŁAW KRZYSZTOFOWICZ

ANNA ANDRIEJEWNA

Tę książkę polecono mi jako cenny dokument z epoki stalinowskiego terroru, wnikliwą analizę systemu radzieckiego, do której pretekstem stały się perypetie Anny Achmatowej.

Nic bardziej mylącego. "Zapiski o Annie Achmatowej" Lidii Czukowskiej zawierają tylko tyle, ile zapowiada nam tytuł. I jeśli nawet sporządzone po latach przypisy miały wprowadzić do tego osobliwego dziennika jakiś nowy sens, to zamiar autorki powiódł się jedynie połowicznie. Częściowo dlatego, że zawiodła ludzka pamięć i nie udało się rozszyfrować wszystkich kryptonimów kryjących osoby i zdarzenia. Ale głównie chyba z innego powodu. Mam po prostu wrażenie, że Achmatowa powiedziała Czukowskiej niewiele. Może nie była aż tak otwarta, jak próbuje nam zasugerować jej serdeczna przyjaciółka? A może pewne tematy wolała zachować dla siebie?

Znamy zresztą inne relacje osób, którym zawdzięczamy zgoła odmienny obraz Anny Andriejewny - ciekawszy, bardziej pogłębiony, mniej jednostronny. Lidia Czukowska, też pisarka,

postarała się zatrzeć w tej książce ślady własnego talentu. Odrzuciła również myśl o nadaniu jej formy bardziej literackiej, wybierając zapis niemal brulionowy, możliwie najsurowszy. W rezultacie niemal każdy rozdział "Zapisków" zaczyna się podobnie:

"Wczoraj po przyjeździe byłam u Anny Andriejewny"

Albo:

"Dziś Anna Andriejewna zadzwoniła do mnie rano."

Albo też:

"Wczoraj wieczorem Anna Andriejewna zadzwoniła i przysłała".

Jest takich zdań z Czukowskiej mniej więcej sto pięćdziesiąt, a każde z nich okazuje się wstępem do opisu tych samych czynności; parzenia herbaty, krojenia chleba, przede wszystkim zaś - rozmowy. Naturalnie, Achmatowa miała do powiedzenia niemało. Jej monologi, spisywane przez autorkę, dotyczą głównie losów poezji rosyjskiej i - w równej mierze - losu poetów. Dowiadujemy się więc, kogo Anna Andriejewna lubiła, za kim nie przepadała, kogo podejrzewano o romans z głośną poetką.

I właściwie gdyby do tej warstwy ograniczyć lekturę "Zapisków", recenzencka ocena musiałaby dla Czukowskiej wypaść niemal miążdząco. Na szczęście w "Zapiskach o Annie Achmatowej" mieści się jeszcze jedna książka - ukryta, zamaskowana, intrygująca. To jakby drugi portret poetki, kreślony z całą ostrością - tak ostro może jedynie widzieć kobieta inną kobietę, zwłaszcza swą najlepszą przyjaciółkę.

W okresie, o którym pisze Czukowska, Achmatowa ledwie przekroczyła pięćdziesiątkę. Nie była więc starą kobietą, mimo że właśnie nadciąganie starości, choroby, niedomaganie, utratę urody tak precyzyjnie wydobywa autorka książki. Achmatowa występuje tu na zmianę w podartym szlafroku, to znów ubrana w futro pozbawione oczywiście guzików. Sypia pod kołdrą, zdaje się, nie pierwszej czystości. Naczynia zmywa za nią naturalne Czukowska. Odnalezienie łyżeczki albo widelca w pokoju poetki wymaga długich poszukiwań i nie zawsze kończy się pomyślnym rezultatem. W domu brakuje ciągle herbaty i cukru, chociaż - jak dowodzi przedsiębiorcza przyjaciółka - cukier i herbatę można w sklepie kupić. Ba! Można nawet kupić masło i szynkę!

Nieporadność Achmatowej była powszechnie znana. Do obrazów niedostatku, w jakim żyli znajdujący się w niełasce pisarze, też jesteśmy już przyzwyczajeni. Wypadają one różnie w zależności od klasy autora. Ot - choćby pamiętna scena opowiedziana przez Nadieżdę Mandelsztamową, gdy Osip i Anna Andriejewna debatują, komu powinno przypaść j e d y n e jajko, które pozostało w domowej spiżarni. Relacja Czukowskiej nigdy takiego poziomu nie osiąga.

Niewątpliwie szczeremu uwielbieniu dla osoby i twórczości Achmatowej towarzyszy leciutka irytacja, a czasem wręcz kpina - choćby w takim epizodzie:

"Zerwała się z fotela i wetknęła wtyczkę do gniazdka n i e s ł y c h a n i e s z y b k o i z g r a b n i e."

/podkreślenie moje - S.K./

Wcale nie twierdzę, że takie uczucia nie były uzasad-

nione. Achmatowa bywała zapewne przyjaciółkę dosyć uciążliwą i wymagającą. Egocentryczna jak każda wielka artystka, trochę chimeryczna, trapiąca neurastenią, zachowywała się czasem jak duże, bezradne dziecko. Imponowała odwagą, przeciwstawiając się socrealistycznej poetyce, ale wpadała w popłoch, gdy trzeba było przejść przez jezdnię. W swojej liryce przejrzała istotę zbrodniczego systemu, a mimo to martwił ją każdy nieprzychylny głos dobiegający ze szpalt szmatławej partyjnej gazety.

Czukowskiej zawdzięczamy sporą garść informacji na temat chronologii i okoliczności powstania poszczególnych tekstów. Achmatowa, bezsprzecznie poetka z minionej epoki, zapisywała swoje liryki w grubych zeszytach albo starych albumach. Niektóre notowała na kartkach, które pochłaniał następnie płomień świecy. Papier i ołówki, a nawet biblioteka, były zresztą jej niepotrzebne. Własne i cudze wiersze znała na pamięć. Kiedy czytałem opisy wieczornych misterii poetyckich, ogarniał mnie - profana, który nie umie na pamięć ani jednego wiersza - głęboki podziw. Pomyślałem wtedy o powieści Bradbury'ego "451° Fahrenheit", pokazującej świat bez bibliotek i książek, w którym rolę biblioteki spełnia ludzka pamięć. Ale w powieści jeden człowiek "jest" tylko jedną książką, pamięć poetki ogarniała całą poezję rosyjską.

Na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych, w epoce słynnych stalinowskich pogromów, literacka pozycja Achmatowej była dość dwuznaczna. Nie została wprawdzie uwięziona, ocalała życie i wolność, choć w każdej chwili mogła się spodziewać rewizji i aresztowania. Wreszcie pozwolono jej wydać książkę - oczywiście o ostatecznej wersji zbioru zdecydowała nie autorka, lecz redakcja wydawnictwa, cenzorzy, a może i jakiś znawca poezji z KC. Atakowano ją, skazywano na zapomnienie, to znów kuszono... nagrodą stalinowską! Byłby to piękny żart, gdyby w taki akurat sposób uhonorować osobę, spod pióra której wyszło "Requiem"...

Lidia Czukowska włączyła do swoich notatek kilkadziesiąt wierszy Achmatowej - "bez których - jak sama stwierdziła - trudno zrozumieć moje zapiski". Warto oczywiście korzystać podczas lektury z owych poetyckich "odsylaczy". Osobiście namawiałbym jednak do czytania zamieszczonych tam wierszy w jednym ciągu. Okaże się wówczas, że niejako na marginesie, pracy Czukowskiej otrzymaliśmy wprawdzie nie najobszerniejszy, ale bezsprzecznie najciekawszy wybór poezji Anny Achmatowej. Bledną przy nim dotychczasowe, starannie wyprzebarowane, wydania przygotowane przez PIW i WL.

A przecież Achmatowa nigdy nie jest dosłowna - ani w swoim gniewie, ani w rozpacz. Nie ma ci czystości poetyckiej wizji ani jednym pospolitym zwrotem. Tragedię swoich czasów opisuje w wierszach nieskazitelnym formalnie, kunsztownym i mimo wszystko - zniewalającym nas swoim pięknem. To fakt godny uwagi, bo ostatecznie pisała swoje najważniejsze teksty wiedząc, że nigdy nie ujrzy ich w druku, że niebezpiecznie pokazać je nie tylko cenzurze, ale nawet najbliższemu znajomym. Mogła więc mówić bez oporów, po desperacku. Tak się nie stało. Liryka Achmatowej jest zawsze najpierw poezją a dopiero potem - świadectwem czasu:

Prowadzili cię, gdy switało,
 Szłam za tobą, jak za umarłym.
 W mrocznej izbie dzieci płakały,
 Twarze świętym ciemności zatały.
 Na twych wargach zimno ikony,
 Czoło zrosił ci pot śmiertelny.
 Będę jak skazanych strzelców żony
 Biła głową o mury Kremla.

Załącznik poetycki przynosi nam inną literaturę, niż notatki Lidii Czukowskiej. Myślę, że akurat w tej konfrontacji poezja okazała się ciekawsza od dokumentu. Nie zawsze musi być odwrotnie!

Stanisław Krzysztofowicz

Lidia Czukowska, Zapiski o Annie Achmatowej. Przeł. Eugenia Siemaszkiewicz. Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1989.

H.B.

OD KOMINTERNU DO ŁAGRÓW

Książka, o której będzie mowa, nosi tytuł "Pierścienie przeznaczenia" oraz podtytuł: "Życie w sowieckiej Rosji od czasów Lenina do czasów Breżniewa". Autorką jest Aino Kuusinen, żona fińskiego komunisty Otto Kuusinen, pochowanego z honorami w Moskwie w 1964. Miarą sukcesu tego człowieka i jego nadzwyczajnych talentów niech będzie fakt, że zmarł śmiercią naturalną przeżywszy bez represji okres stalinowski, cały czas utrzymując się w tzw. "wierchuszce". Nie udało się to jego żonie, która spędziła 15 lat swego bardzo długiego życia w obozach pracy Workuty i Potmy i przed śmiercią /1970/ zdołała powrócić do Finlandii.

Pretensjonalny tytuł tej książki pochodzi od sformułowania Otto Kuusinen, który był do swej metafory tak przywiązany, że opublikował nawet na ten temat artykuł w "Prawdzie". Owóż los ludzki porównał tam do szeregu podróży wyciągiem zaczepowym. Za jaką pętlę chwycimy na stacji przesiadkowej, taka dola nam przypadnie - raz wygodne życie, innym razem więzienie, jeden trafi na świetlaną przyszłość, inny pod ścianę. Aino Kuusinen używa tej przenośni jako kanwy konstrukcyjnej książki, będącej opisem jej kariery w odczytnie rozwiniętego komunizmu. Podtytuł natomiast całkowicie mija się z prawdą, gdyż książka dotyczy wyłącznie spraw bliskich lub znanych autorce, należącej aż do 1937 roku do ścisłej czołówki prominentów. Zawiedzie się więc srode ten, kto będzie tu szukał informacji na temat życia społeczeństwa radzieckiego za Stalina czy Breżniewa. Owszem, autorka wspomina, że w tym, czy innym okresie słyszała o trudnościach z zaopatrzeniem, o głodzie, o prześladowaniach niewinnych ludzi, ale osobiście ani ją to grzeje, ani ziębi. Ma mentalność mieszczyki, bo też nią była do trzydziestego piątego roku życia, kiedy związała się z Kuusinenem i opuściła Finlandię. Nie rejestruje faktów leżących poza granicami jej da-

czy, jej szafy z odzieżą, jej wydziału w Kominternie. Nie rejestruje nawet wyglądu ulicy, bo jej nie dostrzega, przejeżdżając szybko partyjną limuzyną z hotelu "Lux" do gmachu Kominternu i z powrotem. W Kisłowodsku i innych uzdrowiskach mieszka a to obok Stalina, a to obok Kalinina, a taka lokalizacja nie daje żadną miarą dobrego punktu obserwacji życia Rosji.

Gdyby jednak wspomnienia traktowały wyłącznie o partyjnych bankietach, paryskich magazynach mody i innych przyjemnościach dostępnych na wysokich szczeblach władzy, nie byłoby się nad czym zatrzymać. Aino Kuusinen, choć jako osobowość niezbyt przyjemna – bo dostrzegamy wyraźnie, że jest to w miarę cyniczna, sprytna, samolubna koniunkturalistka – ma się za kobietę wybitnie inteligentną, który to epitet przejawia się w każdej przytaczanej przez nią rozmowie – czy to z japońskim księciem, czy z przesłuchującym ją oficerem NKWD. Jako kobieta inteligentna sili się zatem na rozmaite analizy politologicznej natury, ocenia wydarzenia, zastanawia się nad motywami takich, czy innych decyzji ludzi będących u władzy. Abstrahuje od jakości tych dociekań, z zainteresowaniem czyta się tu o najrozmaitszych, drobnych czasem, ale znamiennej dla historii porewolucyjnej Rosji faktach. Oceny są najczęściej fałszywe, te dotyczące ludzi zabarwione złośliwością i niechęcią, nie/mniej jednak podaje autorka bardzo wiele konkretnych informacji dotyczących np. podziałów wewnętrznych w Kominternie, jego metod działania, finansowania światowych ruchów rewolucyjnych, znaczenia "szarych eminencji" i posad fasadowych, działania rosyjskiego wywiadu wojskowego, metod śledczych w okresie czystek. Najciekawsze są partie książki odnoszące się do lat dwudziestych i trzydziestych – lata wojenne autorka postrzega już z perspektywy obozowej, lata 50-te spędza na zabiegach służących utrzymaniu się przy życiu, walce o mieszkanie, o emeryturę. W zupełnej już izolacji od problemów władzy.

Aino Kuusinen przybyła do Moskwy w 1922 roku. Mieszkała przez kilka lat w hotelu, potem w Domu Prawitielstwa na Kremlu. Od 1924 pracowała w Wydziale Informacji Kominternu jako doradca do spraw skandynawskich, zajmując się analizą prasy w zakresie polityki i ekonomii. Jako żona o wiele wyżej postawionego funkcjonariusza, wiedziała jednak wiele o najważniejszych problemach Kominternu, o metodach działania propagandy komunistycznej, o finansowaniu bratnich partii europejskich, o próbach zdalnego nimi sterowania. Za życia Lenina Rosja zamierzała doprowadzić do wybuchu rewolucji socjalistycznych w różnych krajach, na szczęście bezskutecznie. Usiłowania te są w "Pierścieniach przeznaczenia" dość dokładnie opisane. Opisane są też metody fałszowania historii /na przykładzie tzw. "listu Zinowiewa" do komunistycznej partii brytyjskiej/, tajnego szkolenia młodych działaczy komunistycznych w Moskwie, finansowania i redagowania prasy komunistycznej na świecie, kontrolowania i "ustawiania" linii poszczególnych partii.

"Przedstawicielom partii zagranicznych nadawano imponujące tytuły i wybierano ich w skład kierownictwa; przewodniczyli na sesjach plenarnych, otrzymywali czołowe stanowiska w różnych komisjach, które sprawiały wrażenie ważnych, ale – te funkcje były honorowe i niewiele w rzeczywistości znaczyły /.../. Wszystkie kwestie polityczne były w gruncie

czy, jej szafy z odzieżą, jej wydziału w Kominternie. Nie rejestruje nawet wyglądu ulicy, bo jej nie dostrzega, przejeżdżając szybko partyjną limuzyną z hotelu "Lux" do gmachu Kominternu i z powrotem. W Kisłowodsku i innych uzdrowiskach mieszka a to obok Stalina, a to obok Kalinina, a taka lokalizacja nie daje żadną miarą dobrego punktu obserwacji życia Rosji.

Gdyby jednak wspomnienia traktowały wyłącznie o partyjnych bankietach, paryskich magazynach mody i innych przyjemnościach dostępnych na wysokich szczeblach władzy, nie byłoby się nad czym zatrzymać. Aino Kuusinen, choć jako osobowość niezbyt przyjemna - bo dostrzegamy wyraźnie, że jest to w miarę cyniczna, sprytna, samolubna koniunkturalistka - ma się za kobietę wybitnie inteligentną, który to epitet przeżywa się w każdej przytaczanej przez nią rozmowie - czy to z japońskim księciem, czy z przesłuchującym ją oficerem NKWD. Jako kobieta inteligentna sili się zatem na rozmaite analizy politologicznej natury, ocenia wydarzenia, zastanawia się nad motywami takich, czy innych decyzji ludzi będących u władzy. Abstrahując od jakości tych dociekań, z zainteresowaniem czyta się tu o najrozmaitszych, drobnych czasem, ale znamiennej dla historii porewolucyjnej Rosji faktach. Oceny są najczęściej fałszywe, te dotyczące ludzi zabarwione złośliwością i niechęcią, nie/mniej jednak podaje autorka bardzo wiele konkretnych informacji dotyczących np. podziałów wewnętrznych w Kominternie, jego metod działania, finansowania światowych ruchów rewolucyjnych, znaczenia "szarych eminencji" i posad fasadowych, działania rosyjskiego wywiadu wojenskowego, metod śledczych w okresie czystek. Najciekawsze są partie książki odnoszące się do lat dwudziestych i trzydziestych - lata wojenne autorka postrzega już z perspektywy obozowej, lata 50^{te} spędza na zabiegach służących utrzymaniu się przy życiu, walce o mieszkanie, o emeryturę. W zupełnej już izolacji od problemów władzy.

Aino Kuusinen przybyła do Moskwy w 1922 roku. Mieszkała przez kilka lat w hotelu, potem w Domu Prawitielstwa na Kremlu. Od 1924 pracowała w Wydziale Informacji Kominternu jako doradca do spraw skandynawskich, zajmując się analizą prasy w zakresie polityki i ekonomii. Jako żona o wiele wyżej postawionego funkcjonariusza, wiedziała jednak wiele o najważniejszych problemach Kominternu, o metodach działania propagandy komunistycznej, o finansowaniu bratnich partii europejskich, o próbach zdalnego nimi sterowania. Za życia Lenina Rosja zamierzała doprowadzić do wybuchu rewolucji socjalistycznych w różnych krajach, na szczęście bezskutecznie. Usiłowania te są w "Pierścieniach przeznaczenia" dość dokładnie opisane. Opisane są też metody fałszowania historii /na przykładzie tzw. "listu Zinowiewa" do komunistycznej partii brytyjskiej/, tajnego szkolenia młodych działaczy komunistycznych w Moskwie, finansowania i redagowania prasy komunistycznej na świecie, kontrolowania i "ustawiania" linii poszczególnych partii.

"Przedstawicielom partii zagranicznych nadawano imponujące tytuły i wybierano ich w skład kierownictwa; przewodniczyli na sesjach plenarnych, otrzymywali czołowe stanowiska w różnych komisjach, które sprawiały wrażenie ważnych, ale - te funkcje były honorowe i niewiele w rzeczywistości znaczyły /.../. Wszystkie kwestie polityczne były w gruncie

rzeczy szczegółowo roztrząsane i decydowane przed posiedzeniami, skutkiem czego nie miało znaczenia, kto pełnił funkcje przewodniczącego ani jakie przemówienia wygłosili delegaci zagraniczni. /.../ Jeżeli na przykład jakaś sprawa dotycząca partii niemieckiej miała być omawiana w Moskwie, Niemców proszono o wysłanie delegacji, lecz dla pewności wysyłano jednocześnie instrukcje, jacy delegaci są pożądanymi".

Z początku jednak machina nie działała aż tak sprawnie, jak mieliby na to ochotę jej inżynierowie. Komintern miał na koncie wiele niepowodzeń w zakresie finansowania ruchu komunistycznego za granicą, sumy przeznaczone dla innych partii były aż nazbyt często defraudowane, padały łupem oszustów. Aparat rosyjskiego Bezpieczeństwa był zbyt mało wprawny, by mścić się za granicą na zdrajcach. Próbowano jednak kontrolować sytuację przez wysłanników i jedno z takich zadań przypadło w udziale Aino Kuusinen, którą w 1933 roku wysłano do Ameryki w misji rozładowania konfliktów między amerykańską partią komunistyczną, a robotnikami pochodzenia skandynawskiego zrzeszonymi w związkach zawodowych i kółkach narodowych. Z tej perspektywy autorka opisała ciekawy, stosunkowo mało znany incydent z werbowaniem amerykańskich robotników fińskiego pochodzenia do budowania komunizmu w Karelii. Ta brudnymi niemi szyta afera Kominternu miała na celu ściągnięcie ze Stanów jak największej ilości dolarów i nowocześniejszego sprzętu. Akcja propagandowa objęła również Finlandię, skąd przybyło do Karelii kilkanaście tysięcy ludzi - tyle co ze Stanów. Na miejscu zarekwirowano im cały dobytek, a ci, co nie umarli szybko z głodu, znaleźli się jako darmowa siła robocza w kopalniach Kołymy i Workuty. Aino dostała od męża polecenie partyjne, żeby włączyć się w kampanię propagandową na rzecz zasiedlania Autonomicznej Republiki Karelskiej. Twierdzi, że odmówiła z przyczyn humanitarnych swego udziału, nie zrobiła jednak nic, będąc wszak osobą świadomą różnicy warunków życia w Ameryce i republikach ZSRR żeby tej kampanii przeciwdziałać. Sam brak aktywności w tej sprawie uważała za powód do dumy.

Po przyjeździe do Moskwy nie wróciła do męża, lecz poszukała pracy w wywiadzie wojskowym. Wysłano ją dwukrotnie w misji szpiegowskiej do Japonii, gdzie pracowała dla superszpiega Richarda Sorge. Na temat tej misji brak szczegółów, autorka skupia się na swych konkietach towarzyskich wśród międzynarodowej socjety. Do Moskwy zostaje odwołana i posłusznie wraca - wybierając niewłaściwy tym razem pierścień przeznaczenia - pod koniec 1937 roku. A dzień Nowego Roku 1938 spędza już w więzieniu na Butyrkach.

Temat więziennictwa w Rosji, sposobów prowadzenia śledztwa w okresie wielkich czystek jest stosunkowo dobrze znany i relacja Aino nie wnosi tu wiele nowego, zwłaszcza że autorka skupia się na własnej heroicznej postawie, odmowie zeznań, odmowie fałszywego obciążenia Otto Kuusinen. Ale, jako że powiada: *repetito est mater studiorum*, zawsze dobrze jest przypomnieć sobie różne szczegóły: "Mój pierwszy śledczy na łubiance - jegomość nazwiskiem Zajcew, dobrze mówił po fińsku - zaczął od wyjaśnienia mi teorii sowieckiego wymiaru sprawiedliwości. Zapytał, czy znam różnicę między

sprawiedliwością burżuazyjną i sowiecką, a kiedy odpowiedziałam przecząco, podniósł palec i oznajmił: "W burżuazyjnym wymiarze sprawiedliwości to prokurator musi dowieść, że oskarżony jest winien, a w naszym ustroju oskarżony powinien wykazać swą niewinność".

Tę sowiecką zasadę ilustruje znana anegdota o króliku, który ze Związku Sowieckiego uciekł do Polski, gdzie tłumaczył się, że zrobił to, ponieważ w ZSRR mają być rozstrzelane wszystkie wielbłądy.

"- Ależ ty nie jesteś wielbłądem!

- Oczywiście, ale jak mogę to udowodnić?"

Meandry radzieckiego aparatu sprawiedliwości ilustruje też zdarzenie z więziennej kariery Aino. Kiedy raz na "spacerniaku" w Lefortowie upadła i zemdląca z niewiadomej przyczyny, nie dość, że leczono ją starannie, to jeszcze przeprowadzono - a zrobił to osobiście naczelnik więzienia - szczegółowe śledztwo w tej sprawie, które wykazało, że winne były gołębie. Gołębie wyskubywały zaprawę z muru i obłuzowana w ten sposób cegła trafiła więźniarkę w głowę. "W tym budynku - pisze Aino - noc w noc torturowano i mordowano niewinnych ludzi, ale z powodu wypadku, do którego przyczyniły się gołębie i cegły, przeprowadzono nadzwyczaj drobniągowe śledztwo, aby nikt nie mógł być oskarżony o nabicie mi guza bez upoważnienia".

W więzieniu Aino Kuusinen przebyła kilkanaście miesięcy, by bez sądu trafić na osiem lat do obozu w Workucie. Pracowała tam jako pielęgniarzka, więc działo jej się stosunkowo nieźle. Gorzej było po wypuszczeniu z obozu, z zakazem pojawiania się i osiedlenia w jakimkolwiek z większych miast. Włóczęąc się od jednych przyjaciół do drugich, narażając wszystkich, z trefnymi papierami informującymi o obozowej przeszłości, nie mogła znaleźć nigdzie domu ani pracy, aż znów została aresztowana, padając ofiarą kolejnych czystek zapoczątkowanych w 1947. Tym razem były pewne podstawy do jej zatrzymania, gdyż koczując nielegalnie w Moskwie, usiłowała dostać pracę w ambasadzie USA. De facto jednak skala czyjejkolwiek "winy" nie miała dla NKWD większego znaczenia. Aresztowano ludzi hurtem, a sposób prowadzenia śledztwa niejednokrotnie pozbawiony był wszelkiego logicznego uzasadnienia. W Lefortowie Aino Kuusinen spotkała "kolegę po winie". "Kiedys w drodze na jedno z mych niezliczonych przesłuchań minęłam w korytarzu chłopaczka w spodniach tak długich, że z trudnością mógł się w nich ruszać. Na pierwszy rzut oka wyglądał na karia, lecz zaraz zobaczyłam, że to chłopiec mniej więcej dziewięcioletni. Swoje zdziwienie wyraziłam pułkownikowi Nikitinowi, który roześmiał się tylko i powiedział, że chłopczyk został zatrzymany w chwili opuszczania ambasady amerykańskiej. Na pytanie, co tam robił i kto go zwerbował na szpiega, odpowiadał, że poszedł tam tylko po to, aby się dowiedzieć, jak mógłby się dostać do Ameryki, gdzie, jak słyszał, każdemu dobrze się powodzi... Wydawało mi się rzeczą prawie nie do wiary, aby władze mogły traktować małoletniego "szpiega" tak poważnie, aby go wtrącić do Lefortowa".

W 1951 Aino Kuusinen trafiła do obozu w Potmie, niepełna 300 mil od Moskwy. Tam, po śmierci Stalina, która przyniosła wiele ulaskawień i rehabilitacji, doczekała uwolnienia w 1956 roku.

Nie chcąc pomocy od Otto Kuusinen, który po rozwiązaniu Kominternu /1943/ niezmiennie pozostawał we władzach Komitetu Centralnego, udała się do przewodniczącego komisji kontroli partyjnej i zażądała pomocy. Otrzymała ją, to znaczy emeryturę i mieszkanie, przy czym wykazała się znaczną siłą przebicia, bo wielu starych zasłużonych komunistów po zwolnieniu z łagrów literalnie marło z głodu i nikt nie troszczył się o ich los. Zajmowała się pisanie podań o zezwolenie wyjazdu do Finlandii. Droę tam otworzyła jej w 1964 śmierć Otto Kuusinen, na którego pogrzebie pełniła formalnie obowiązki osieroconej wdowy, podtrzymując image nieskazitelnego moralnie wielkiego człowieka, prawego komunisty i dobrego męża.

W Finlandii zaczęła spisywać wspomnienia, twierdząc, że tylko dlatego nie zwariowała w więzieniach śledczych, nie umarła z głodu w obozach, że trzymało ją pragnienie "dania świadectwa prawdzie". Jaki był człowiek, takie jego świadectwo. Podejrzane moralnie zeznania osoby bez poglądów, dającej się długo nieść życiu tam, gdzie było dla niej przyjęcie i korzystnie, ale jednak świadectwo. Nigdy nie będzie ich zbyt wiele, jeśli chodzi o pamięć miażdżącego ludzi ustroju, każdy szczegół - choćby i kłamstwo, bo nawet ono zawiera część prawdy - na wagę złota. Aino nie ma daru plastycznego opisu, jej zachwyty nad Japonią są stereotypowe i przesłodzone, jej zachwyty nad Ameryką są jawnym lizusostwem ex post. Rosji, w której żyła i jak królowa i jak niewolnica nie próbuje osądzać sprawiedliwie. Nienawiść zaślepia ją w opisach znanych niegdyś dobrze osób - Dymitrowa, tego od podpalenia Reichstagu, Richarda Sorge, którego uważa za małego, nieudolnego defraudanta, wreszcie Kuusinen, którego przedstawia jako niezwykle przebiegłą kanalię dbałą wyłącznie o własną skórę: "Wydaje się rzeczą osobiłą, że człowiek ten, który tak wielki wpływ wywierał na politykę ogromnego państwa, nie był rodowitym Rosjaninem, lecz obcokrajowcem, którego w głębi duszy wcale nie obchodziły interesy sowieckie. Celem, który krył się za wszystkimi jego planami i intrygami, za całym jego oddaniem dla Trockiego, Lenina, Stalina, Chruszczowa i Breżniewa, nie było wcale słuzenie pomocą Rosji, ani nawet torowanie drogi do sukcesu komunizmowi; jedynym celem, którego nie tracił z oczu, kryjącym się za całym jego prestiżem i potęgą władzy, było wejście któregoś dnia do Finlandii pod sztandarami Armii Czerwonej; chciał pokazać swemu krajowi, kto ostatecznie jest panem i władcą".

Nie wydaje się, by postępowanie ludzi wielkiej polityki dało się tłumaczyć wyłącznie resentymentem. Ale faktem jest, że resentymenty dodają życia i wigoru pamiętnikom.

H.B.

Zgarnięci do obozów pracy - czyli wszyscy mieszkańcy miast - mieli 22 procent szansy przeżycia. Ocaleć mogli jedynie wybitnie zdrowi, mistrzowsko kamuflujący swój zawód /piśmienni byli zabijani od razu/ i namiętnie pragnący żyć.

Haing Ngor, lekarz, szansę wykorzystał. Wytrzymał trzykrotne tortury. Nie złażało go wymordowanie prawie całej rodziny ani śmierć żony-męczennicy, która kilka razy uratowała mu życie. Zdzierzył głód, ratując się myszami i mrówkami, denuncjacje, batożenie i orkę w zaprzęgu z bawołem. Gdy runął reżim Czerwonych Khmerów dostał się do USA. Zagrał w filmie "Pola śmierci". Dostał Nagrodę Oscara. O swojej i narodu gehennie napisał książkę "Kambodżańska Odyseja". Stał się sławny. Gościł go Reagan.

Czy można powiedzieć: happy end - skoro stał się psychicznym wrakiem, niezdolnym nawet do uspokojenia, do zapomnienia, bo chyba zwrot "do szczęścia" byłby tu bardzo nie na miejscu?

Jego książka obezwładnia. To opis, dzień po dniu, planowego mordowania narodu przez tegoż narodu sfanatyzowany odłam. Opis z pozycji jednej z milionów ofiar, bez pozy na herosa, bez emfazy, bez skrywania własnego zezwierzęcenia w miarę potęgowania kambodżańskiego holocaustu.

To trwało wiele lat. I trwa, choć w nieco mniej dramatycznych formach. Unicestwienie narodu, który koniec końców stał się amorficznym zbiorowskim kalek, sierot, wdów i warlatów, przebiegało na raty - i nie tylko Czerwoni Khmerzy byli oprawcami. Mało kto też pamięta, że sekwencję niszczeń tego kraju zapoczątkowali Amerykanie.

x x x

Kambodżę poznałem w 1966 roku. Byłem w regionach przygranicznych, gdzie już tliła się wojna. Gościłem u "Czerwonego Księcia" Sihanouka, zachowałem dwa listy, jakie mi nadesłał z gratulacjami za reportaże, które napisałem o jego kraju - gdy ten był symbolem ...azjatyckiego umiaru i łagodności, oazą spokoju między płonącym Wietnamem, płonącym Laossem i Tajlandią, przekształconą w bazę amerykańskich bombowców.

Potem losy Kambodży śledziłem z oddali. Żadne zdanie z książki Ngora nie jest sprzeczne z tym, co o niej wiem.

Wybrałem kilkanaście zdań, ilustrujących nie tylko makabrę, ale przede wszystkim tok dziejów Kambodży w ostatnich dwóch dekadach.

Marzec 1970:

"Wedle zachodnich kryteriów Kambodża była krajem nierozwiniętym i biednym, ale my czuliśmy się względnie szczęśliwi... korupcja i ucisk nie przekraczały zwyczajowych w azjatyckich społecznościach granic."

18 marca 1970:

"...radio nadało piorunującą wieść: zgromadzenie narodowe głosowało przeciwko Sihanoukowi...Za zamachem stanu kryli się Sirik Matak i Lon Nol."

Kwiecień 1970:

"Teraz zaczęto manifestować przeciwko Lon Nolowi, tym razem jednak manifestacjom przewodzili nie studenci, a ciemnoskórzy, tatuowani chiopi i mieszkańcy miasteczek...Sihanouk był ich królem i ich bogiem...żołnierze Lon Nola za-trzymali ich pistoletami maszynowymi. Poniesiono potem dzie-siątki ciał w hamakach zawieszonych na kijach...w Kompong Cham tłum złapał brata Lon Nola. Manifestanci zabili go, wy-cięli mu wątrobę i zmusili restauratora do jej upieczenia. Kawałeczki wątroby zostały rozdzielone między tłum, zjedzono je."

Koniec kwietnia 1970:

"Okazało się wkrótce, że Lon Nol jest w dobrych stosun-kach ze Stanami Zjednoczonymi...Amerykanie i Południowi Wietnamczycy wspólnie weszli na przygraniczne terytoria kra-ju, by zniszczyć kryjówki komunistyczne...Kiedy Amerykanie się wycofali, komuniści byli tam nadal."

Maj 1970:

"Sihanouk powinien był po zamachu stanu zostać spokoj-nie w swej francuskiej willi. Ale nie zrobił tego...Wysuwa-jąc się na czoło Czerwonych Khmerów - natychmiast ich uwia-rygodnił. Tysiące Kambodżan, zwłaszcza chłopów, którzy go u-wielbiali, poszło dołączyć w dżungli do komunistów. Ten dzień, w którym Sihanouk związał się ze swymi odwiecznymi wrogami, oznaczał dla Kambodży śmiertelny zwrot: wojnę do-mową."

Dalsze miesiące 1970:

"...tysiące Kambodżan pochodzenia chińskiego i wietnam-skiego padły ofiarą prześladowań za reżimu Lon Nola. Nieste-ty, Amerykanie popierali go nadal..."

Rok 1974:

"Na bazarze opowiadano, jak Czerwoni Khmerzy mordują ludzi im szyje ząbkowaną gałęzią palm, dających cu-krowy nektar. Ale poza placem targowym uważano to za rzecz wyssane z palca. Nie zamartwiałem się zbyttnio Czerwonymi Khmerami. Myślałem sobie, że nie mogą być gorsi, od reżimu Lon Nola. ...Przy smrodach reżimu Lon Nola, komuniści byli jak świeży i czysty wiatr".

16 kwietnia 1975:

"...do ogrodu szpitalnego wtargnęła grupa ubranych czarno rebeliantów, prawie wszyscy mieli przy sobie sowiecką broń. Ich twarze miały ten sam wyraz okrucieństwa i niena-wiści..."

"Była piersistą babą, ale usiłowała to ukryć...Zaczęła wywijać bronią i gniewnie nas pouczać:

- Koło historii się toczy! Tym, którzy wyciągną rękę, by je zatrzymać, ręka zostanie odcięta...Nie ma powrotu do tego co było. Historia nie poczeka! Nadeszła rewolucja..."

Czasu już nikt nie liczy:

"My, Kambodżanie, wierzymy w Kamę. Kama jest pojęciem religijnym oznaczającym Los czy też Przeznaczenie...Wiele osób należących do sekt buddyjskich, bardzo mistycznych, myślało, że kraj ukarano za grzechy popełnione dawno temu. To też osoby te poddały się Czerwonym Khmerom, wbrew sobie, ale bez protestu, poddając się w ten sposób Losowi, Przeznaczeniu".

Później:

"...myślę, że zaledwie połowa spośród 7800 osób deportowanych z Phum Chhlav opuściła ten obóz. I że połowa z tych, którzy go opuścili, zmarła po drodze...skóra na ich obrzmiałych ciałach pękała z trzaskiem...Śmierdzieli. A chmary much oblepiały im usta, oczy, odbytnice... Nie mieliśmy już mnichów, nie mieliśmy już świątyni, nie mieliśmy już zobowiązań rodzinnych: dzieci pozwalały rodzicom umierać w samotności, żony porzucały mężów, silniejsi szli naprzód..."

Jeszcze później:

"- Jacy jesteście szczęśliwi! - wykrzykiwał Chev, szef frontu. - Wracacie z pracy, a tu już jest gotowany ryż!... zostaliście panami waszych losów. Dzisiaj życie jest o wiele lepsze, nie ma korupcji, nie ma gier hazardowych, pieniędzy i prostytucji. Uczycie się od chłopów i robotników; to oni są źródłem prawdziwej wiedzy i mądrości, a nie ci mniisi-bumelanci! ...Nikt nie będzie cierpieł głodu! A jeżeli Stany Zjednoczone zaatakują nas, to podkopiemy się pod Pacyfik i zwyciężymy je!"

Któregoś dnia:

"...mężczyzna w błękitnym polo położył moją prawą dłoń na korzeniu drzewa i nadepnął na nią. Potem jednym ruchem mechanicznie ciachnął mnie w mały palec...udało mi się dostrzec za pnem odcięty kawałek mojego palca. Cały był pokryty czerwonymi mrówkami".

Innego dnia:

"Potem nigdy nie było słychać strzału: Chev zabijał motyką. Zwykle po takiej egzekucji był następnego dnia pełen humoru i energii. Mordował, by się lepiej czuć."

I znowu dzień:

"Powiesili mnie na poprzeczce, windując tak, że stopy zawisły dokładnie nad stertą sieczki. Kiedy już przywiązali wszystkich, podpalili pod nami stosy...Na lewo ode mnie coś zasyczało. To wiszący człowiek sikał w spodnie, mając nadzieję, że uśmierzy nieco ogień."

I znowu:

"Chciał jej rozciąć podbrzusze, ale ostrze zatrzymywało się na kości łonowej. Wyjął bagnet i wbił go w brzuch, tnąc od mostka aż do pępka. Wyciągnął piód i rzucił na stos ludzkich szczątków...Wyciął następnie kobiecie wątrobę a potem odciął pierś.

- To dobre mięsko! - powiedział rechocząc."

Marzec 1979:

"Leżał i strzelał seriami. Miał jasnozielony mundur... Na jego hełmie czerwieniła się gwiazda.

To był Wietnamczyk.

Co robili tutaj Wietnamczycy?...Nikt nigdy nie mówił o Wietnamczykach. Nawet Czerwoni Khmerzy nie zająknęli się o nich...Powiązano nas następnie po trzech... Dostałem w żołądek tak silnie, że straciłem dech".

Po paru miesiącach:

"Minał już jakiś czas, odkąd Wietnamczycy zajęli Kambodżę... Szef Frontu Ocalenia, Heng Samrin, na rok przed wkroczeniem wietnamskich wojsk do Kambodży był jeszcze Czerwonym Khmerem. Jego minister spraw zagranicznych, 27-letni typek, zwany Hun Sen, też był Czerwonym Khmerem, zaś do Wietnamczyków dołączył, by uniknąć czystki".

/To oni nadal rządzą Kambodżą - przyp. W.G./

Jeszcze trochę później, w obozie w Tajlandii:

"Urząd Wysokiego Komisarza /Narodów Zjednoczonych, ds. Uchodźców - przyp. W.G./ miał jakoby chronić uchodźców: to był powód istnienia tej organizacji...A teraz urząd ten zbudował obóz, by rozciąć opiekę nad Czerwonymi Khmerami! Podczas gdy nic nie zrobił, by pomóc ofiarom tych morderców! ...Ludzie z Zachodu nie wyznawali się na Kambodżanach."

x x x

Bo jak mogliby się wyznawać? Jak tamtejsze meandry psychomentalne może pojąć ktoś, kto wychował się w moralnej tradycji chrześcijaństwa, w 'duchu renesansowego humanizmu, w oświeceniowym realizmie - i wszystkich ich kontynuacjach - które z tradycjami buddyzmu nie mają nic wspólnego, oprócz podobieństw incydentalnych lub pozornych?

Jak Europejczyk może pojąć, że Azjaci, choć niesłychanie zapobiegliwi w interesach, mogą je w jednej chwili porzucić, gdy w grę wchodzi "wyższy imperatyw" z a c h o w a n i e t w a r z y? Że wyżej cenią czas, jako wartość przeżywaną "dla siebie", niż czas jako wartość ekonomiczną? Że kategoria "postępu" w ogóle dla nich nie istnieje, skoro kołwrot dziejów i tak musi wrócić do punktu wyjścia? Że buddysta nie widzi jakościowej różnicy między wartością życia ludzkiego, a wartością istnienia każdego innego stworzenia?

Wielu prawowiernych buddystów-Kambodżan pojmowało zbrodnie Czerwonych Khmerów jako zrozumiałą karę za to, że opuścili poprzednio właściwą "środkową ścieżkę życia", podpo-

rządkowując się rządowi Lon Nola, prawicowym i proamerykańskim.

Kto z ludzi Europy, przywykłych do myślenia w kategoriach wspólnoty narodowej i jej interesu - zdolny jest zrozumieć, że dla chłopów-nędzarzy z kambodżańskich gór najgorszym wrogiem jawił się ich "zepsuty" rodak z miast, siedlisk występu /co zresztą miało również ekonomiczne uzasadnienie/. Właśnie spośród chłopstwa z oddalonych regionów Czerwoni Khmerowie werbowali karną i bezlitosną dla "obcych", bestialską armię.

I werbują! To już zakrawa na samobójczy masochizm, ale n a d a l, mmo pamięci o ich zbrodniach ludobójstwa, właśnie Czerwoni Khmerzy mają najliczniejsze zaplecze wśród Kambodżan, walczących teraz przeciw Wietnamczykom; to będzie jeszcze długa walka, bo ci ostatni stosują identyczną strategię, jak sowięci w Afganistanie: "tak wyjść, żeby pozostać"... Znacznie słabsze są dwa inne ugrupowania partyzantckie: nacjonalistyczne Son Sanna oraz monarchistyczne, któremu przewodzi Sihanouk.

Ale ten ostatni lideruje całemu frontowi oporu.

To postać trochę z groteski, trochę z tragedii antycznej.

Będąc księciem-premierem /choć dla chłopów po prostu królem/ zachowywał się jak światowiec, playboy i intelektualista zarazem. Osobiście dyrygował Baletem Narodowym /bardzo lubił baletniczki/. Reżyserował filmy. Pisał teksty sentymentalnych tang i żwawych fokstrotów. Grał na kilku instrumentach - a także na bramce w drużynie piłkarskiej i w reprezentacji siatkówki. Pisał poematy i eseje. Redagował kilka czasopism, zupełnie przyzwoitej jakości. Robił to wszystko po to, by zachęcić swych rodaków /raczej gnuśnych z usposobienia/ do naśladownictwa.

A przecież jeszcze rządził! Rządził dobrze. Bez walki wyzwolił kraj od Francuzów, nie rezygnując z ich pomocy i dyskretnej protekcji. Zachował niezależność od sąsiednich mini-mocarstw; warto zauważyć, iż Kambodża jest jedynym krajem świata, którego sytuacja geopolityczna wybitnie przypomina polską: leży między dwoma państwami znacznie silniejszymi, dynamicznymi, od wieków wrogimi, których potencjał wielokrotnie przewyższa kambodżański. Umiał też Sihanouk przez długie lata wymigiwać się od presji "obu Wietnamów" w trakcie wojny indochińskiej i nie uległ naciskom Amerykanów, by wesprzeć ich zbrojny wysiłek. Dlatego zwano go "Czerwonym Księciem", a jego politykę ochrzczono w USA... "amoralnym neutralizmem", i koniec końców postanowiono mu położyć kres, co zapoczątkowało sekwencję nieszczęść.

Czemu polityk tak ostrożny, kunktatorski, wierzący w siłę kompromisów /skoro siły oręza nie miał/, przez poddanych uważany za boga - w 1970 roku dał całkowite wsparcie Czerwonym Khmerom, których poprzednio konsekwentnie wsadzał do więzienia? Czemu zgodził się na długie lata pełnić rolę chińskiej marionetki, czemu wzywał swych rodaków, którym udało się wyjść z piekła, aby wracali pod rządy Czerwonych Khmerów - co niemal wszyscy przypłacili życiem? Czy należy go podejrzewać o makbiaweliczną perwersję, czy przeciwnie -

o skrajną naiwność?

Nie wiem. I jest to jedyne pytanie, na które również książka Haing Ngora nie daje odpowiedzi.

Wojciech Giełżyński

Haing Ngor. "Kambodżańska odyseja". Tłum. Zyta Oryszyn.
Wyd. PoMOST, Warszawa 1989.

WOJCIECH CZUCHNOWSKI

"POLA ŚMIERCI" - FILM O KAMBODŻY

/ "I ci ginący, samotni
już zapomniani od świata
Język nasz stał się im obcy
Jak język dawnej planety".

/Cz. Miłosz "Campo di Fiori"./

W świadomości przeciętnego odbiorcy środków masowego przekazu takie rejony kuli ziemskiej jak Ameryka Południowa, Bliski i Daleki Wschód czy Afryka, to obszary, na których niemal bez przerwy dochodzi do burzliwych wydarzeń, zamachów stanu, masowych morderstw, lokalnych wojen i aktów terroru. Światowe agencje telewizyjne wypracowały pewien model podawania krótkich informacji na temat podobnych zająć. Codziennie przed oczami milionów telewidzów pojawiają się obrazy płonących miast, walczących armii, cierpiącej ludności cywilnej. Fotografie rannych, zabitych i rozstrzeliwanych. Zniszczony sprzęt wojskowy i dyktatorzy w ciemnych okularach, ogłaszający wprowadzenie nowego porządku.

W tym spektaklu podmiot wydarzeń zredukowany zostaje do roli stałego elementu, a jego indywidualność ulega zatarciu. Jedyne w swoim rodzaju gatunek, jakim jest współczesny filmowy reportaż wojenny, należy być może do najbardziej skonwencjonalizowanych przekazów naszej kultury.

"Pola śmierci" Rolanda Joffego są próbą odczarowania świata zaklętego w nieręczysty kształt przez dziennikarską rutynę, próbą nawiązania łączności pomiędzy przeciętnym obywatelem ustabilizowanego państwa Zachodu a pozbawionym indywidualnego kształtu człowiekiem, zabijanym codziennie na ekranach naszych telewizorów. Podstawowe przesłanie filmu realizowane jest na dwóch poziomach: w warstwie fabularnej, z jej głównym wątkiem przyjaźni pomiędzy amerykańskim dziennikarzem a jego kambodżańskim współpracownikiem, oraz w warstwie obrazowej, gdzie reżyser operuje systemem nakładających się znaków.

Mamy tutaj do czynienia z rzadkim przypadkiem oskarżenia wszystkich wielkich systemów walczących o poszerzenie swoich sfer oddziaływania. Antyamerykański i antykomunistyczny zarazem, ostentacyjnie ignorujący skomplikowaną grę

politycznych uarunkowań, film Joffégo nie gubi jednak prawdy o wydarzeniach, których kulminacją były rządy Pol-Pota. "Pola śmierci" mówią o tragedii Kambodży, a szerzej o tragedii każdego kraju będącego obiektem politycznej rozgrywki.

Sydney Schenberg - początkowo jeden z łowców sensacji, "chłodnym okiem" rejestrujący wydarzenia, przeżywa symboliczną przemianę o cechach objawienia. Ma w tej przemianie zasadniczy udział tłumacz reportera - Dith Pran, i jego losy. Droga Schenberga przywodzi na myśl odniesienia ewangeliczne: reporter jest tym, "który patrzy a nie widzi", dopiero otarłszy się o doświadczenie śmierci, o doświadczenie tragicznej bezsilności, doznaje wstrząsu. Zyskuje zdolność rozpoznawania i nazwania prawdy.

Chcąc przywrócić Kambodży jej zagubiony rzeczywisty wymiar, Joffé nie szuka dla swojego dzieła nowego języka. Szereg scen - właściwie cała część filmu, do momentu wyjścia Prana z ambasady francuskiej - zrealizowana jest w poetyce reportażu wojennego, tyle tylko, że nie są to ani zdjęcia dokumentalne, ani ich głównym celem nie jest wierne odtworzenie zaistniałych wypadków. Podobną grę z konwencją stosuje Joffé w "Misji". Należy on do twórców, którzy podstawowy dylemat współczesnego kina - niemożność wypowiedzenia prawdy w obrębie praw gatunku - rozwiązują nie poprzez totalną negację tegoż, lecz za pomocy dyskursu z jego wewnętrznymi mechanizmami.

Film można podzielić na trzy części: pierwszą, od przybycia Schenberga na lotnisko w Phnom Penh, aż do wkroczenia Czerwonych Khmerów i wyjścia Prana z ambasady francuskiej /tutaj mamy do czynienia ze świadomą stylizacją na język agencyjnych relacji/. Druga - amerykańska - w dwóch sekwencjach przedzielona początkowymi scenami części trzeciej - ukazującej Kambodżę pod rządami Pol Pota, gdzie narracja stylizowana na reportaż ustępuje miejsca klasycznemu filmowemu opowiadaniu, niemal zupełnie podporządkowanemu zasadom realizmu, z nielicznymi momentami o charakterze symbolicznym. Samo zakończenie można potraktować jako nawiązanie do poetyki części pierwszej, teraz jednak przywołanej w zupełnie innym kontekście.

Zachód - Kambodża

Początkowe sceny filmu przynoszą obrazy harmonijnego współistnienia wpływów Zachodu i świata Kambodży. Oglądamy kraj na moment przed ostatecznym upadkiem pewnego modus vivendi, wypracowanego przez całe lata doświadczeń, sięgających okresu wczesnej kolonizacji. Ulica Phnom Penh jedzie biały Mercedes /znak kultury Zachodu, kilka razy pojawiający się w tej funkcji w toku dalszej akcji/. Pojazd zatrzymuje się u wejścia do luksusowego hotelu, przed którym właśnie przechodzą dwaj buddyjscy mnisi ubrani w pomarańczowe szaty. Wsiadając z Mercedesu Dith Pran składa pokłon mijającemu go mnichom. Równoległe spoza kadru dobiegają fragmenty audycji "Głosu Ameryki" komentującej bieżącą sytuację w kraju. Przytoczoną sceną zbudowaną jest z elementów przeciwstawnych /mnich buddyjski - biały Mercedes/ ukazanych w zgodnej koeg-

zystencji. Owa harmonia jest o tyle celowo podkreślona, że w dalszym ciągu opowiadania, posługując się podobnymi zestawieniami, reżyser konsekwentnie dokonuje jej rozbicia. To co w pierwszych scenach nosi echy naturalności, zostaje przemienione w absurdalny dysonans: dotarłszy do miasta zniszczonego wskutek głupiej pomyłki przez sojuszniczne lotnictwo amerykańskie, Schenberg zostaje powitany jako forpoczta nadchodzącej pomocy. Dla poszkodowanych mieszkańców ufnie, po dziecięcemu wierzących w Zachód, biały reporter symbolizuje porządek, teraz zagrożony. Wokół dziennikarza skupiają się dzieci, wszyscy chętnie udzielają informacji. Jedno z dzieci wiesza sobie na szyi chromowane kółko podzielone na trzy pola - znaczek firmowy zdjęty z karoserii Mercedesa.

Cywilizacyjne innowacje bardzo szybko tracą charakter całościowy i przemysłany, zaczynają funkcjonować w sposób zupełnie nieoczekiwany, albo jako fragmenty zapomnianej dekoracji albo we współistnieniu ze światem dzikiego okrucieństwa: w mieście, do którego dotarł Schenberg, żandarmeria upadającego rządu Lon Nola dokonuje egzekucji kilku Czerwonych Khmerów. Jedna z uzbrojonych kobiet słucha kieszonkowego radia, z którego płynie znany przebój Beatlesów. Piosenka stanowi dźwiękowy podkład dla sceny rozstrzeliwania jeńców.

Symbolika ostatecznego rozbicia nietrwałego związku dwóch kultur zawarta jest w szeregu obrazów z sekwencji walk na przedmieściach stolicy. Pośród scen paniki, bezładu cofających się wojsk, porozbijanego sprzętu i zrujnowanych ulic, dwukrotnie w centrum kadru pojawia się statyczny obraz prymitywnego chińskiego zaprzęgu /krowy ciągnącej drewniany wóz/, spokojnie stojącego na tle ogromnej reklamy Coca-Coli. Świat pozornej harmonii w błyskawicznym tempie zostaje zaanektowany przez wszechogarniający chaos: przestaje funkcjonować elektryczność, urywa się łączność, brakuje paliwa. Luksusowy hotel okazuje się nietrwałą, pękającą atrapą: do opustoszałych pomieszczeń wdzierają się jaszczurki i skorpiony. W końcowych fragmentach filmu zobaczymy wyludnione miasto powoli wchłaniane przez dżunglę.

W chwili gdy politycy decydują się zostawić Kambodżę jej własnemu losowi, dochodzi do konfrontacji dwóch odmiennych postaw: wiary w siłę i opiekę amerykańskiego sojusznika oraz - ze strony ludzi Zachodu - lekkomyślności i braku zrozumienia dla konsekwencji, jakie niesie za sobą decyzja odmowy zdecydowanej pomocy. Sekwencję ewakuacji ambasady USA otwiera kadr pokazujący zdjęty ze ściany i ułożony na podłodze portret Waszyngtona. Żołnierz piechoty morskiej zdejmuje i pieczołowicie składa gwiazdzisty sztandar wiszący nad wejściem do budynku. Ta ostatnia scena podkreślona jest w filmie przez zabieg podwójnej ekspozycji tematu: żołnierz dostreżony zostaje przez fotoreportera, który wykonuje mu serię zdjęć. Fotograf oraz interesujący go obiekt są tutaj pokazani w kilku kontr-ujęciach. Kulminacyjnym momentem ewakuacji jest odjazd ambasadora Stanów Zjednoczonych. Lśniaca czarna limuzyna odprowadzana przez grupę biegnących za nią dzieci dociera pod bramę lotniska, gdzie stłoczony tłum rozstępuje się przepuszczając pojazd. Ekran wypełnia twarz ambasadora - siwiejącego mężczyzny o dostojnym wyglądzie. Po chwili ka-

mera odprowadza jego pochyłoną, pospiesznie poruszającą się postać do wnętrza ostatniego śmigłowca.

Dla mieszkańców pozostawionych w stolicy, Zachód do końca będzie kojarzył się z azylem, z szansą na przetrwanie.

Ambasada francuska, gdzie rozgrywa się końcowy akt pierwszej części filmu jest ostatnim miejscem, gdzie można znaleźć schronienie. Narastający za murem terror zestawiony zostaje z panującym wewnątrz rozkładem, brakiem zrozumienia i okrutną obojętnością wobec szukających pomocy tubylców, podobnie jak w przypadku USA również obraz Francji sprowadzony zostaje do ogólnie czytelnych znaków-pojęć symbolizujących moralne porażenie kultury Zachodu. Po wstrząsającym scenie wydania członków byłego rządu w ręce oprawców następuje ujęcie, w którym jeden z dyplomatów francuskich grając na fortepianie smętną knajpianą melodię, popija szampana z kieliszka stojącego na blacie instrumentu. Tło dla tego ujęcia tworzy trójkolorowa flaga sfilmowana zza pleców pianisty, z butelką szampana na drugim planie.

Neutralna dotychczas relacja Zachód-Kambodża, zostaje w sposób niemal jednoznaczny skonkretyzowana. Alternatywa pomiędzy Zachodem a Kambodżą staje się alternatywą pomiędzy Życiem a Śmiercią. Tak jak poprzedni układ mogliśmy określić jako dziecięcą fascynację cywilizacją, techniką i Coca-Colą, tak teraz, wobec przecucia zagłady, owa fascynacja przemienia się w instynktowną, niewzruszoną nadzieję na ocalenie. Dlatego Dith Pran, zmuszony do opuszczenia ambasady, wypowiada znamienne słowa: "Chcę, żeby moje dzieci mówiły po angielsku".

To co rozumiał Schenberg w pierwszych dniach okupacji Phnom Penh rozwinięte zostaje w części filmu, której akcja rozgrywa się w Nowym Yorku. Podstawowe przesłanie utworu zawarte w przemówieniu wygłoszonych przez bohatera podczas uroczystości z okazji wręczenia mu dorocznej nagrody dziennikarskiej, znajduje swój filmowy odpowiednik w cenach przeglądania materiałów, nakręconych podczas wydarzeń w Kambodży. Zostają tutaj zestawione trzy ciągi obrazów: zbliżenia twarzy Schenberga, dokumentalne zdjęcia na ekranie magnetowidu i wisząca na ścianie ostatnia fotografia Prana. W ostatnich kadrach następuje wyciszenie muzyki oraz eliminacja reporterskich migawek, Schenberg zatrzymuje spojrzenie na fotografii przyjaciela. Akcja przenosi się do Kambodży.

Rewolucja-Kambodża

W scenach pokazujących wprowadzanie nowego porządku na ulicach Phnom Penh odnaleźć można zrozumiałe powszechnie, umownie przyjęte symbole komunistycznych rządów, obrazujące ich proveniencję, stosunek do tradycji oraz kulturowej odrębności podbitych krajów. Pierwsze ujęcie owego zestawienia zawiera w sobie niemal wszystkie dalej rozwinięte tropy: Obwiszony czerwonymi flagami czołg miażdży porzucony na ulicy rower.

Triumfująca armia. Oto jak wygląda: czerwone insygnia /sztandary, chustki na głowach/, broń produkcji chińskiej i sowieckiej, żołnierze okrzęci pasami z amunicją, dzieci walczące u boku dorosłych. Po mieście jeżdżą znane chociażby

z relacji dotyczących roku 1917, charakterystyczne ciężarów-ki pełne wojska strzelającego na oślep i wymachującego szturmówkami. Wreszcie - szczegóły w tym natłoku obrazów: zbliżenie przegubów rąk jednego z żołnierzy, pełnych "zdo- bycznych" zegarków.

"Mówią, że teraz jest rok zerowy, że zaczynamy wszystko od początku i że niczego przedtem nie było" - słowa wew- nętrznego monologu Prana towarzyszą części filmu pokazującej kraj pod rządami Pol Pota. Akcja zostaje przedzielona wyda- rzeniami rozgrywającymi się w Nowym Yorku, toteż mamy tutaj do czynienia z dwoma bardzo znamiennymi ujęciami rozpoczyn- ającymi opowieść. Każdy z początkowych kadrów stanowi rodzaj ekspozycji operującej określonym systemem znaków. Ujęcie pierwsze: pole ryżowe o charakterystycznym piętrowym ukła- dzie powierzchni z kilkunastoma rzędami jednakowo ubranych, zajętych pracą ludzi. Linia horyzontu poznaczona jest na przemian ogromnymi sztandarami w kolorze czerwonym, oraz słu- pami sieci nagiąśniającej, pomiędzy którymi spacerują stra- żnicy z bronią gotową do strzału. Ujęcie drugie: Cały ekran zajmuje zbliżenie roweru wspartego o nogi odziane w wojskowe spodnie. Wzdłuż nóg zwisa pistolet maszynowy Kałasznikowa z czerwona kokarda zawiązana na lufie. Pomiedzy ramami roweru, w dalszej perspektywie widać obóz pracy z podobną jak w pierwszym ujęciu "dekoracją". Zestawienie w tych scenach znaków odwołujących się do tożsamości Kambodży /pole ryżowe z pracującymi ludźmi i rower/ z atrybutami komunistycznych rządów /czerwone flagi, obóz, strażnicy i Kałasznikow/ ozna- cza całkowite ujarzmienie i podporządkowanie kraju nowym za- sadom. Elementy dawnej kultury stają się w totalitarnym świecie znakami śmierci. Trop ten znajduje rozwinięcie pod koniec filmu, gdy grupa uciekinierów spędza noc w ruinach zniszczonej świątyni, wśród rozbitych przedmiotów kultu. To miejsce, podobnie jak opuszczona przez mieszkańców stolica, pochłaniane jest błyskawicznie przez dżunglę.

W obrębie tej części filmu wyróżnić można trzy grupy motywów zbudowanych z obrazów o charakterze uogólniającym: sceny masowych posiedzeń z rytuałem tańców, klaskania, prze- mówień i recytacji. Ujęcia pokazujące proces narastania ter- roru pochłaniającego nie tylko ubezwłasnowolnionych członków społeczności, ale i, zgodnie ze starym schematem, samych stra- żników rewolucji - od najniższych rangą, aż do przedstawicie- li najwyższego "aparatu". Wreszcie kluczowe fragmenty ukazu- jące rolę dzieci w funkcjonowaniu systemu: ich szczery, na- miętny udział w walce z wrogami dyktatury, dzieci w bezpo- średniej akcji zbrojnej i dzieci poddane indoktrynacji na lekcjach w szkole./1/ Wywołany do odpowiedzi uczeń przekreś- la umowny symbol tradycyjnej rodziny, narysowany kredą na tablicy. Podobnie skonstruowany jest moment zniszczenia przez rewolucyjny dziecięcy patrol "nielegalnie" hodowanej rośliny. Znamienny jest fakt, iż każdorazowo spotykamy tutaj zestawienie podstawowych wartości każdej cywilizacji /ro- dzina, uprawa zbóż/ z porządkiem zmierzającym do obalenia tych wartości a więc sprzecznym z zasadami warunkującymi ży- cie.

Oryginalne, celowo nie tłumaczone dialogi podkreślają uogólniający charakter scen pokazanych na ekranie. Daje to w efekcie wrażenie uczestnictwa w pantominie, w której słowo przechodzi z poziomu treści do funkcji jednego z elementów znanego rytuału. Monolog Prana, prowadzony równolegle do widzianych jego oczami wydarzeń nie ma tutaj funkcji objaśniającej, przeciwnie: jest wyrazem wewnętrznego dystansu bohatera wobec obcego mu świata.

"Pola śmierci"

Niemal natychmiast po wkroczeniu do stolicy reżym wydaje rozkaz ewakuacji półtoramilionowego miasta. Mieszkańcy mają porzucić wszystko, cokolwiek dotknięte jest "piętnem kapitalizmu"/2/ i wyruszyć na nowe tereny, gdzie zbudują zdrowe społeczeństwo.

Pran wraz z grupą dziennikarzy pchając zepsutą karetkę francuskiego Czerwonego Krzyża usiłuje przedostać się do gmachu ambasady. W pewnym momencie droga pchanego przez kilkunastu mężczyzn pojazdu krzyżuje się z biegnącą w stronę horyzontu szosą zapełnioną nieprzebranym tłumem ewakuowanej ludności, konwojowanej przez oddziały Czerwonych Khmerów. Kamera, oddalając się, ukazuje "rozstajne drogi" - metaforę Przeznaczenia. Usiłując znaleźć schronienie w świecie Zachodu Pran ucieka przed wspólnym losem. W tej niezwykle ważnej scenie następuje znamienne dla narracji Joffégo przetworzenie sytuacji realistycznej, ukazanej w poetyce reportażu, z kamerą w centrum wydarzeń, w obraz metaforyczny uzyskany poprzez płynne przejście do spojrzenia na tę samą sytuację z "perspektywy boskiej" i znaczącego zatrzymania akcji filmu. Czynnikiem dodatkowo sygnalizującym ową metamorfozę jest muzyka, nawiązująca do mozartowskiego Requiem. Tłum ludzi na słynnej "Drodze śmierci" przypomina pogrzebowy orszak, w którym żywi są zarazem umarłymi. W swoim ostatnim marszu pozostaną już do końca osamotnieni. Scena ta ma w sobie coś z hołdu i coś z aktu pokory wobec niewyobrażalnej tragedii, nad którą wypada tylko milczeć. Ponownie "Droga śmierci" pojawia się w sekwencji pierwszej ucieczki Prana. Błądząc po wyludnionej ziemi, współprzypadkowy bohater wpada w błotniste dół wypełniony ludzkimi kośćmi. Z trudem wypełza na brzeg i dopiero teraz spostrzega, iż znajduje się na obszarze pokrytym rozrzuconymi szczątkami pomordowanych ludzi. Tej konstatacji towarzyszy podobny jak w opisywanej poprzednio scenie odjazd kamery: jesteśmy na tej samej drodze, której początek widzieliśmy w scenach ewakuacji Phnom Penh. Widzimy ten sam tłum zamieniony teraz w gnijącą masę niepogrzebanych kości. Analogię podkreśla powracający motyw muzyczny. Ucieczka Prana nie powiodła się. Wracając na Drogę wraca do wspólnego doświadczenia swojego narodu.

Od tej chwili miejsce strachu przed śmiercią zajmuje poczucie obojętności. Taki stan trwa aż do momentu, gdy nadarza się sposobność ponownej ucieczki. Pran obarczony odpowiedzialnością za towarzyszące mu dziecko zdaje się odzyskiwać energię, obecność osoby od niego uzależnionej przywraca mu życie. Motyw ocalonego dziecka jest prostym symbolem

nadziel, dlatego jego przypadkowa, bezsensowna śmierć ma tutaj szczególne znaczenie. Chłopiec ginie w momencie, kiedy zdawałoby się wszystkie niebezpieczeństwa zostały ominięte, ginie po to, aby ostatecznie wypełniło się bezlitosne przeznaczenie. Ta śmierć, chyba jedyna w całym filmie ma swój ceremonialny pogrzebowy - to również ważne. W świecie gdzie życie ludzkie nie posiada żadnej wartości a ciało staje się tylko kolejną warstwą na powierzchni ziemi, odbywa się rytualne, zgodne z odwieczną tradycją całopalenie zwłok. Samotne odejście. Prana sfilmowane jest przez płomień stosu. Za nim nie pozostaje już nic./3/

Dlatego zakończenie filmu ma wydźwięk jedynie z pozoru optymistyczny. Schenberg odnajduje przyjaciela, ale tych dwóch ludzi, połączonych teraz autentyczną więzią, dzieli jednocześnie otchłań doświadczenia. Przeżycia kambodżanina zamknęły się w świecie, do którego nikt nie może mieć wstępu. On sam i jemu podobni - to świadkowie, którzy nigdy nie ujawnią całej prawdy. Reżyser kończąc film zmontowanymi na tle piosenki Lenona scenami powitania przyjaciół i zdjęciami ocalałych ludzi, pragnie być może dać przeciwwagę dla jednoznacznie katastroficznej wymowy dzieła - i jest to po prostu rodzaj bezradnego gestu.

Wojciech Czuchnowski

/1/ Ustalono, iż optymalnym wiekiem dla rozpoczęcia skutecznego procesu indoktrynacji dziecka jest 6 lat. Dzieci w tym wieku szkolone były w specjalnych obozach, gdzie nauczano je zabijania oraz bezwzględного posłuszeństwa. Do pacyfikacji wsi i do wielkiej akcji mordowania nieproduktywnych jednostek /starców, chorych itp./ używano głównie 10-12 letnich chłopców.

/2/ Zwracano szczególną uwagę, aby wyruszając w drogę nikt nie zabrał ze sobą butów. Ci, którzy nie mogli kontynuować marszu z powodu licznych ran na nogach byli natychmiast zabijani. Reporterzy, którzy po likwidacji dyktatury oglądali wyludnione Phnom Penh piszą o masach porzuconego obuwia zalegającego ulice miasta.

/3/ W ciągu kilku lat swoich rządów, dyktatura Pol Pota w planowy i zamierzony sposób wymordowała ponad połowę ludności siedmiomilionowego kraju. Równie planowo zniszczono dawną kulturę, religię, więzi społeczne, i wreszcie gospodarczą strukturę Kambodży.

Andrzej Oseka

OBECNOŚĆ ŻYDÓW W POLSCE

W czerwcu, w krakowskim Muzeum Narodowym otwarta została /kilkakrotnie przedłużana, czynna w rezultacie do końca października/ wystawa "ŻYDZI - POLSCY". Ważny jest sposób pisania tej nazwy: oba jej człony, rozdzielone myślnikiem, istnieją jednocześnie razem i osobno. Żydzi pozostają Żydami, będąc Żydami polskimi.

Autor wystawy, Marek Rostworowski, przyjął jako założenie, że obecność Żydów w Polsce pokazuje się tutaj wyłącznie poprzez malarstwo, grafikę i rzeźbę. Pominięto nawet dzieła sztuki zdobniczej: nieliczne przedmioty kultu w sali mówiącej o "życiu codziennym" są zaledwie dopełnieniem właściwego materiału ekspozycyjnego, pomagają w jego pełniejszym zrozumieniu. Marek Rostworowski zawierzył - jak sam to mówi - wrażliwości artysty, obserwatora świata.

Tak więc znika z pola widzenia wszystko, co nie jest dziełem czystej sztuki. Nie ma na wystawie karykatury, rysunku prasowego, ulotnych druków politycznych; wszystko to do wiedzy o sytuacji Żydów w Polsce wniosłoby wiele - nie jest jednak bezinteresownym świadectwem, a o takie jedynie chodziło autorowi wystawy. Zrezygnował więc z tumultu walki wokół doraźnych interesów rasowych i klasowych, ze szmoncesu. Pragnął uzyskać wizerunek wolny od przypadkowości, trwały, solidny.

Siłą rzeczy musiało się uwidocznnić pewne istotne ograniczenie: autorami wystawionych dzieł są w ogromnym procencie Polacy, a także ci Żydzi, którzy z kultury i obyczajowości żydowskiej wyłamali się, przynajmniej częściowo. Żydzi, nazywani "narodem księgi", nie są narodem obrazu. Młody człowiek, udając się na Akademię Sztuk Pięknych - oddalał się od świata swoich ojców, wchodził w inną rzeczywistość kulturową. Oczywiście, mógł malować sceny ze swego dzieciństwa, ojca przy modlitwie, wewnątrz bóżnicy, czynił to jednak już jako ktoś z zewnątrz.

Marek Rostworowski zwrócił moją uwagę na obraz Artura Markowicza "Ojciec i syn": tradycyjnie ubrany ojciec, w lisiej czapie, siedzi przy stole nad rozłożoną księgą; syn, ubrany w całkiem świecki garnitur, mówi coś, żywo gestykulując - najwyraźniej prowadzi z milczącym ojcem spór. Mógłby to być, zdaniem Rostworowskiego, obraz autobiograficzny: młody Markowicz oświadcza staremu Markowiczowi, że oto zamierza podjąć studia w Akademii. Bardzo to prawdopodobne. Gdy jednak przyjrzymy się malarstwu Artura Markowicza, musimas uderzyć jak często występują tu tematy żydowskie: "Talmudyści", "Dysputa nad etrogiem", "Po pogromie", "Adoracja Tory" itp. To samo dotyczy wielu innych malarzy - Żydów, a wśród nich najwybitniejszego być może - Maurycego Gottlieba: artysta żyje i tworzy w nowym otoczeniu, zapewne zmienia obyczaje, fascynacja światem przodków nie opuszcza go jednak, mimo wszystko, nigdy. Cała wystawa "Żydzi - polscy" jest owocem tej właśnie fascynacji.

Formułowano wobec tej wystawy zarzut "polonocentryzmu". Wydaje mi się on tyleż zrozumiały, co nieuzasadniony. Nie-watpliwi polscy malarze, pokazując świat ich otaczający: krajobraz wiejski lub miejski, sceny powstańcze itp., nie-jednokrotnie umieszczali Żyda na planie drugim, niejako na marginesie głównego tematu - czyli tam, gdzie się on z ich punktu widzenia znajdował. Takich obrazów jest na wystawie wiele i pełnią one tutaj rolę istotną: ukazują pejzaż, na tle którego toczyła się historia Żydów polskich i - szerzej - Żydów środkowej Europy. Tutaj rozwił się chasydyzm, tutaj wreszcie nastąpiła zagłada. Jednym z najbardziej - w moim odczuciu - przejmujących fragmentów wystawy jest sek-wencja dzieł malarzy pochodzenia żydowskiego, powstałych w latach trzydziestych: są to widoki miasteczek polskich, tak jak one wyglądały bezpośrednio przed Endlösung.

Z kronikarskiego obowiązku opisuję układ ekspozycji, wymieniam jej części: "Wobec Boga", "W życiu codziennym", "W domu modlitwy", "W Polsce", "Wśród Polaków i jako Polacy", "Pokolenia", "Endlösung".

Zwiedzający tę wystawę musi, oczywiście, natknąć się na problem: Żydzi - Polacy, będący w istocie całą gamą problemów, długą historią z tragicznym zakończeniem, której nie da się jednoznacznie podsumować. Tak więc oglądamy obrazy historyczne, opowiadające o przyjęciu Żydów przez Kazimierza Wielkiego. Matejko maluje "Przyjęcie Żydów", ale maluje też "Wypędzenie Żydów z Krakowa w roku 1494", bo był i taki epizod.

Wśród dzieł najstarszych oglądamy "Taniec śmierci" z 2 połowy XVII w. Nieznany artysta pokazuje śmierć w jarmuż-ce, tańczącą z Żydem, i opatruje tę scenkę wierszykiem: "Sprośni Turcy, Brzydzy Żydzi - jak się Wami śmierć nie hydzi - Na żydowskie nie dba smrody - Z dziakiem skacze narodo-ry." Wynika z tego, że Żydzi postrzegani byli wówczas jako naród dziki. W "Sądzie Ostatecznym" z XV w. /ikona karpacka z Polany koło Chyrowa/ Żydzi stanowią pierwszą grupę między skazanymi na piekło. Jest na wystawie także obraz, przedstawiający mord rytualny: Żydzi wytaczają krew z chrześcijań-skiego chłopca; mały męczennik /bo taki charakter ma to dzieło religijne/ stoi w miednicy, zaś mężczyźni z pejsami, w wielkich czapach, przecinają mu żyły.

Wiele dzieł mówi też o wspólnym, polsko-żydowskim losie, o wspólnych bohaterach: np. pułkownikowi Berku Joselewiczowi, który w Powstaniu Styczniowym dowodził oddziałem; scena śmierci Berka Joselewicza była tematem wielu rycin patriotycznych w XIX wieku. Inny temat, także bardzo popularny: "Żyd Michał Landy z krzyżem w czasie manifestacji 12 kwietnia 1961 w Warszawie": na rycinie pełno patriotycznych symboli, są zakonnicy, jest obraz religijny, centralne zaś miejsce zajmuje młody mężczyzna w jarmużce, unoszący ku górze krzyż, wzięty z rąk zabitego Polaka.

Przykładów o dobrym i złym sąsiedztwie dałoby się wy-mienić tutaj więcej, jak też i więcej powiedzieć o podwójnej naturze polskiego Żyda, o części polskiej i części żydow-skiej w jego duszy. Marek Rostworowski nie mógł pominąć tej sprawy, ale też i nie mógł jej w sposób jednoznaczny rozwik-łać. Przywołał ją dziesiątkami obrazów, w których żydowskość

i polskość łączą się, dziesiątkami portretów, przedstawiających polskich poetów, malarzy, aktorów, nie mówiąc o lekarzach, prawnikach, mężach stanu, przemysłowcach, uchonych - którzy byli zarazem Żydami. Swego rodzaju formułę polskotżydowskiej duszy i biografii spisał Julian Tuwim, i tekst ten znalazł się, obok rzeźbiarskiego portretu poety, na wystawie.

Wystawa "Żydzi - polscy" nie jest jednak utworem z tezą. Jej autor nie pragnie niczego udowodnić, nie stara się na przykład pokazać, że Polacy byli dla Żydów lepsi niż inne narody, lub odwrotnie - gorsi. Marek Rostworowski po prostu odszukał, co było w tej materii do odszukania - i wystawił na widok publiczny. Części wystawy nie są rozdziałami opowieści, choć kolejność ich wynika czasem z biegu wydarzeń: Endlösung jest na końcu. To są jakby różne punkty widzenia, różne sposoby patrzenia na tę samą sprawę, jaką jest, czy raczej była, o b e c n o ś ć Żydów na ziemiach polskich, obok Polaków, między Polakami.

Sztuka - przemawiająca wizerunkiem, obrazem - pozwala nam uzmysłwić sobie tę obecność w sposób szczególny. W rozmowie ze mną Marek Rostworowski powiedział: "Patrzę na to jak na rzeczy przezroczyste, za którymi widać świat Żydów. Wielka tajemnica sztuki polega na tym, że daje ona odczuć konkretną obecność ludzi. Im lepsze dzieło - tym obecność jest silniejsza".

Co nie przeczy, że są na tej wystawie dzieła bardzo pod względem artystycznym niewyszukane, a przejmujące i przekonujące gdy chodzi o pokazanie świata. Można jako przykład wymienić serię kilkunastu rysunków Józefa Charytona - szkicowych, pospiesznych, uproszczonych w formie, z których wyłania się świat getta, egzekucji, walczących o życie ofiar i zadowolonych z siebie katów. Rzeczywistość masakry staje się tutaj czymś niemal dotykalnym: widać, jak bardzo wżarła się w wyobraźnię autora.

Szczególnie doniosłą cechą obyczajowości, a więc i tej, o której mowa obecności Żydów jest nasycenie życia religią, podporządkowanie rytuałowi, zwróceniu się ku Bogu i Słowu. Część "Wobec Boga" zdominowana jest wizerunkami modlitwy i ekstazy religijnej. Część druga "W życiu codziennym" /niezwykle interesująca i bogata/ daje obraz najrozmaitszych rytuałów dnia i roku; oglądamy sceny w chederze, przy rodzinnym posiłku, przy warsztacie; patrzymy na zabawy dzieci, dysputy nad książkami, grę w szachy, orszaki i ucztę weselne, uroczystości pogrzebowe. Obie te części wystawy, pierwsza i druga, połączone są napisem, głównym nakazem religii moższowej: "Słuchaj, Izraelu, Pan Bóg nasz Pan jeden jest, i będą te słowa w sercu twojem i będziesz je powiadał synom twoim i będziesz o nich rozmyślał siedząc w domu twoim i idąc drogą, i kiedy będziesz się kładł na spoczynek i kiedy będziesz wstawał..."

Przepisy, cytaty z Talmudu towarzyszą wyznawcy wiary moższowej nieustannie. "Nie ma takiej rzeczy - czytamy - o której nie byłoby w Talmudzie choćby wzmianki". Na mnie wielkie wrażenie wywołuje zawsze ten cytat z Talmudu: "Odech dzieci spieszących do szkoły podtrzymuje świat".

Nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie: czemu w sztuce tej tak mało jest historii? Sceny historyczne - poza Zagiadą - odnoszą się w zasadzie do dziejów innych narodów, choćby polskiego. Wizerunek Żydów, jaki ukazuje ta wystawa, jest ponadczasowy: to niezmienny rytm dnia i roku, ceremonie religijne, portrety ludzi.

Co nie znaczy, że w tym nieistniejącym już świecie nic się nie zmieniało. Mimo wszystko - przeobrażały się obyczaje i ubiory, coraz dalej postępowała asymilacja, a wraz z nią ewoluowało widzenie człowieka. Niezwykłe wrażenie wywiera część wystawy zwana "Pokolenia"; składają się na nią portrety, rzeźbiarskie i malarskie. Cała ogromna ściana na wprost głównego wejścia zawieszona jest od dołu do góry portretami Żydów polskich - od najstarszych, siedemnastowiecznych bodaj, po współczesne. Strój tradycyjny powoli, bardzo powoli ustępuje miejsca strojom i pozom, które można nazwać światowymi.

Wystawę tę, całą pokazaną na niej rzeczywistość ogląda się poprzez finał, jaki znamy. Mimo że większość ludzi, których wizerunki tutaj pokazano, zmarła dawno śmiercią naturalną, na wszystkich patrzemy jak na postacie z tragedii.

Jest tych postaci bardzo wiele, i są szalenie różnorodne. Nie będę wyliczać ich cech, trzeba by bowiem wyliczyć wszystkie cechy, jakimi może odznaczać się człowiek. A przecież ludzie owi stanowią naród i ze względu na przynależność do tego narodu ci, którzy żyli w Europie w pewnych latach - ponieśli śmierć.

O wystawie "Żydzi - polscy" bardzo trudno jest pisać recenzję. Cokolwiek powiemy o eksponowanych tu obrazach, ich treści, opowiedzianej anegdocie, zachowaniu osob - rzecz najistotniejszą a właściwie jedynie istotną pozostanie kształt, a w kształcie tym przejmująca obecność konkretnych ludzi, konkretnych Żydów, kiedyś, często nie tak dawno, mieszkających w Polsce.

Andrzej Osęka

"ŻYDZI - POLSCY". Czerwiec - październik 1989. Muzeum Narodowe w Krakowie. Wystawę i katalog przygotowali: Dorota Dec, Krystyna Moczulska, Marek Rostworowski /autor scenariusza/, Janusz Wałek.

FELIETONY

MOIM ZDANIEM...

Szczere lub nie, przeświadczenie, iż pisze się dla potomnych, nader często bywa pocieszeniem grafomanów. A już ewentualne przeświadczenie, że z myślą o nienarodzonej jeszcze czytelniku pisze się felietony, brzmi jak samopocieszenie grafomana-idioty. I mimo to, pewna ważna dla tych felietonów ingrediencja dodawana jest z myślą o przyszłości. Och, nie o tym wspaniałym czytelniku, który nareszcie mnie doceni - taki głupi to jednak nie jestem. Niektóre przyprawy dorzucam zakładając, iż jakiś cierpliwy dziejopis naszej obyczajowości trafi na zapisaną przeze mnie anegdotę lub kolokwializm, który przez kilka czy kilkanaście tygodni cieszył się powodzeniem, poczem zmarł naturalną śmiercią barwnego motyla. Wynika to z mego przywiązania do anegdoty jako świadectwa czasów /czegoś się jednak nauczyłem od Herodota! ha!/ oraz z przeświadczenia, iż współtworzące tkankę codzienności zmienne nastroje, mogą znaleźć wyraz przede wszystkim w krótkotrwałych tworach, anonimowego najczęściej, dowcipu. Te ostatnie są jeszcze bardziej ulotne niż anegdota czyli opowieść w pigułce; niezapisane, choćby i najtrafniejsze giną jakby zadość chciały uczynić łacińskiemu verba volant.

To też kiedy zapisuję - co właśnie czynię - że młodzież ta, która interesuje się polityką nazywa Wałęsę "pontonem", nie wypowiadałam mojej opinii o meritum czy stylu jego politycznych poczyniń a jedynie usiłuję zanotować ulotność. /Młodzi ludzie pytani dlaczego "ponton", odpowiadają - bo nadęty i płynie na fali. Pewnie to brak estymy, ale ostatecznie do przewag młodości nie należy obyczaj wypowiadania się z rozważą, wyczuciem i niespiesznie. Od tego mamy profesora Geremka/.

Tyle językowego a ulotnego obyczaju. A teraz anegdota. Pewien uczestnik Porozumienia na rzecz Demokratycznych Wyborów w "S" powiedział mi, że po ostatnim spotkaniu tegoż aliansu, które odbyło się 9 września, w Będzinie, zrezygnował z dalszego udziału w całej imprezie. Zraziło go bowiem nie tyle to, co mówiono na sali, ile rozmowy w kuluarach. I streścił mi owe serdeczne pogaduszki, z czego zapamiętałem dwa cytowane przezeń zwroty:

"Nie pozwolimy, by krajem rządził przechrzta!"

"Podobnie jak Austriacy obronili swego prezydenta, tak i my obronimy prymasa."

Zdania powyższe potraktować można jako curiosa, które w końcu zdarzają się wszędzie. Dodać jednak muszę, iż wedle

relacji mego rozmówcy, w będzińskich kuluarach nikt przytoczonych wypowiedzi nie uznał za przejaw dziwactwa; raczej za poprawny wyraz wspólnych, niektórym przynajmniej uczestnikom, stanów emocjonalnych oraz przeświadczeń. Byłoby nieprawdą, gdybym napisał, że cytowane tu postulatory /bo są to de facto postulatory oraz wezwania/ wstrząsnęły mną - nie takie rzeczy słyszałem i widziałem. Zainteresował mnie natomiast zawarty w nich sposób przeżywania świata oraz znaczny niewątpliwie stopień ich językowej sprawności.

Dowcip mam zapewne zbakierowany, toteż usłyszawszy pierwsze z cytowanych przed chwilą zdań, wcale nie pomyślałem "Ciekawe co na to nasz nowy premier" /bo zasadnie czy nie, o nim tu mowa/. Pomyślałem coś zupełnie innego - "Ciekawe czy o takim pośmiertnym tryumfie marzył Krasiński?". Pytanie oczywiście bez sensu. Ale chyba każdemu, a już na pewno mnie, przychodzi do głowy pytania, na które nie sposób odpowiedzieć.

Jeśli chodzi o drugie z cytowanych zdań, to nie wątpię, iż jego autor zalicza sam siebie i zaliczany jest przez swych przyjaciół do gorących zwolenników kardynała. Niemniej pomysł takiej analogii wydał mi się dość zaskakujący, a przez to uświadomił mi niejako ograniczenie mego umysłu: nigdy mianowicie coś takiego nie przyszło mi do głowy. Poczułem też, mimo odległość, żar tkwiący w duszy owego entuzjasty prezydenta Austrii. Po prostu "ignis ardens" czyli ogień płonący. Co prawda łacińskie "ardeo" znaczy również "zamęt", ale jak już zaznaczyłem, wypowiedzi, o których piszę, cechuje znaczna sprawność językowa. Nie mamy tu, moim zdaniem, do czynienia z myślowym zamętem. Raczej z niezwykle silnym stężeniem emocji.

Tyle notatek poczynionych z myślą o przyszłym historyku czasów naszych. Aby jednak uniknąć ewentualnych nieporozumień z czytelnikiem dzisiejszym, dodać muszę, iż paralela, której zdań kilka poświęciłem wydaje mi się wysoce niestosowna.

21.IX.

L.

JESIENNE ZAPISKI O LETNICH WYDARZENIACH

Pewnego razu gęsi postanowiły uczynić lisa królem...

Bajka wschodnia

W dniu wyborów prezydenta wyjątkowo wieczór przed telewizorem. Wynik. Nie oglądam już później zwycięskiego generała, choć podobno było warto.

Piszę krótki artykułik p.t. "Ratowanie kraju czy reanimacja systemu?"

"Czemu Generał zawdzięcza mizerny ale przecież tryumf? Temu, że niektórzy posłowie i senatorowie solidarnościowi poszli się przejść? Jeden kręcił film, więc należy mieć go za wymówionego. Choć przyjmując godność deputowanego od-

dał się do dyspozycji, jeśli już nie narodowi /żeby nie upatetyczniać zwykłego wypełniania wziętych na siebie obowiązków/, to przynajmniej wyborcom, którzy uwierzyli, że będzie ich bronił nie schodząc z posterunku. Są sytuacje, gdy rzeczywistość rozstrzyga właśnie jeden. Ale decydowali także ci, co oddali głos nieważny? Albo wreszcie ten solidarnościowy deputowany głosujący za generałem? Dzieje polskiego sejmowania mają swoje ciemne karty, czyżbyśmy dorzucili jeszcze jedną? W. Kulerski w rozmowie z dziennikarką BBC robi miny Rejtana. Niech mu będzie na zdrowie takie dobre samopoczucie...Czym jednak powodują się solidarnościowi przywódcy wierząc niezłomnie, że wybrany prezydentem generał, dopóty nie spocznie w swoim trudzie, dopóki nie przekaze pełni władzy narodowi, zaś marzenie o demokratycznym parlamencie za cztery lata będzie mu osiadało bezsenne noce na gwoździach wybitym fotelu szefa państwa?

/.../

Sprawa wyobraźni politycznej wydaje się tutaj kluczowa. Polityk z wyobraźnią latami czeka na okazję, ale gdy się pojawi, umie z niej korzystać sprawniej niż Jasiek z Wesela. Może ekipa Wałęsy zamiast wpadać w panikę po wygranych wyborach powinna była z miejsca próbować jechać do Moskwy? Jej szanse na ustalenie modus vivendi ze wschodnim sąsiadem - wolno sądzić - są dziś nieco lepsze niż szanse Okulickiego i Delegatury Rządu..."

x x x

Materiał przynoszę w poniedziałek 24 lipca do "Tygodnika Powszechnego". Krzysztof Kozłowski energicznie odrzuca maszynopis, uznając go za obelgę i proponując, abym drukował sobie takie elaboraty w partyjnej "Gazecie Krakowskiej"?? ...Nadaję superekspresem ten sam artykuł do "Gazety Wyborczej". "Proszę o wiadomość do soboty, bo sprawa pilna". - Nasi sprawozdawcy sejmowi lepiej wiedzą, co pilne a co nie, odpowiada p. Ślusznik do działu listów do redakcji. Wyśłałam do "Tygodnika Solidarność", podobna odpowiedź i także sygnowana przez dział listów, widocznie w obu pismach funkcjonujący w charakterze portiera przeganiającego natrętów. Próbuję dotrzeć do "Arki", która jednak uznaje wypowiedź za egzagerowaną...

Opisuje te białe perypetie nie tylko aby wyładować autorskie frustracje, oraz by późny wnuk wiedział, jak opozycyjne massmedia okryły cenzurą temat bądź co bądź pasjonujący latem 1989 wielu Polaków. Także, aby ostrzec przed niebezpieczeństwem bezalternatywnej polityki narzucanej w mało dla wyborcy przejrzysty sposób przez solidarnościowych "mózgowców"...

x x x

Zrekapitułujmy bowiem, co się stało: weszliśmy w ostry zakręt z podważonym autorytetem politycznomoralnym opozycji. Sprawiała to grupa ludzi mało świadomych, że Solidarność żyje

w wielkiej mierze właśnie jako rzecznik etosu godności, sui generis "mitu polskiego". Tego "mitu polskiego" nie można bezkarnie naruszać, nawet jeśli niektórym wydaje się co nieco śmieszny jak porucznik Ordon z Mroźka. Gdy rozmontujemy narodowe uniwersum i zrelatywizujemy "zasady", pobudzimy bowiem i tak bardzo silną skłonność do rozwiązań typu "ratuj się kto może". Czyli faktycznie wpędzimy ten kraj w chaos "dzikich" zachowań. Pójdziemy ławą strajkować o podwyżki wyszarpując ile się da, rozkwitną postawy z dżungli, a z drugiej strony pojawią się nawiedzeni prorocy wzywający do insurekcji.

x x x

W Oświęcimiu awantury o klasztor Karmelitanek. Żałosna sprawa, która właściwie była już załatwiona w Genewie przed dwoma laty. Czyja tępota i upór? Anima naturaliter endeciana niektórych spośród nas; chyba nie tak znów licznych? Ale podobne historie przyczyniają się do odnowienia nie do końca wyleczonej zarazy /vide kult Dmowskiego!/, Polsce zaś wyrządzają niewyobrażalne szkody. Zresztą reakcja części środowisk żydowskich też półprzymiotna. Obie strony wpadły w poślizg, ale my powinniśmy byli przewidzieć, że wjeżdżamy na teren szczególnie niebezpieczny. Nasza prasa katolicka nie przejawiała na czas inicjatywy, nie próbowano ostrzec kardynała Macharskiego i opinii, o szykującej się burzy, właściwie nie informowano o niej. "Wewnątrzkościelne" decyzje są tu rzadko i niechętnie dyskutowane, pamięta się być może drażliwość hierarchii w tym zakresie i sądzi, że zbytnia dziennikarska śmiałość będzie wykorzystana przez wrogów Kościoła? Taki już styl.

Ale jeśli klasztor powstał dla pokuty, pojednania i modlitwy, na pewno przeniesienie go o kilometr nie przeszkodziłoby w spełnianiu tej misji. Pytanie czy wszyscy organizatorzy manifestacji pragną, aby pojednanie się dokonało? I czy pragną tego wszyscy obrońcy klasztoru?... Ufam roztropności biskupa Muszyńskiego, żałuję, że zabrakło teraz ducha pokoju, którego głosem był Lichten. Czy się uda oprzytomnieć!

x x x

To oprzytomnienie niech dotknie także Solidarność. Zapewne przekształci się ona znacznie po wyborach związkowych? Opozycja "pozaparlamentarna" /KPN, Grupa Robocza, Solidarność Walcząca, WłP itd./ ma teraz szanse, szkoda gdyby wykorzystana je tylko dla ulicznych awantur.

x x x

Gdyby 19 lipca powstał kryzys prezydencki i generał uderzony odszedł do innych zajęć /zapewne pozostałby szefem PZPR/, zdobylibyśmy wprawdzie tylko sztandar nie zdobywając realnej władzy, ale czy sztandar był do pogardzenia? Trudno przypuścić, aby po tej prestiżowej klęsce komuniści wsparci sowieckimi czołgami zaatakowali zaraz w nocy "obóz reform"? Zapewne dałoby się przystąpić do przetargów z mocnej pozycji

uzyskując przyspieszenie wyborów samorządowych itp. Przyczyniając się - wbrew zobowiązaniom wobec wyborców - do wyboru Jaruzelskiego nie tylko zalegalizowali władzę najwyższą komunisty - jego poprzednicy zawsze wjeżdżali na sowieckim koniu - ten jest naszym prezydentem, przez naszych posłów chcianym. Nie tylko wybrano symbol stanu wojennego, osobę w oczach narodu raz na zawsze obciążoną dokonaniem tego wiarołomnego /tak właśnie osądza to powszechne poczucie sprawiedliwości!/ aktu, ale i silniejszego przeciwnika ufając, że będzie rzecznikiem interesów nie Partii, ale wszystkich obywateli. Skąd ta wzruszająca wiara wielu solidarnościowych strategów w dobrą wolę twórcy 13 grudnia? Argument, że pecta sunt servanda, też nie przekonuje, boć umowy dotyczyły podziału mandatów w parlamencie a nie tego jak zachowywać się będą "ich" przecież posłowie /czy się "zbuntują" czy nie?/.

Tymczasem opcja za Jaruzelskim oznacza implicite uznanie dla linii jego polityki /służy on "wyższym wartościom", przypominał ostatnio H.Wujec/. I to nie tylko tej z ostatnich miesięcy. Także - chcemy to z siebie wydusić, czy wolimy się tym dławic - rewizję w niedalekiej przyszłości poglądów na stan wojenny... Przy odsłonięciu pomnika wdzięczności dla Zomo staną więc zapewne obok siebie miłujący ojczyznę prezydent /z Dobraczyńskim, Żukrowskim i Urbanem/oraz przedstawiciele OKP?... Za to w kraju nie uspakaja się fala strajków. Ziemia drży pod stopami nie tylko przyjaciół prezydenta, ale i liderów Związku? Tracących poczęści autorytet w społeczeństwie, co raz nabite w butelkę, woli teraz hasła przyziemniejsze i ratuje się jak może... Cytowany wyżej Wujec /"Tygodnik Powszechny" 1989.33/, dla którego postać generała bieli się dzisiaj jasną plamą, na pytanie Jerzego Jastrzębowskiego co z Solidarnością wykrzykuje: "Słuchaj, to jest najgorsze z całej sytuacji"...Rzeczywiście, jak tu mu nie wierzyć.

x x x

Spodziewano się widocznie, że koalicyjni posłowie nie wypadną z roli pachołków reżymu i przegłosują Prezydenta, solidarnościowi zaś zachowają minę niezłomnych wobec wyborców, których właśnie niezłomnością nęcono podczas majowej kampanii? Sprawa się sypnęła, kiedy kilkunastu "tamtych" zbuntowało się i odmówiło udziału w zaszczytnym przedsięwzięciu. Wtedy Wielowieyski, Stomma, Paszyński, Szymanderski, Trzeciakowski, Stelmachowski, Kulerski, Miłkowski, Bernatowicz /"garstka naszych walcząca z Moskali nawałem"/ ofiarnie podjęli się reanimowania mdlejącej władzy Generała.

Ale produktem ubocznym uzyskanym z tej afery wydaje się wyjście na jaw nieco specyficznych manier w prosolidarnościowych mas mediach. "Gazeta Wyborcza" podala, że reakcja na wybór Jaruzelskiego większości zapytywanych w błyskawicznej ankiecie reporterskiej była negatywna. Natomiast materiały publikowane w "Gazecie", "Tygodniku Solidarność", "Tygodniku Powszechnym" i "Przeglądzie Katolickim" z rzadkimi wyjątkami dla poglądów nieortodoksyjnych broniły wyboru Jaruzelskiego.

Znowu okazało się, że "lud nie nadaża" za dalekowzrocznością przywódców?... Zdumiewająca zbieżność /prawie?/ opinii na górze niestety nie odzwierciedlała różnych na ten temat zdań i głębokiego niepokoju na dole. Ale zadawane "górze" pytania rzadko pojawiały się w kontrolowanych przez opozycję mediach. Za to inicjatywy jak pomysły odwołania Wielowieyskiego przez wyborców spotkały się w "Gazecie Wyborczej" z gwałtownym atakiem /przyporównano tę inicjatywę do sterowanej przez komunistów akcji przeciw posłom Znak w 1968 roku/. Czy nie za szybko jedziemy w jedynie słusznym kierunku?

Jan Prokop

LISTY

JAN PROKOP

CZEGO I Z CZEGO UCZYĆ SIĘ W WOLNEJ SZKOLE?

Od września można wprowadzać do szkoły nowe materiały do nauki historii i literatury bez ryzyka policyjnych represji. Zapewne tematy jak Katyń, proces Delegatury Rządu, armia Andersa, pakt Ribbentrop-Mołotow, a także twórczość Herlinga, Grudzińskiego, Sołżenicyna czy Pasternaka wejdą otwarcie i na stałe do klas, zaś wiele informacji zawartych w Encyklopedii PWN dotąd stanowiącej niepodważalny autorytet w szkole wzbudzi zasłużoną nieufność. Jednakże nauczyciele, zwłaszcza historii i polskiego, chcący uczyć zgodnie z prawdą i sumieniem wciąż nie dysponują odpowiednimi materiałami korygującymi przewrotnie zaigłane podręczniki resortu oświaty. Żeby wziąć przykład pierwszy z brzegu, na podstawie obowiązującego aktualnie /oddany do druku w kwietniu, wydrukowany w czerwcu 1989/ podręcznika historii uczniowie będą wkuwać taką oto wersję dziejów przebudowy rolnictwa w ZSRR: "Największymi wrogami kolektywizacji byli bogaci chłopci zwani kułakami, którzy często z bronią w ręku przeciwstawiali się tworzeniu kołchozów. Niszczyli plony, stosowali terror wobec członków partii i wobec chłopów zrzeszonych w kołchozach, podpalali zabudowania, wycinali sady." Skoro jednak nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło, zatem: "W dużych gospodarstwach rolnych można było prowadzić gospodarkę planową, odpowiednio nawozić ziemię i szeroko zastosować maszyny rolnicze, a tym samym zwolnić na potrzeby przemysłu dużą liczbę zbędnych na wsi rąk do pracy. Jednocześnie państwo mogło rozporządzać nadwyżkami z produkcji rolnej, które przeznaczało dla miast i na rozwój przemysłu." Dzięki tak pomyślnemu obrotowi rzeczy "Socjalistyczna przebudowa rolnictwa radzieckiego zakończona została w końcu lat trzydziestych"... Za czyje grzechy nasze dzieci na parę milionów ofiar spowodowanego terrorem stalinowskim głodu na Ukrainie /"państwo mogło rozporządzać nadwyżkami z produkcji rolnej".../ mają w dalszym ciągu patrzeć oczami Pawła Korczagina? A na realizm socjalistyczny /"którego głównym motywem stała się praca ludzka" s.74/ oczami Żdanowa i Sokorskiego!...Oraz podziwiać bez ustanku przodującą rolę partii komunistycznej w Kraju Rad i u nas... Gdyby udało się przygotować jak najszybciej godny zaufania zestaw podręczników? Zapewne pomyśli o tym nowy minister oświaty prof. Samsonowicz? Niezależny ruch wydawniczy dotychczas nastawiony na kolportaż w dość wąskim, konspiracyjnym kręgu wydawał głównie pozycje dla elitarnego, najczęściej uniwersyteckiego odbiorcy. Rządziej

publikowano pozycje masowe, o ambicjach popularyzatorskich, nadające się do swojego rodzaju "biblioteczeki ucznia szkół średnich". Powstanie takiej właśnie serii niewielkich książeczek przeznaczonych na potrzeby szkoły wydaje się najpilniejszą koniecznością. Zanim zostaną napisane nowe podręczniki, już teraz musimy dać do ręki nauczycielom i uczniom lekturę prostującą kłamstwa, półprawdy i slogany propagandowe, którymi karmiono młodzież przez lata. Na szczęście trochę tekstów, które można wykorzystać po opracowaniu dla celów szkolnych, tj. opatrzeniu objaśnieniami, już istnieje. Na początek proponowałbym wznowienie adaptacji historii najnowszej K.Kerstenowej /taka adaptacja ukazała się kiedyś we Wrocławiu, właśnie w ramach "biblioteczeki ucznia"/, skróć /za zgodą autora/ wspomnień J.Nowaka-Jeziorańskiego, tej kopalni niesłychanie barwnie przedstawionych dziejów powojennych Polski widzianych z Monachium, a także żywych pogadarek radiowych T.Żenczykowskiego, wreszcie "pokawałkowanie" na poszczególne tematy wydanej przez Irenę Lasotę publikacji "40-lecie PRL" /Polonia Book Fund/. Inną pomocą w nauce, jeszcze łatwiejszą do rozprowadzenia w szkołach są videokasety z historii i literatury najnowszej. Takie videokasety też już mamy, wiele wyprodukował zespół Kontakt M.Chojeckiego, np. o Piłsudskim, o Sikorskim, o armii Andersa, o KORze, o Katyniu. Warto je powielić i zorganizować wypożyczalnię dla szkół. Może się tym zająć "kto żyw", nie musimy wcale powoływać specjalnych centralnie zarządzanych komisji zatwierdzanych przez sztaby gdańskie czy warszawskie. Dodam, że można tu zrobić dobrą robotę dla przyszłości naszego kraju i przytem - to dla kapitalistycznych rekinów wydawniczych podziemia i nadziemia - całkiem nieźle na masowych nakładach zarobić. Ciesząc się z powstawania szkół prywatnych dla elit nie zapominajmy o ubogiej reszcie.

wrzesień '89

Jan Prokop

Sprostowanie

W mojej recenzji z książki "Komedianci" /KN nr 53/ pośród innych, mniejszych błędów maszynowych, znalazł się jeden dość perfidny. We fragmencie "prezesowanie w SPATIFie" /mowa o Gustawie Holoubku/ wyraz pierwszy zastąpiono słowem "pazerowanie", co - bez mej woli i podstaw - sugerować może pazerność prezesa.

Joanna Lerska

ARCHIWALIA

WIKTOR GOMULICKI

DUSZA ROSJI

Skazani na współżycie z Rosją, znać ją powinniśmy. Jest to prawda zasadnicza, której zawsze hołdowałem, a której ważność rodacy moi niedostatecznie oceniają.

Rozszerzając zakres tej prawdy, powiedzieć trzeba, że nawzajem Rosjanie znać powinni Polskę. Albowiem oni jej nie znają. Nie znają ani polskiej historii /przede wszystkim!/, ani polskiej literatury, ani polskich wierzeń, ani polskiego obyczaju, charakteru i temperamentu.

Stąd ciężkie błędy, szkodzące jednej i drugiej stronie. Stąd częste upodabnianie się stosunków polsko-rosyjskich do... ciuciubabki.

Jedni z Rosjan w każdym bez różnicy Polaku widzą urodzonego spiskowca i "buntowszczyka". Dla innych całą przeszłość Polski uosabia szlachcic-warchoł, pijak i zawadiaka, którego życie upływa wyłącznie na picciu wina węgierskiego, katowaniu chłopów, podkręcaniu łokciowego wasa i powtarzaniu co trzy wyrazy "panie dobrodzieju". Innym jeszcze Polacy przedstawiają się jako naród naiwnych dzieciuchów, marzycieli, ideologów, którzy dla własnego dobra potrzebują mocnej, cudzej ręki, wiodącej przez życie i od zguby broniącej.

W beletrystyce rosyjskiej biąka się śmiesznie naiwny i złośliwie karykaturalny /przez Dostojewskiego, jak się zdaje, stworzony/ typ "polaczka", razem: lekkoducha, filuta, papli i spryciarza. Rosyjskie sfery duchowne nie wątpią na chwilę, że Polacy mają jeden tylko cel: zniweczyć cerkiew grecką i wszystkich prawosławnych oddać pod władzę papieża. Dla sentymentalnych wreszcie dam rosyjskich Polak to nic innego jak Don Juan w konfederatce, wabny a niebezpieczny, którego należy za wszelką cenę unikać, ale któremu, mimo wszystko, zawsze w końcu poddać się trzeba.

Ma wreszcie o Polakach zdanie swoiste i prosty lud rosyjski. W każdym Polaku widzi on przede wszystkim człowieka nieszczęśliwego. Ze wszystkich sądów ostatni najmniej podobno fałszywy.

A my czy trafnie Rosjan oceniamy?

Przez całe dziesiątki lat nikt z nas nie mógł wyobrazić sobie Rosjanina innego, jak tylko w mundurze wojskowym, z bronią w ręku, marsem na czole i przekleństwem na ustach. Przemieszkiwała już wprawdzie wówczas w naszym kraju pewna liczba włościan rosyjskich, pracowitych, uprzejmych brodaczy, którzy przywozili na targi nabiał i warzywa z własnych, starannie uprawianych kolonii, wynajmowali się do obróbki drzewa i obnosili po domach liche dywany oraz jaskrawe per-

kaliki - nie uważaliśmy ich wszakże za Rosjan. To byli - kacapi. Śpiewny ich głos, przesadna słodkość mowy zjednywały nas, nie pozwalając widzieć w nich... strony przeciwnej.

Później poznaliśmy rosyjską biurokrację. Było to rozszerzenie, ale bynajmniej nie pogłębienie poznania. Wreszcie przyszła kolej na literaturę rosyjską. Dzięki Mickiewiczowi, a głównie za sprawą dykteryjki na temat "z drogi dwójka idiot", przestało być dla nas obce nazwisko - tylko nazwisko - Puszkina. Z kolei doszedł do naszej wiadomości Lermontow, gdyż opiewał Kaukaz /na Kaukazie, w kopalniach i w wojsku, dużo było naszych/ i miał śmierć efektowną, przez dzienniki rozgłoszoną. Z przekładu powieści "Ojcowie i dzieci" dowiedzieliśmy się także o Turgieniewie.

I na tym na czas długi był koniec.

Poznaliśmy coś niecoś ze znamion rosyjskości - dusza rosyjska pozostała nam obca.

Obca jest i dziś jeszcze - pomimo wielu "zbliżeń" w sferze polityki, literatury i handlu. Dotychczas jeszcze trwa obustronnie gra w ciuciubabkę. Dotychczas jeszcze pewni Rosjanie twierdzą, że samorządu dać nam nie mogą "dla naszego dobra", gdyż zbytne zwolnienie cugli "sprowadziłoby wybuch przygotowującego się // powstania, a powstanie byłoby dla nas nieszczęściem". Dotychczas jeszcze pewni Polacy opuszczają ręce w zniechęceniu, usuwają się od akcji i białają, że "na naród rosyjski wcale już liczyć nie można" - przy czym naród utożsamiany jest z pewną liczbą jego oficjalnych przedstawicieli.

Czas wielki skończyć z tą niewiedzą. Czas wielki zlustrować od piwnic aż po poddasza ten gmach olbrzymi w stylu mieszanym: bizantyjsko-zachodnio-swoistym, do którego przystawiono nasz stary dwór modrzewiowy.

A sprawa nie jest łatwa. W gmachu pełno przejść tajemnych, sekretnych komnat, różnoczasowych przybudówek, wieżyczek, lochów. Jest to razem: zamek i chata kurna, pałac i kazamaty, świątynia indyjska i "kabak". I cały zda się podminowany.

Wstępu do tego gmachu nie otworzy nam poezja. U Puszkina jest pejzaż rosyjski, są piękne, chromolitografowane sceny z życia towarzyskiego, jest historia pisana ad usum Delphini, nie brak wreszcie przyjemnej, ogólnoludzkiej filozofii - duszy Rosji tam nie ma. Tym bardziej nie ma jej u Lermontowa, tego Bajronika przebranego w mundur oficera rosyjskiego.

Puszkina nie jest poetą narodowym w tym znaczeniu co Mickiewicz. Szczerej rosyjskości więcej mieści się w jego listach prywatnych, niedrukowanych satyrycznych ucinkach, w życiu wreszcie codziennym niż w liryce, poematach i dramatach.

Słowacki wyczuwał w całej poezji rosyjskiej "skwierne mięso", a wiersze przyrównywał do pasów, knutem z grzbietu zdzieranych. Była w tym przesada. Ta poezja sili się na polor, na europejskość, bywa często aż do zbytku gładka i dźwięczna, ale to właśnie z naszego punktu widzenia nie zaletą jest, lecz wadą.

O wiele szersza, a stąd cenniejsza dla nas jest proza rosyjska. Z niej, kto umie czytać, wiele wyczytać potrafi. Często bez obsłonek występuje tam dusza Rosji - ta dusza, którą nazywał ktoś sfinksem, a której z większą słusnością dać można miano chimery lub smoka.

Jestem właśnie pod wrażeniem przeczytanych świeżo dwóch książek rosyjskich. Jedną, liczącą już lat około trzydziestu, jest powieść Dostojewskiego "Biesy"; drugą, noszącą datę najświeższą - Mereżkowskiego "Aleksander Pierwszy".

Tło główne, owszem: najistotniejszą treść obu tych książek wypełniają spiski i spiskowcy. Nie jestże tak samo z księgą całej Rosji?

Mereżkowski opisuje dekabrystów, Dostojewski nihilistów; przed nimi byli, po nich będą, pod innymi nazwami, ale z charakterem identycznym, inni kospiratorzy, również w mroku zatajeni, równie groźni i grozę na cały kraj rzucający. Niepodobna wyobrazić sobie Rosji bez tego "chóru masek", z proklamacją, pistoletem lub nożem w zanadrzu. Jeśli jednak zwykłe chóry masek są milczące lub mało mówne, te przeciwnie, odznaczają się wielką gadatliwością, w której znajduje upust wytężona, prawie gorączkowa działalność mózgów.

Narodem myślicieli nazywają Niemców; po przeczytaniu książek, o których mowa, trzeba ten epitet odebrać Niemcom, a przysądzić Rosjanom. Na taką bezwzględna, zajadła, przed niczym nie cofająca się krytykę i analizę organizmów politycznych i społecznych, dusz cudzych i własnych, religii i prawa, Boga i szatana, jaką zadziwiają nas rezonerzy Dostojewskiego i Mereżkowskiego, nikt prócz Rosjan nie zdobywał się i nie zdobywa. Przy Kiryłowach, Szatowach, Wierchowieńskich z pierwszej grupy, a Pestlach, Murawiewach, Golcynach z drugiej, Hamlet wydaje się bladym, naiwnym, ledwie postępuchu wartym cieniem. Patrzącym na nich zdaje się, że mają przed sobą obłąkańców, którzy dla studiów anatomicznych własne ciało kraju, wypruwając z niego żyły i nerwy...

Wychyla się z tego wszystkiego prawdziwa dusza Rosji - ta, którą znać jest naszym obowiązkiem. Poznajemy swoistość i odrębność tej duszy i uwidacznia się nam zarazem głęboka przepaść dzieląca ją od duszy Polski.

Przy czytaniu książek Dostojewskiego i Mereżkowskiego różnice między duszą rosyjską a polską rzucają się w oczy.

Polska niepodległa nie znała spisków. Na wszelkie tajemne knowania miejsca w niej nie było. Wynikało to z dwu powodów: najpierw ta robota krecia sprzeciwiała się narodowemu charakterowi Polaków; po wtóre, była najzupełniej zbędna.

Polak był po wszystkie czasy urodzonym krzykaczem. Wstręt czuł do szeptów. Krzyczał na sejmach i sejmikach, krzyczał w obozie i gospodzie, krzyczał bawiąc się i gospodarując; krzyczał nawet na ambonie, gdy habit lub sutannę przywdział. Ani sposób wyrazić go sobie skrycie, po cichu umawiającego się z kimś drugim na zgubę trzeciego.

A spiskować w ogóle nie potrzebował, gdyż zabezpieczały go od tego polityczne urządzenia Rzeczypospolitej. Gdy chciał z "rządem", to znaczy z królem lub senatorami kłócić

się /a czynił to często/, miał na swoje usługi liberum veto. Dozwolona mu była opozycja jawna, głośna - po cóż by uciekał się do skrytej, szeptanej? A przy znacznym zaostreniu się stosunków, gdy od słów wypadało przejść do czynu, nie spiskował po kątach, lecz w oczach całej Polski urządził "roko-sze" i "konfederacje".

Z przyrodzenia samowładny i przewodzić nad sobą nie dający /po dzisiejszemu: indywidualista/, miewał często zatargi ze swymi królami, ale królobójstwo było dlań sprawą nawet do pomyślenia niemożliwą. Raz tylko jeden, do ostateczności przywieziony, zdecydował się króla porwać i uwięzić, aby mu w robocie patriotycznej nie bruździł. Ale i to wykonał niezręcznie, jakby groza tego okropnego dlań czynu o bezwład go przyprawiła.

Spiski zjawiały się u nas dopiero w epoce porozbiorowej, jako naleciałość obca. Od razu ujawniła się w nich metoda działania swoista, do innych niepodobna. Najmniej punktów styčných miały z wzorami rosyjskimi.

Gdy w roku 1824 wysłańcy polskiego Towarzystwa Patriotycznego próbowali zawiązać układy i wejść w łączność z rosyjskim tajnym Związkiem, któremu przewodził Pestel, porozumienie okazało się niemożliwe. W programie Pestla za wiele było dla Polaków radykalizmu, wywrotowości i krwi...

Tak, narodem myślicieli okazują się Rosjanie w "Biesach" i "Aleksanderze Pierwszym" - jakież to jednak ponure, dławiące ducha, do żadnego innego niepodobne myślicielstwo! Nowe, lepsze życie zapowiadając ludzkości, zaczynają ci reformatorzy od obrzydzenia i unicestwienia życia w ogóle. Grobem tchną ich programy.

W książce Mereżkowskiego Arakczajew i Focjusz to zjawy potworne, które "przyśnić się mogą". Ale i po stronie przeciwniej nie brak postaci złowrogich. I jakież to dziwne i niepokojące zjawisko, że ludzie zabierający się do rzekomo wielkiego czynu, wymagającego nadzwyczajnej sprawności umysłowej, zatapiają się i roztapiają w mglistym hamletyzmie. Najstraszniejszych niespodzianek obawiać się można ze strony takich ludzi.

Cóż dopiero mówić o ludziach, których wprowadza na scenę Dostojewski! Nie bez powodu nazwał ich biesami. A choć to z pozoru tylko kreacje powieściowe, tętni w nich pełnia życia rzeczywistego. Wszystkich malował autor z żywych modeli. Wszystkich dręczy histeria magna.

Jeden, od którego żądają, aby wyznał wręcz, czy wierzy w Boga, odpowiada:

"- Ja wierzę w Rosję... Wierzę w prawosławie rosyjskie... Wierzę w ciało i krew Chrystusową... Wierzę, że przysięże zstąpienie boga na ziemię odbędzie się w Rosji...

- Ale w Boga? W Boga?

- Ja... Ja zapewne... Będę wierzył w Boga."

Inny wyznaje otwarcie:

"- Co się tyczy planów i zamierzeń, to przecie rozwój działalności naszej rosyjskiej organizacji jest rzeczą tak niejasną i tak pełną niespodzianek, iż rzeczywiście na wszystko przygotowanym być trzeba..."

A ów krzyk Wierchowieńskiego, w histerycznym paroksyzmie szczerości rzucony:

"- Ja nie socjalista; ja - herszt!..."

.....

Smutna jest dusza Rosji.

Wiktor Gomulicki

Wiktor Gomulicki /1848-1919/, poeta, powieściopisarz, eseista. Autor m.in. "Wspomnień niebieskiego mundurka" i "Opowiadań o Starej Warszawie", przeciwnik pozytywizmu i socjalizmu. W odpowiedzi na "Czerwony sztandar" Czerwieńskiego napisał "Biały sztandar" /1907/. Gomulickiemu obcy był nacjonalizm, zaciętrzewienie, nieprzejednana wrogość wobec Rosjan. Stosunki polsko-rosyjskie starał się oceniać bezstronnie, szukając dróg porozumienia, opowiadając się jednak przeciwko ugodzie za wszelką cenę. Szkic "Dusza Rosji" pochodzi z trudno dziś dostępnego tomu "Sylwety i miniatury literackie" /Warszawa 1916/, a opublikowany został po raz pierwszy w 1914 roku.

1000.-

-WYDAWNICTWO-
Polityka
- 1989
WARSZAWA